

**Oskar Wilde**

# **Bajki**

**Przełożyli: Ewa Berberyusz, Maria Feldmanowa, Włodzimierz Lewik**

## SZCZĘŚLIWY KSIĄŻĘ

Na wysokim cokole, górując nad miastem, wznosił się pomnik szczęśliwego księcia. Cały był pokryty delikatnymi złotymi blaszkami, oczy miał z dwóch błyszczących szafirów, a na rękojeści jego miecza świecił olbrzymi rubin.

Ogromnie go też podziwiano — ogromnie.

— Jest tak piękny jak kurek na dachu — zauważył jeden z radców miejskich, usiłujący przez okazywanie artystycznych skłonności zdobyć sobie dobre imię. — Tylko mniej użyteczny od kurka — dodał obawiając się, by go nie posadzono o brak zmysłu praktycznego... co wcale nie byłoby zgodne z prawdą.

— Czemu nie jesteś takim jak szczęśliwy książę? — pytała czuła matka swego synka, który napierał się księżycą z nieba; — Szczęśliwy książę nigdy się niczego nie napiera.

— Jestem kontent, że przynajmniej jeden człowiek na świecie jest całkiem szczęśliwy — mruknął zawiedziony w swych nadziejach przechodzień rzucając okiem na pomnik.

— Wygląda jak anioł — mówili mali wychowankowie sierocińca wychodząc z katedry w purpurowych płaszczkach i śnieżnobiałych fartuszkach.

— Skąd wiecie, jak wygląda anioł? — spytał profesor matematyki. — Przecieżeście go nigdy nie widzieli.

— O, widzieliśmy... we śnie! — odpowiedziały dzieci.

A profesor matematyki zmarszczył czoło i gniewnie zsunął brwi, z zasady będąc przeciwnikiem wszelkich snów dziecińczych.

Pewnej nocy przelatywała nad miastem jaskółeczka... Towarzyski jej przed sześciu tygodniami odfrunęły już do Egiptu, ona jedna tylko została, zakochawszy się w prześlicznej trzcinie. Po raz pierwszy ujrzała ją była na wiosnę, uganiając się nad rzeką za dużym, żółtym motylem; zachwycona smukłością trzciny, nieruchomo zawisła w powietrzu i wszczęła rozmowę.

— Czy wolno cię kochać? — spytała jaskółka, przyzwyczajona zmierzać zawsze wprost do celu. A trzcina głęboko się przed nią pochyliła.

Więc jaskółeczka poczęła fruwać dokoła trzciny, skrzydełkami muskając wodę, na której tworzyły się lekkie fale. Był to rodzaj zalotów, trwających całe lato.

— Śmieszne przywiązanie — świegotwały inne jaskółki — toż ta trzcina nie ma żadnego majątku, a tak liczną rodzinę. — Bo w istocie brzegi rzeki całkiem były porośnięte trzcina.

Z nadejściem jesieni wszystkie jaskółki odleciały za morze. Wówczas jaskółeczka uczuła się bardzo osamotnioną, i miłość do trzciny poczęła ją niecierpliwic.

— Niepodobna z nią prowadzić porządnej rozmowy — mówiła — przy tym zaczynam ją podejrzewać o brzydką kokieterię, bo wszak najwidoczniej flirtuje z wiatrem. — I istotnie, za każdym powiewem wiatru trzcina wykonywała przed nim najwdzięczniejsze dygi!

— Przyznaję, że jest gospodarna i lubi zacisze domowe — mówił ptak — ale ja lubię podróżować, więc i moja żona musi to lubić.

— Pójdiesz ze mną? — spytała wreszcie jaskółka. — Ale trzcina przecząco potrząsnęła głową — zbyt była przywiązana do ojczyzny.

— Więc igrałaś mym uczuciem! — zawołała jaskółka. — Dobrze! Ja lecę teraz na piramidy. Żegnaj! — I odfrunęła.

Niezmordowanie szybowała przez cały dzień, a wieczorem doleciała do jakiegoś miasta.

— Gdzie teraz zamieszkać? — mówiła do siebie. — Sądzę, że miasto poczyniło przecież

odpowiednie przygotowania.

Wtem zobaczyła pomnik na wysokim cokole.

— Tu pozostanę — zawołała radośnie — doskonały będę mieć nocleg na świeżym powietrzu!  
— To rzekłszy, wygodnie usiadła w zagłębieniu u stóp księcia.

— Mam złocistą sypialnię — mówiła do siebie z zadowoleniem, rozglądając się dokoła. W chwili jednak gdy ukrywszy główkę pod skrzydełkiem zabierała się do snu, spadła na nią duża kropla deszczu.

— Dziwne! — zawołała jaskółka otrząsając się — na niebie nie ma najlżejszej chmurki, gwiazdy świecą i migocą, a jednak pada deszcz. Klimat północnej Europy jest istotnie okropny! Trzcina lubiła wprawdzie deszcz, ale powodował nią najzwyczajniejszy egoizm.

Wtem padła na jaskółkę druga kropla deszczu.

— Do czego służy właściwie taki pomnik, skoro nie może nawet dać schronienia przed deszczem? Obejrzę się raczej za jakim dobrym kominem — szepnęła do siebie, zabierając się do odlotu.

Ale zanim jeszcze rozwinęła skrzydełka, uczuła na sobie trzecią kroplę deszczu. Podniosła więc wzrok i zobaczyła... Co zobaczyła?

Oczy szczęśliwego księcia były napełnione łzami, i łzy spływały mu po złotych policzkach. Twarz jego w świetle księżyca tak była piękna, że serce jaskółeczki zadrzało współczuciem.

— Kto jesteś? — spytała;

— Jestem szczęśliwym księciem.

— Więc czemu płaczesz? — spytała jaskółka. — Całkiem przemokłam od twych łez.

— Kiedy jeszcze żyłem i miałem ludzkie serce — mówił pomnik — nie wiedziałem, co znaczą łzy, mieszkając bowiem w pałacu Sans-Souci, do którego troska nie miała przystępu. Dnie spędzałem na zabawach z towarzyszami, a wieczorem prowadziłem tańce w wielkiej sali balowej. Dokoła ogrodu biegł bardzo wysoki mur, ale mnie nigdy nie przyszło na myśl zapytać, co się za nim znajduje, tak mi było dobrze i wesoło. Dworzanie nazywali mnie szczęśliwym księciem, i istotnie byłem szczęśliwy — o ile radość oznacza szczęście. Tak żyłem i tak umarłem. A teraz, kiedy nie żyję, umieszczono mnie na tym cokole, tak wysoko, że mogę widzieć całą rozpacz i nędzę mojego miasta i serce moje, aczkolwiek z ołowiu, bezustannie musi płakać.

— Co? Więc nie jest cały ze złota? — szepnęła do siebie jaskółka. Zbyt jednak była uprzejma, by głośno wypowiadać osobiste uwagi.

— Daleko stąd — mówił pomnik cichym, melodyjnym głosem — daleko stąd, w wąskiej uliczce, stoi nędzny, stary dom. Jedno z okien jest otwarte — mogę przeto widzieć siedzącą przy stole kobietę, ma bladą zmęczoną twarz i szorstkie czerwone ręce, a palce pokłute igłą, gdyż jest hafciarką. Haftuje złote lilie na atłasowej sukni, którą nosić będzie na balu dworskim najpiękniejsza dama dworu królowej. Na wąskim łóżeczku, w ciemnym kącie izdebki, leży chory chłopczyk. Zrywa się w niespokojnym gorączkowym śnie i błaga o pomarańcze. Ale matka nie może mu nic dać prócz wody studziennej, więc chłopczyk płacze i jęczy. Jaskółeczko, jaskółeczko, czy nie zechciałabyś jej zanieść ten rubin, świecący w rękojeści mego miecza, bo moje nogi tak są mocno przytwierdzone do tego cokołu, że nie mogę się ruszyć.

— Kiedy mnie oczekują w Egipcie — odparła jaskółka. — Towarzyszki moje lecą wzdłuż Nilu i rozmawiają z wielkimi kwiatami lotosu. Niezadługo ułożą się do snu w grobie wielkiego króla. Ubrany on jest w kosztowne żółte szaty i zabalsamowany. Na szyi ma łańcuch z bladezielonego nefrytu, a ręce zeschnięte niby żółte liście.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książę — czy nie możesz zostać u mnie przez tę jedną noc i być moją wysłanniczką? Chłopczyk jest taki spragniony, a matka jego taka smutna.

— Kiedy ja w gruncie rzeczy nie lubię chłopców — odparła jaskółka — bo gdy zeszłego lata mieszkałam nad rzeką, dwaj niedobrzy chłopcy, synowie młynarza, ustawicznie rzucali za mną kamieniami. Wprawdzie mnie nie trafili, bo my, jaskółki, latamy zbyt szybko, a ja pochodzę z rodziny sławnej nawet za granicą z chyżego lotu, ale w każdym razie był to z ich strony dowód lekceważenia.

Szczęśliwy książę miał jednak minę tak smutną, że; jaskółeczka szczerze się zmartwiła.

— Bardzo tu zimno — rzekła — ale mimo to zostanę u ciebie przez dzisiaj noc i będę twą wysłanniczką.

— Dziękuję ci, jaskółeczko — rzekł książę.

Więc jaskółka wydziobała z rękojeści księcia olbrzymi rubin i trzymając go w dziobku wzbiła się wysoko ponad miejskie dachy.

Przeleciała koło wieży katedry ozdobionej białymi rzeźbionymi w marmurze aniołami, przeleciała koło zamku, z którego dochodziły dźwięki muzyki tanecznej. Prześliczna dziewczyna wyszła na balkon ze swym ukochanym.

— Jak cudnie migocą gwiazdy — szepnął młodzieniec — i jak czarodziejską jest potęgą miłości.

— Czy też moja suknia będzie gotowa na bal — odparła — kazałam na niej wyhaftować złote lilie. Ale te hafciarki takie są leniwe!

Jaskółeczka pofrunęła nad rzekę i zobaczyła latarnie, wiszące u masztów okrętowych, pofrunęła w stronę getta i zobaczyła starych Żydów, jak się targują i pieniądze ważą na wagach miedzianych. Wreszcie doleciała do starego nędznego domu i przez otwarte okno zajrzała do wnętrza mieszkania... Chory chłopczyk rzucał się niespokojnie w gorączkowym śnie, a matka zdrzemnęła się nad haftem, tak była znużona. Więc jaskółeczka wleciała do izby i położyła olbrzymi rubin na stoliku, obok napastrka kobiety. Potem cichutko podleciała do łóżeczka i skrzydełkami poczęła chłodzić rozpalone czoło chłopczyny.

— Jak mi chłodno — szepnął chłopczyk — zdaje mi się, że wnet wyzdrowieję. — I popadł w sen głęboki, pokrzepiający.

Wówczas jaskółeczka ruszyła z powrotem do szczęśliwego księcia i opowiedziała mu, co uczyniła.

— Dziwne — rzekła — tak zimno na świecie, a mnie nagle zrobiło się całkiem ciepło.

— To dlatego, że spełniłaś dobry uczynek — rzekł książę, a jaskółka zamyśliła się nad jego słowami i zasnęła. Myślenie zawsze ją przyprawiało o senność.

O świcie zerwała się i poszybowała w stronę rzeki, by się wykapać.

— Co za rzadki fenomen — zadziwił się profesor ornitologii, właśnie przechodzący przez most. — Jaskółka w zimie! — Napisał o tym długi artykuł i umieścił go w jednym z najpoczytniejszych dzienników.

Artykuł wzbudził ogólne zainteresowanie, obfitował zresztą w taki balast słów, że prawie nikt nie wiedział, o co chodzi.

— Dziś wieczór lecę do Egiptu — powiedziała sobie jaskółka, a myśl ta sprawiała jej rozkosz królewską. Tymczasem odwiedzała wszystkie pomniki, aż wreszcie spoczęła na szczycie wieży kościelnej. Gdziekolwiek się ukazywała, dolatywał ją świergot wróbli: co za dostojna cudzoziemka! I jaskółka świetnie się bawiła.

Gdy księżyc ukazał się na niebie, pofrunęła do szczęśliwego księcia.

— Czy dasz mi jakie zlecenie do Egiptu? — zapytała — bo właśnie mam zamiar odlecieć.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książę — czy nie mogłabyś zostać u mnie jeszcze przez jedną noc?

— Oczekują mnie w Egipcie — odparła jaskółka — jutro moje towarzyszkę ruszą do drugiego

wodospadu. Tam hipopotam spoczywa wśród sitowia, a na olbrzymim tronie siedzi bóg Memnon. Całą noc spogląda na gwiazdy, a ukazanie się gwiazdy porannej wita przeciągłym okrzykiem radości, po czym znów popada w milczenie. W południe żółte lwy przychodzą gasić pragnienie nad brzegami rzeki, oczy mają zielone jak beryle, a ryk ich głośniejszy jest od huku wodospadu.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książę — daleko, daleko stąd, na drugim krańcu miasta, widzę młodego człowieka w ciasnej izdebce na poddaszu. Siedzi przy biurku, pochylony nad papierami, a przed nim, w szklance z wodą, wiązanka zwiędłych fiołków. Włos ma ciemny i jedwabisty, usta pąsowe jak owoc granatu, oczy duże, rozmarzone. Próbuje dalej pisać rozpoczęty dramat, ale palce mu drętwieją z zimna. Ogień dawno wygasł w piecu, a głód osłabił młodzieńca.

— Więc jeszcze przez dzisiejszą noc zostanę u ciebie — rzekła jaskółka, która istotnie miała dobre serce. — Czy mam mu także zanieść rubin?

— Ach, Boże! — westchnął książę — ja już nie mam drugiego rubinu, oczy mi tylko zostały, lecz są one z drogocennych szafirów, przed tysiącem lat przywiezionych z Indyj. Wydziób mi jedno i zanieś je głodnemu młodzieńcowi. Sprzeda go jubilerowi, kupi sobie za niego pożywienia i opału i dokończy swój dramat.

— Kochany książę — rzekła jaskółka — tego uczynić nie mogę. — I zaczęła płakać.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książę — zrób, jak ci powiedziałem.

Więc jaskółeczka wydziobała księciu jedno oko i uleciała z nim do izdebki na poddaszu. Łatwo się tam dostała, bo w dachu była ogromna dziura, i przez nią jaskółka wleciała do wnętrza domu. Młody człowiek, z głową wspartą na dłoniach, dumiał tak głęboko, że wcale nie słyszał szelestu skrzydeł ptaka i dopiero po jego odlocie zobaczył wśród zwiędłych fiołków cudnie błyszczący szafir.

— Zaczynają mnie wreszcie uznawać! — zawołał. — Niewątpliwie podarek od jakiegoś gorącego wielbiciela. Teraz będę mógł skończyć mój dramat — szeptał, a twarz jego jaśniała radością.

Nazajutrz jaskółka poleciała do portu. Usiadła na maszcie wielkiego okrętu i przyglądała się, jak majtkowie wyciągali z ładowni na grubych linach skrzynie.

— Ohoj! ohoj! — krzyczeli za każdym pociągnięciem liny.

— Odjeżdżam do Egiptu! — zawołała jaskółka, ale nikt na nią nie zwracał uwagi, więc z nadejściem nocy odrunęła do szczęśliwego księcia.

— Przyleciałam, by cię pożegnać! — zawołała.

— Jaskółeczko, jaskółeczko — rzekł książę — czy nie mogłabyś zostać u mnie jeszcze przez noc dzisiejszą?

— Już zima — odparła jaskółka — i za parę dni spadnie chłodny szkaradny śnieg. W Egipcie słońce gorące pieści teraz zielone palmy, a krokodyle leżą w mule i leniwie się przeciągają. Towarzyszki moje budują gniazda w świątyni Baalbek, a białe i różowe gołąbki gruchając przyglądają się ich robocie. Kochany książę, muszę cię teraz opuścić, ale nigdy cię nie zapomnę i zaraz z wiosną przylecę tu do ciebie i przyniosę ci dwa cudowne kamienie na miejsce tych, które darowałeś. Rubin będzie czerwieńszy od czerwonej róży, a szafir tak błękitny jak wielkie morze.

— Tam w najdalszej dzielnicy miasta — odparł szczęśliwy książę — stoi mała dziewczynka, sprzedająca zapałki. Ale zapałki wysypały się jej na ulicę, przemokły, i nikt ich nie chce kupować. Ojciec ją obje, jeśli nie przyniesie do domu pieniędzy, i dlatego biedactwo płacze. Nóżki ma bose i główkę odkrytą na tym strasznym wichrze. Wydziób mi drugie oko i zanieś jej, to ojciec jej nie ukarze.

— Jeszcze przez dzisiejszą noc zostanę u ciebie — rzekła jaskółka — ale oka ci nie

wdziobię, bo byłbyś już przecie całkiem ślepy.

— Jaskóteczko, jaskóteczko — rzekł książę — zrób, jak ci powiedziałem.

Więc jaskółka wydziobała księciu drugie oko i uleciała z nim ku miastu. Zatoczyła krąg nad głową dziewczynki z zapałkami i wypuściła z dziobka klejnot, który padł prosto na zziębniętą rączkę dziecka.

— Jakie śliczne szkiełko! — radośnie zawołała dziewczynka i śmiejąc się pobiegła do domu.

A jaskółka wróciła do księcia i rzekła:

— Teraz jesteś ślepy, więc na zawsze już zostanę z tobą.

— Nie, jaskóteczko — odparł biedny książę — ty musisz odlecieć do Egiptu.

— Na zawsze zostanę z tobą! — powtórzyła jaskółka zasypiając u stóp księcia.

Cały dzień następny siedziała na ramieniu księcia i opowiadała mu dziwne historie o wszystkim, co widziała w dalekich krajach. Opowiadała o czaplach, jak w długim szeregu stoją nad brzegami Nilu, dziobami łowiąc złote rybki; opowiadała o Sfinksie, który jest tak stary jak świat, żyje w pustyni i wie o wszystkim; opowiadała o kupcach, jak powoli kroczą obok swych wielbłądów, niosąc w rękach bryły bursztynu; o królu Gór Księżycowych, czarnym jak heban i modlącym się do olbrzymiego kryształu; o zielonym wężu, który śpi na palmie, a dwudziestu kapłanów karmi go plackami z miodem; i o karzełkach, co na szerokich płaskich liściach przepływają wielkie morze i wiecznie prowadzą wojnę z motylami.

— Jaskóteczko kochana — rzekł książę — cudowne mi opowiadasz historie, ale nad wszystko zajmujące jest ludzkie cierpienie. Żadna tajemnica nie jest tak wielka i potężna jak niedola człowieka. Wzleć nad miasto, jaskóteczko, a później mi opowiesz, co tam widziałaś.

Więc jaskóteczka szybowiała nad miastem i widziała bogaczy, opływających w zbytkach i rozkoszy, podczas gdy żebracy ginęli u ich progów. Szybowiała nad ciemnymi uliczkami i widziała blade twarzyczki zgłodniałych dzieci, posepnie patrzących na smutne, ponure ulice. Pod arkadami mostu zobaczyła dwóch chłopczyków, oplatali się nawzajem ramionkami, chcąc się rozgrzać.

— Tak nam się chce jeść — jęczeli.

— Nie wolno tu leżeć — burknął policjant przechodząc koło mostu i biedne dzieci musiały wędrować w mrok i deszcz.

Jaskóteczka poleciała do księcia i opowiedziała mu co widziała.

— Cały jestem pokryty złotem — rzekł książę — musisz ze mnie zdejmować blaszka po blaszce i rozdawać je moim ubogim. Wszyscy ludzie żyjący zawsze sądzą, że złoto daje szczęście.

Więc jaskóteczka zdejmowała dziobkiem jedną złotą blaszkę po drugiej, aż wreszcie szczęśliwy książę, ogołocony z wszystkich ozdób, stał się zupełnie szary. I jaskóteczka nosiła jedną blaszkę po drugiej ubogim, a twarzyczki dzieci zaróżowiły się i rozweseliły.

— Teraz mamy co jeść! — szczebiotały na ulicach.

Potem nadszedł śnieg, a za nim mróz. Ulice wyglądały, jakby były całe ze srebra, tak się świeciły i migotały. Długie sopte lodu niby sztylety kryształowe zwieszały się z dachów, ludzie chodzili otuleni w ciężkie futra, a mali chłopcy w czerwonych czapkach ślizgali się, gdzie tylko napotkali lód.

Biednej jaskóteczce było z każdym dniem zimniej i zimniej, ale zbyt kochała księcia, by go mogła porzucić. Zbierała okruszynki przed piekarnią, gdy piekarz się oddalał, i starała się rozgrzać, ustawicznie trzepocząc skrzydełkami.

Ostatecznie jednak poczuła, że zbliża się jej koniec. Tyle jeszcze miała sił, by wzlecieć na ramię księcia.

— Żegnaj, kochany książę — szepnęła — czy mogę ucałować twą rękę?

— Cieszę się, jaskółeczko, że wreszcie odlatujesz do Egiptu; zbyt długo już tu bawiłaś — rzekł książę. — Ale musisz mnie pocałować w usta, bo cię Kocham.

— Ja nie odlatuję do Egiptu — odparła jaskółka — lecz do krainy Śmierci. Śmierć jest siostrą snu, nieprawdaż?

Ucałowała szczęśliwego księcia w usta i nieżywa padła u jego stóp. W tejże chwili z wnętrza pomnika wydobył się dziwny dźwięk, jakby coś pękło. Istotnie pękło w nim ołowiane serce. Bo też mróz był straszliwy...

Nazajutrz wczesnym rankiem burmistrz przechadzał się po mieście w towarzystwie radców miejskich. Przechodząc koło pomnika, rzucił nań okiem i krzyknął:

— Na Boga! Jakże nędznie wygląda szczęśliwy książę!

— Jak nędznie! — zawtórowali jednogłośnie radcy, którzy zawsze podzielali zdanie burmistrza, i podeszli bliżej do pomnika.

— Rubin wypadł mu z rękojeści miecza i oczu już nie ma ani pozłótki — rzekł burmistrz — wygląda teraz jak ostatni żebrak.

— Jak ostatni żebrak — powtórzyli radcy.

— I w dodatku nieżywy ptak leży u jego nóg — oburzył się burmistrz. — Będziemy musieli co prędzej wydać rozporządzenie, że ptakom wzbroniono na tym miejscu umierać. — A sekretarz burmistrza na poczekaniu wniosek ten zaprotokołował.

Wkrótce usunięto pomnik szczęśliwego księcia. — Przestał być ładny, więc jest bezużyteczny — objaśnił profesor historii sztuki.

Następnie przetopiono pomnik w giserni, a burmistrz zwołał zgromadzenie, celem obrady nad tym, co począć z metalem.

— Oczywiście musimy mieć inny pomnik — rzekł burmistrz — niechże więc będzie mój!

— Mój! — równocześnie zawołali wszyscy radcy i rozpoczęli sprzeczkę. Gdy o nich słyszałem po raz ostatni, sprzeczką tą ciągle jeszcze nie była ukończoną.

— Dziwne — mówił inspektor giserni — to pęknięte serce z ołowiu w żaden sposób nie da się przetopić. Musimy je odrzucić. — I odrzucił je na śmietnik, gdzie leżała martwa jaskółka.

— Przynieś mi dwie najkosztowniejsze rzeczy z tego miasta — rzekł Bóg do jednego ze swoich aniołów, a anioł przyniósł ołowiane serce i martwego ptaka.

— Dobry zrobiłeś wybór — rzekł Bóg — bo ptak ten wiecznie będzie śpiewał w mych rajskich ogrodach, a szczęśliwy książę po wieki chwalić mnie będzie w moim złotym grodzie.

*Tłum.: Maria Feldmanowa*

## SŁOWIK I RÓŻA

— Powiedziała, że będzie ze mną tańczyć, jeśli jej przyniosę czerwoną różę — mówił młody student — a tu w całym ogrodzie nie ma ani jednej czerwonej róży.

Z gniazdka swojego na dębie słowik usłyszał te słowa i wyjrzał spoza liści zdumiony.

— Ani jednej czerwonej róży w całym ogrodzie! — biadał student, a piękne jego oczy zaszczyły łzami. — Ach, od jakichże marnych rzeczy zależne jest szczęście ludzkie! Czytałem wszystko, cokolwiek uczeni napisali, przyswoiłem sobie wszystkie tajemnice filozofii, a oto całe moje życie będzie złamane przez brak czerwonej róży.

— Oto nareszcie prawdziwy kochanek — ozwał się słowik. — Noc po nocy śpiewałem o nim, jakkolwiek go nie znałem; noc po nocy mówiłem o nim gwiazdom, a oto go widzę. Włos ma ciemny jak kwiecie hiacyntu, a usta czerwone jak róża, której pragnie, ale namiętność okryła jego lica bladością kości słoniowej, a troska przyłożyła pieczęć swą na jego czole.

— Księżę wydaje bal jutro wieczór — szeptał młody student — a moja ukochana też tam będzie. Jeśli jej przyniosę czerwoną różę, będzie ze mną tańczyć aż do świtu. Jeśli jej przyniosę czerwoną różę, będę ją trzymał w swych objęciach, ona oprze główkę na mym ramieniu, a dłoń jej spocznie w mej dłoni. Ale w całym tym ogrodzie nie ma czerwonej róży, więc będę siedział sam, i ona nie zwróci na mnie uwagi. Przejdzie mimo mnie obojętna, i serce mi pęknie z żalu.

— Oto istotnie prawdziwy kochanek — rzekł do siebie słowik. — On przeżywa boleśnie to, o czym ja śpiewam, co dla mnie jest radością, jemu sprawia ból. Zaiste, miłość jest dziwna, przedziwna. Cenniejsza jest od szmaragdów i droższa od cudnych opali. Nie można jej nabyć za perły i granaty ani też sprzedać na targu. Nie kupują jej kupcy, i nie podobna jej też wymienić na złoto.

— Muzykanci będą siedzieć na swym podwyższeniu — mówił dalej młody student — i będą grać na świeżo nastrojonych instrumentach, a moja ukochana będzie tańczyć przy dźwięku harf i skrzypiec. Będzie tańczyć tak lekko, że stopy jej zaledwie dotkną ziemi, a dworzanie w świetnych ubiorach będą się cisnąć do niej. Ale ze mną tańczyć nie będzie, ponieważ nie mogę jej dać czerwonej róży. — Rzucił się na trawę i ukrywszy twarz w dłoniach gorzko zapłakał.

— Czemu on płacze? — spytała jaszczureczka przebiegając koło niego z podniesionym do góry ogonkiem.

— Tak, dlaczego? — powtórzył motyl, uganiający się za promieniem słońca.

— No, czemu? — szepnęła stokrotka do swej sąsiadki cichym, łagodnym głosem.

— Płacze z powodu czerwonej róży — objaśnił słowik.

— Z powodu czerwonej róży? — krzyknęli. — Jakież to śmieszne!

A mała jaszczureczka, z natury trochę cyniczna, w głos się nawet zaśmiała.

Słowik jednak zrozumiał powód troski studenta i, siedząc w swym gniazdku na dębie, w milczeniu rozważał tajemnicę miłości.

Nagle rozpiął do lotu ciemne skrzydełka i wzbił się w powietrze. Jak cień przemknął przez gaik i jak cień poszybował w stronę ogrodu.

W pośrodku zielonego gazonu rósł piękny krzew różany, a gdy słowik go ujrzał, przyfrunął ku niemu i usiadł na jednej z gałązek.

— Daj mi czerwoną różę — prosił — a zaśpiewam ci najpiękniejszą moją pieśń.

Ale krzew przecząco potrząsnął głową.

— Moje róże są białe — odparł — tak białe jak piana morska i bielsze niż śnieg na szczytach



gór. Idź jednak do mego brata, co rośnie koło starego słonecznego zegara, a może on ci da, czego potrzebujesz.

Więc słowik frunął w stronę różanego krzewu, który rósł w pobliżu starego zegara słonecznego.

— Daj mi czerwoną różę — prosił — a zaśpiewam ci najśodszą moją pieśń.

Krzew jednak potrząsnął głową.

— Moje róże są żółte — odparł — tak żółte jak włosy wodnic, siedzących na tronie z ambry, i żółtsze od jaskrów, co kwitną na łące, zanim kosiarz przyjdzie zkosą. Idź jednak do mego brata, rosnącego pod oknem studenta, a może on ci da, czego potrzebujesz.

I słowik frunął w stronę krzewu, co rósł pod oknem studenta.

— Daj mi czerwoną różę — prosił — a zaśpiewam ci najśodszą moją pieśń.

Krzew jednak potrząsnął głową.

— Moje róże są czerwone — odparł — tak czerwone jak nóżki gołębia i czerwiejsze od dużych wachlarzy z koralu, które się chwieją i kołyszą w otchłaniach oceanu. Ale zima zmroziła mi żyły, mróz zwarzył pączki, a burza połamała gałązki moje, i nie będę mieć róż tego roku.

— Jednej tylko róży czerwonej potrzebuję — prosił słowik — tylko jednej czerwonej róży! Czy w żaden sposób nie mógłbym jej dostać?

— Jest jeden sposób — odparł krzew — ale sposób tak straszny, że nie śmiem ci powiedzieć.

— Powiedz — prosił słowik — ja się nie przerażę.

— Jeśli potrzebujesz czerwonej róży — rzekł krzew — musisz ją wyczarować pieśnią przy świetle księżycy i zabarwić własną krwią serdeczną. Musisz mi śpiewać z piersią wbitą na cierń. Całą noc musisz mi śpiewać, cierń musi się wdzierać w twą pierś, a krew twoja musi wpłynąć w me żyły i stać się moją.

— Życie za jedną czerwoną różę, cena to ogromnie wysoka — zawołał słowik — bo wszyscy bardzo kochają życie. Przyjemnie jest siedzieć wśród zieleni i spoglądać na słońce w rydwanie ze złota i księżyc w rydwanie z pereł. Słodka jest woń głogu i słodki zapach dzwonek, ukrytych w dolinie, i wrzосу, co kwitnie na wzgórzu. Ale miłość lepsza jest od życia, a czymże jest serce ptaka w porównaniu z sercem człowieka?

Słowik rozpostarł do lotu swe ciemne skrzydełka i wzbił się w powietrze. Jak cień przemknął ponad ogrodem i jak cień przeleciał ponad gajem.

Student tymczasem ciągle jeszcze leżał na trawie, jak go był pozostawił, a łyzy nie zaschły wcale w jego pięknych oczach.

— Bądź dobrej myśli — zawołał słowik — bądź dobrej myśli, gdyż będziesz miał czerwoną różę. Wyczaruję ją pieśnią przy świetle księżycy i zabarwię własną krwią serdeczną. A w zamian żądam od ciebie tylko tego, abyś był prawdziwym kochankiem, albowiem miłość mędrsza jest od filozofii, pomimo że ta jest tak mądra, i silniejsza od potęgi, mimo że ta jest tak silna. Płomienne są jej skrzydła i koloru płomieni jej ciało. Usta jej słodkie jak miód, a oddech — niby woń żywicy.

Student przestał wpatrywać się w trawę i słuchał nie rozumiejąc, co mu słowik mówi, gdyż rozumiał tylko to, co napisane w księgach.

Dąb jednak zrozumiał i zasmucił się, będąc szczerze przywiązany do słowika, który usłął gniazdko w jego gałęziach.

— Zaśpiewaj mi ostatnią pieśń — szepnął. — Będzie mi bardzo samotnie po twym odlocie.

Więc słowik począł śpiewać dla dębu, a głos jego brzmiał niby szmer wody, sączącej się ze srebrnego puchara.

Gdy skończył swą pieśń, student dźwignął się z trawy i wyjął z kieszeni notes i ołówek.

— Formę opanował — mówił do siebie odchodząc z gaju — tego mu odmówić nie podobna,

ale czy ma również uczucie? Obawiam się, że tego mu brak. Tak, istotnie, podobny jest do przeważnej części artystów, wszystko u niego jest stylem pozbawionym wszelkiej szczerości. Nie umiałby się poświęcić dla innych. Myśli tylko o śpiewie, a każdemu wiadomo, że sztuka jest egoistyczna. A jednak przyznać należy, że umie wydobyć kilka precyzyjnych tonów. Szkoda tylko, że one nie mają żadnego znaczenia i nie przynoszą realnej korzyści. — Student poszedł do swego pokoju i, rzuciwszy się na wąski tapczanik, zaczął myśleć o swej Ukochanej, a niedługo po tym zasnął do różanego krzewu i pierś przycisnął do ciernia. Przez całą noc śpiewał z pierśią opartą o cierń, a zimny kryształowy księżyc spłynął na skraj horyzontu i słuchał. Przez całą noc słowik śpiewał, a cieni coraz głębiej wbił się w jego pierś, z której wraz z krwią uchodziło też życie. Śpiewał najpierw o narodzinach miłości w sercu młodzieńca i dziewczyny. A na najwyższej gałązeczce różanego krzewu rozkwitała cudowna róża, listek za listeczkiem, w miarę jak pieśń nowa następowała po pieśni przebrzmiałej. Róża była początkowo blada jak mgły wiszące nad rzeką — blada jak stopa porannej jutrzemki i srebrna jak skrzydła zmierzchu. Niby cień róży w srebrnym zwierciadle, niby cień róży w kryształach wód, taka była owa róża na najwyższej gałązce krzewu różanego.

Ale krzew nalegał na słowika, aby mocniej przytulił się do ciernia.

— Mocniej się przytul, słowiczku — wołał krzew — inaczej dzień nastanie, zanim róża się rozwinie.

Więc słowik mocniej przytulił się do ciernia, a śpiew jego potęgował z każdą chwilą, gdyż śpiewał o narodzinach namiętności w duszy mężczyzny i kobiety.

Delikatny cień purpury zabarwił płatki róży niby fala krwi twarz oblubieńca, gdy całuje usta oblubienicy. Ale cierń nie dotarł jeszcze do serca, więc i serce róży pozostało białe, bo tylko serdeczna krew słowika zdolna jest zabarwić purpurą serce róży.

A krzew nalegał na słowika, by się mocniej przytulił do ciernia.

— Mocniej się przytul, słowiczku — wołał krzew — inaczej dzień nastanie, zanim róża się rozwinie.

Więc słowik mocniej przytulił się do ciernia, aż cierń dotarł do serca, przeszywając je ostrym bólem. Gorzki, gorzki był ból słowika i coraz namiętniejszy jego śpiew, śpiewał bowiem o miłości ukoronowanej śmiercią, o miłości sięgającej poza grób.

I cudowna róża stała się szkarłatna, jak purpura wschodzącego słońca. Szkarłatny był wianek płatków i szkarłatny rubin serca. Ale głos słowika słabł z każdą chwilą i skrzydełka poczęły trzepotać, a mgła przesłoniła mu oczy. Coraz słabiej brzmiał jego śpiew, a śpiewak coraz wyraźniej czuł, że go coś dusi w krtani.

Wtedy wydobył z siebie melodię najgłębszą. Biały księżyc ją usłyszał i, zapominając o świecie, przystanął na niebie zasłuchany. Czerwona róża usłyszała i cała zadrżała dreszczem ekstazy rozchylając stulone listeczki na chłód poranka. Echo poniosło pieśń ku swym purpurowym jaskiniom w górach, budząc śpiących pastuchów. Popłynęło ponad trzciny nadbrzeżne, a te poniosły jej zew ku morzu.

— Patrz! patrz! — krzyknął krzew — oto róża skończona!

Słowik jednak nic już nie odpowiedział, bo leżał martwy w bujnej trawie, z cierniem w sercu.

A w południe student otworzył okno i wyjrzał na ogród.

— Cóż to! — krzyknął. — Jakiż szczęśliwy traf! Czerwona róża! Nigdy w życiu nie widziałem podobnej. Jest tak precyzyjna, że najpewniej musi mieć długą łacińską nazwę. — I, wychyliwszy się z okna, zerwał kwiat.

Następnie chwycił kapelusz i pobiegł do domu profesora trzymając w ręku czerwoną różę.

Córka profesora siedziała przed domem, zwijając na szpulkę błękitny jedwab, a u nóg jej leżał mały piesek.

— Powiedziałaś, że będziesz ze mną tańczyć, jeśli ci przyniosę czerwoną różę! — zawołał student. — Oto róża tak czerwona jak żadna inna na całym świecie. Dziś wieczór będziesz ją nosić przy sercu, a gdy będziemy tańczyć, ona ci powie, jak bardzo cię Kocham. Ale dziewczyna zmarszczyła brew.

— Zdaje mi się, że kolor ten nie będzie się zgadzał z moją toaletą — odparła — zresztą, siostrzeniec szambelana przysłał mi prawdziwe klejnoty, a każdy przecież wie, że klejnoty znacznie są droższe od kwiatów.

— Więc to tak! Zaprawdę, jesteś pani bardzo niewdzięczna! — wybuchnął oburzony student. — I rzucił różę na ulicę, aż potoczyła się do rynsztoku, gdzie ją zmiążdżyło koło przejeżdżającego właśnie Wozu.

— Niewdzięczna! — zawołała dziewczyna. — Co za brutalność! Zresztą, czym pan jesteś właściwie. Zwykłym studentem. Ba, wątpię nawet, czy masa srebrne sprzączki przy trzewikach jak siostrzeniec szambelana. — Rzekłszy to, zerwała się z krzesła i weszła do mieszkania.

— Cóż to za idiotyzm ta miłość — mówił do siebie student wracając do domu. — Nie jest ani w przybliżeniu tak użyteczna jak logika, niczego bowiem nie dowodzi, a zawsze mówi o rzeczach nieziszczalnych i każe wierzyć w złudę. Istotnie, jest zgoła niepraktyczna, a ponieważ w tym stuleciu należy przede wszystkim mieć na oku względy praktyczne, więc najlepiej zrobię, wracając znów do filozofii i studiując metafizykę.

Wrócił więc do swego pokoju i, zdjęwszy z półki dużą, okurzoną księgę, zatopił się w czytaniu.

*Tłum.: Maria Feldmanowa*

## PRAWDZIWY PRZYJACIEL

Pewnego razu stary szczur wodny wystawił głowę ze swej dziury. Miał duże krągłe oczy i szorstkie siwe bokobrody, a ogon podobny do podłużnego kawałka czarnej gumy. Właśnie pływały po stawie młode kacząta, wyglądające jak stado żółtych kanarków, a matka ich, całkiem biała, o prawdziwie czerwonych nogach, uczyła je stawać na głowie.

— Nigdy się nie dostaniecie do dobrego towarzystwa, dopóki nie nauczycie się stać na głowie — mówiła do nich niezliczone razy pokazując, jak się to robi. Ale pisklęta nie zwracały na nią uwagi. Były tak młode, że wcale nie rozumiały, co to za korzyść należeć do dobrego towarzystwa.

— Jakie nieposłuszne dzieci! — krzyknął stary szczur. — Zaslugują doprawdy, by je potopić.

— Wcale nie — odparła kaczka — każdy początek jest trudny, a rodzice nie mogą nigdy być dość cierpliwi.

— Ach! Nie znam zupełnie tych uczuć rodzicielskich — rzekł stary szczur — bo nie mam rodziny. Istotnie, nigdy nie byłem żonaty i nigdy też nie myślę się zenić. Miłość jest wcale dobrą rzeczą, ale przyjaźń jest znacznie wznioślejsza. Zaprawdę, nie znam na świecie nic równie szlachetnego i wzniosłego, jak prawdziwa przyjaźń.

— A jakież, proszę, są twoje pojęcia o obowiązkach prawdziwej przyjaźni? — zagadnęła zielona makolągwa, która siedząc na pobliskiej wierzbie, słyszała poprzednią rozmowę.

— Tak, tego właśnie i ja pragnęłabym się dowiedzieć — rzekła kaczka i przyplłynawszy nad brzeg stawu, stanęła na głowie, aby dzieciom swym dać dobry przykład.

— Co za głupie pytanie! — krzyknął szczur. — Oczywiście, że od przyjaciela wymagałbym, aby się dla mnie poświęcał.

— A jakim byłbyś ty względem niego? — spytał ptaszek kołysząc się na srebrnej gałązce i trzepocząc skrzydełkami.

— Nie rozumiem twego pytania — odparł szczur.

— Więc pozwól, a opowiem ci historię na ten temat — rzekła makolągwa.

— Czy ta historia mnie dotyczy? — spytał szczur. — Jeśli tak, to chętnie posłucham, gdyż nadzwyczajnie lubię opowiadania.

— Da się do ciebie zastosować — odparła makolągwa i, sfrunawszy z gałązki, usiadła nad brzegiem stawu i opowiedziała historię o prawdziwym przyjacielu.

— Razu pewnego — poczęła makolągwa — żył sobie poczciwy chłopiec, Janek.

— Czy był bardzo zdolny? — spytał szczur.

— Nie — odparła makolągwa. — Nie sędzę, aby posiadał jakiegokolwiek wybitne zdolności, bo odznaczał się tylko dobrym sercem i wesołą, krągłą, zawsze pogodną twarzą. Mieszkał w mizernej chałupce, sam jeden i po całych dniach pracował w swym ogrodzie. Ale też w całej okolicy nie było ogrodu równie uroczego. Rosły tam stokrotki i lewkonie, wiosnowki i śniegułki. Kwitły róże damasceńskie i żółte róże, krokusy liliowe i złote, fiołki ciemne i białe. Ostróżki kwitły i powoje, majeranek i wonne bazylie, białe lilie i prymulki, narcyzy i goździki — wszystkie kwitły kolejno w odpowiedniej porze, jedno po drugim, tak że zawsze ogród przedstawiał się pięknie i miłe wokół siebie roztaczał wonie.

Janek miał wielu przyjaciół, ale najserdeczniejszym ze wszystkich był Hugo, młynarz. Istotnie, bogaty młynarz tak bardzo był dlań serdeczny, że zawsze przechodząc koło jego ogrodu pochylał się przez parkan i zrywał dużą wiązanekę kwiatów lub pęk jarzyn albo napełniał sobie

kieszenie śliwkami lub wiśniami, zależnie od pory roku.

„Prawdziwi przyjaciele powinni mieć wszystko wspólne” — zwykł był powtarzać młynarz, a Janek potakiwał i uśmiechał się, dumny, że ma przyjaciela o tak szlachetnych przekonaniach.

Czasami, co prawda, sąsiedzi bardzo się dziwili, że bogaty młynarz niczym się nie odwzajemnia Jankowi, pomimo że w młynie miał setki worów pełnych mąki i sześć dojnych krów, i całe stado wełnistych owiec. Janek jednak nigdy nie zadawał sobie podobnych pytań i nic mu nie sprawiało takiej rozkoszy jak przysłuchiwanie się tym cudownym uwagom, jakie młynarz wygłaszał o bezinteresowności prawdziwej przyjaźni.

Poza tym ciągle pracował w swym ogrodzie. Podczas wiosny, lata i jesieni czuł się bardzo szczęśliwy, ale gdy zima nadeszła i nie miał kwiatów ni owoców, by je wynosić na targ, nieraz cierpiał wtedy od głodu i chłodu i często udawał się na spoczynek bez kolacji, posiliwszy się paru suchymi gruszkami i twardymi orzechami. Przy tym był też przez całą zimę bardzo osamotniony, gdyż młynarz nigdy go wtedy nie odwiedzał.

„Nie powinienem odwiedzać Janka, dopóki śnieg leży — mawiał młynarz do swej żony — albowiem ludzi strapionych należy pozostawiać samych, a nie naprzykrzać się wizytami. Takie jest przynajmniej moje zapatrywanie na przyjaźń i jestem pewny, że mam słuszość. Wolę przeto poczekać do wiosny, wtedy go odwiedzę i przyjmę od niego duży koszyczek pierwiosnków, czym mu wielką sprawię przyjemność.”

„Doprawdy, jak ty zawsze myślisz i troszczysz się o innych — odparła żona siedząc wygodnie w dużym fotelu, przy trzaskającym na kominku ogniu. — To rozkosz prawdziwa słyszeć cię mówiącego o przyjaźni. Jestem pewna, że sam pastor nie powiedziałby tak pięknych rzeczy, pomimo że mieszka w domu trzypiętrowym i nosi złoty pierścień na małym palcu.”

„Ale czy nie moglibyśmy zaprosić Janka do nas? — zagadnął najmłodszy synek młynarza. — Skoro Janek jest teraz w biedzie, to ja odstąpię mu połowę mej zupy i pokażę białe króliki.”

„Jakież z ciebie głuptas! — krzyknął młynarz. — Nie wiem istotnie, po co cię posyłam do szkoły. Zdaje się, że wcale tam nie korzystasz. Jak to, więc nie wiesz, że gdyby Janek tu przyszedł i zobaczył nasz ogień na kominku i smaczną kolację, i dużą beczkę czerwonego wina, musiałby uczuć zazdrość, a zazdrość jest uczuciem strasznym, mogącym wypaczyć najlepszą nawet naturę. A ja absolutnie nie dopuszczę, by natura Janka została wypaczona. Jestem najlepszym jego przyjacielem i zawsze będę czuwał, by nie był narażony na zgubne pokusy. Zresztą, gdyby Janek tu przyszedł, mógłby też zażądać, bym mu dał trochę mąki na kredyt, a tego uczynić bym nie mógł. Mąka co innego, a przyjaźń także co innego, i nigdy nie należy brać jedno za drugie. Tak, to zupełnie różne słowa i różne też mają znaczenie. Każdy to zrozumie.” „Jak ty świetnie mówisz! — ozwała się żona nalewając sobie szklankę gorącego piwa — doprawdy, czuję, że ogarnia mnie senność. Tak jakbym była w kościele.”

„No tak — odparł młynarz — bardzo wielu ludzi postępuje dobrze, ale bardzo niewielu umie dobrze mówić, z czego wynika, że mówienie jest rzeczą trudniejszą i bardziej wytworną.” Co powiedziawszy, rzucił surowe spojrzenie na najmłodszego synka, który uczuł się tak zawstydzony, że zwiesił głowę i oblał się purpurowym rumieńcem, wreszcie rozsłochał nad swą herbatą. Był jednak tak młody, że należy go usprawiedliwić.

— Czy to już koniec historii? — spytał szczur.

— Skądże! — oburzyła się makolągwa — to dopiero początek.

— W takim razie jesteś bardzo zacofana — rzekł szczur. — Każdy dobry nowelista zaczyna teraz swoje opowiadanie od końca, doprowadza je do początku, a zakańcza w środku. Tak nakazuje nowa metoda. Dużo o tym słyszałem tymi dniami od pewnego krytyka, który przechadzał się z jednym młodzieńcem dokoła stawu, rozmawiając o tej kwestii. Jestem przekonany, że miał słuszość, nosił bowiem błękitne okulary i miał dużą łysinę, a ilekroć

młodzieniec robił jakąś uwagę, krytyk odpowiadał: phi! Ale proszę, opowiadaj dalej swą historię. Niezmiernie mi się podoba ten młynarz. Ja sam posiadam mnóstwo pięknych przymiotów i dlatego tak wielką dla niego odczuwam sympatię.

— Otóż — mówiła dalej makolągwa przestępując z nóżki na nóżkę — skoro tylko zima minęła i pierwiosniki zaczęły otwierać swe blade gwiazdki, młynarz oznajmił swej żonie, że pójdzie odwiedzić Janka.

„Jakie ty masz dobre serce! — wykrzyknęła żona. — Ustawicznie myślisz tylko o drugich. A nie zapomnij zabrać z sobą dużego kosza na kwiaty.”

Więc młynarz związał skrzydła wiatraka silnym łańcuchem żelaznym i wyszedł z domu z dużym koszem w ręku.

„Dzień dobry, Janku” — przywitał młynarz przyjaciela.

„Dzień dobry” — odpowiedział Janek, wsparty na łopacie, śmiejąc się radośnie od ucha do ucha.

„I jakże ci się wiodło przez zimę?” — spytał młynarz.

„Ach, istotnie! — wykrzyknął Janek — jakże jesteście dobrzy, że się o to pytacie. Niestety, dosyć źle mi się wiodło, ale na szczęście nadeszła już wiosna, jestem znów wesół i wszystkie moje kwiaty dobrze się rozwijają.”

„Często o tobie mówiliśmy tej zimy — powiedział młynarz — i zastanawialiśmy się, jak sobie dajesz radę.”

„To bardzo ładnie z waszej strony — radośnie zawołał Janek — obawiałem się bowiem, żeście o mnie zapomnieli.”

„Janku, jestem zdumiony! — odparł młynarz — Przyjaźń nie zna zapomnienia. To właśnie stanowi największy jej urok. Ale boję się, czy ty w ogóle rozumiesz poezję życia. Śliczne atoli, widzę, masz pierwiosniki!”

„Naprawdę są bardzo ładne, i szczęście dla mnie, że tyle ich zakwitło — odparł Janek. — Właśnie zamierzam je zerwać i sprzedać w mieście córce burmistrza, a za te pieniądze odkupić taczkę.”

„Odkupić taczkę! Wszak nie chcesz przez to powiedzieć, że ją sprzedałeś? Byłoby to wielkim głupstwem z twojej strony!”

„Tak — przyznał Janek — byłem jednak zmuszony to uczynić. Bo wiecie, zima ta była dla mnie bardzo ciężka i nie miałem za co kupić kęsa chleba. Więc naprzód sprzedałem srebrne guziki od mej odświętnej kapoty, następnie srebrny łańcuszek, później dużą fajkę, a wreszcie zmuszony byłem sprzedać taczkę. Ale teraz wszystko to odkupię z powrotem.”

„Janku — rzekł młynarz — ja ci odstąpię moją taczkę. Wprawdzie w niezbyt dobrym jest stanie, jedna strona całkiem odpadła i kółka także połamane, ale mimo tego ofiaruję ci ją. Wiem, że to z mej strony bardzo wspaniałomyślnie i niejednen będzie mnie z tego powodu uważał za głupca, ale ja nie jestem jak inni ludzie. Moim zdaniem, wspaniałomyślność jest istotą przyjaźni, zresztą dla siebie kupiłem już nową taczkę. Tak, możesz być co do tego całkiem spokojny — dostaniesz moją taczkę.”

„Tak, istotnie, to bardzo wspaniałomyślnie z waszej strony! — wykrzyknął Janek, a jego krągła, pogodna twarz zapłonęła radością. — Ja z łatwością naprawię tę taczkę, bo właśnie mam w domu nową deskę.”

„Nową deskę! — krzyknął młynarz — właśnie tego mi potrzeba do naprawy dachu na stodole. Ogromna się w nim zrobiła dziura, i zboże całkiem mi zamoknie, jeśli jej nie naprawię. Jak to dobrze, że mi o tym przypomniałeś! Dziwne zaiste, jak jeden dobry czyn natychmiast wywołuje drugi. Ja ci dałem taczkę, a ty zaraz obdarzasz mnie deską. Wprawdzie taczka znacznie większą ma wartość niż deska, lecz prawdziwa przyjaźń nie zważa na takie drobnostki. Proszę cię, daj mi

zaraz tę deskę, a jeszcze dziś zabiorę się do roboty.”

„Zgoda!” — wykrzyknął Janek, natychmiast biegnąc po deskę.

„Niezbyt wielka ta twoja deska — rzekł młynarz obejrawszy ją — i zdaje mi się, że po naprawieniu dziury w moim dachu nic chyba nie zostanie do naprawy taczki, ale przyznasz, że to już nie moja wina.

A teraz, skoro ja ci przyrzekłem taczkę, sądzę, że w zamian ty mi dasz trochę kwiatów. Oto kosz, i sądzę, że mi go napełnisz.”

„Mam go napełnić?” — spytał Janek mocno zakłopotany. Kosz bowiem był bardzo duży, i biedny chłopak wiedział, że jeśli go napełni, nie będzie już miał żadnych kwiatów do sprzedania, a tak bardzo pragnął odzyskać swe srebrne guziki.

„Oczywiście! — odparł młynarz. — Przyznasz przecie, że za taczkę mogę chyba żądać od ciebie trochę kwiatów. Może się myłę, ale, moim zdaniem, przyjaźń winna być wolna od wszelkiego egoizmu.”

„Mój drogi przyjacielu! — wybuchnął Janek. — Z chęcią oddaję wam wszystkie kwiaty z mego ogrodu. Więcej mi zależy na waszym dobrym mniemaniu niż na odzyskaniu kiedykolwiek tych guzików.” I co prędzej pomknął w głąb ogrodu, zerwał wszystkie pierwiosnki i napełnił nimi kosz młynarza.

„Do widzenia, Janku!” — żegnał go młynarz odchodząc w stronę wzgórza z deską na ramieniu i dużym koszem kwiatów w ręku.

„Do widzenia!” — odparł Janek, żwawo zabierając się znów do roboty, tak był uradowany taczką.

Nazajutrz zajęty był przywiązywaniem opadających pędów bluszczu nad bramą, gdy usłyszał głos młynarza, który go wołał po imieniu. Zbiegł więc szybko z drabiny i przez parkan wyjrzał na ulicę.

Istotnie zobaczył młynarza, dźwigającego na plecach ogromny wór mąki.

„Mój drogi Janku — rzekł młynarz — czy nie zechciałbyś odnieść do miasta tego wora mąki?”

„Och, bardzo mi przykro — począł Janek — ale doprawdy jestem dziś ogromnie zajęty w ogrodzie. Postanowiłem przywiązać wszystkie pnącze i podlać kwiaty, i skosić trawę.”

„Tak — odparł młynarz — ale wobec tego, że ja ci dałem taczkę, nieuprzejmie to z twojej strony odmawiać mi drobnej przysługi.”

„Ach, nie mówcie tak! — zawołał Janek. — Ja dla wszystkich pragnąłbym być uprzejmy.” I chwyciwszy czapkę, wziął na ramiona ciężki wór i powlókł się z nim w stronę miasta.

Dzień był bardzo skwarny, a droga tak pełna kurzu, że zanim Janek przebył sześć mil, uczył się strasznie znużony i musiał usiąść i wypoczywać. Przewyciężył się jednak i ostatecznie dotarł do miasta. Sprzedawszy mąkę po bardzo dobrej cenie, spieszenie wracał do domu, gdyż obawiał się, że w nocy mogliby go napaść rabusie.

„Ciężki miałem dzień — mówił do siebie Janek udając się na spoczynek. — Jestem jednak zadowolony, że nie odmówiłem młynarzowi, który jest przecież najlepszym moim przyjacielem, a oprócz tego darował mi jeszcze taczkę.”

Nazajutrz wczesnym rankiem młynarz przybiegł, by odebrać pieniądze za wór mąki, ale Janek był tak zmęczony, że leżał jeszcze w łóżku.

„Dalibóg! — zawołał młynarz — widzę, że jesteś bardzo leniwy. Mając zamiar obdarzyć cię taczką, sądziłem istotnie, że energiczniej umiesz pracować. Lenistwo jest wielkim grzechem, i nie znoszę, aby którykolwiek z mych przyjaciół był opieszawy lub niedbały. Nie powinno cię dziwić, że mówię z tobą tak otwarcie. Nie przyszłoby mi do głowy postępować w ten sposób, gdybym nie był twym przyjacielem. Ale jakąż byłaby korzyść z przyjaźni, gdyby nie można było

mówić otwarcie, co się myśli? Każdy może prawić komplementy i schlebiać, i starać się przypodobać, ale prawdziwy przyjaciel zawsze mówi nieprzyjemne prawdy i nie waha się sprawić przykrości. I jeśli jest prawdziwie szczerym przyjacielem, to woli nawet tak postępować wiedząc, że wówczas postępuje dobrze.”

„Bardzo mi przykro — usprawiedliwiał się Janek przecierając oczy i zrywając z głowy szlafmycę — ale byłem ogromnie znużony, więc postanowiłem poleżeć dziś trochę dłużej w łóżku i słuchać śpiewu ptaków. Czy wiecie, że ilekroć słucham śpiewu ptaków, lepiej następnie pracuję?”

„Bardzo mnie to cieszy — szybko odparł młynarz klepiąc Janka po ramieniu — bo właśnie chcę cię zabrać z sobą, skoro tylko się ubierzesz, abyś mi naprawił dziurę w dachu.”

Biednemu Jankowi bardzo było spieszno do roboty w ogrodzie, gdyż kwiaty już od dwóch dni nie były podlane, nie śmiał jednak odmówić młynarzowi — tak dobremu swemu przyjacielowi.

„A czy uważalibyście za nieuprzejmość, gdybym odpowiedział, że jestem dziś ogromnie zajęty?” — badał cicho i nieśmiało.

„Oczywiście — odparł młynarz. — Sądzę, że niewiele chyba żądam od ciebie wobec tego, że zamierzam ci odstąpić taczkę, ale skoro odmawiasz, to zaraz stąd odejdę i sam naprawię dziurę w dachu.”

„Ach! przenigdy!” — krzyknął Janek i wyskoczywszy z łóżka, śpiesznie się ubrał i poszedł do stodoły młynarza.

Pracował cały dzień aż do zachodu słońca, a wtedy przyszedł doń młynarz, by zobaczyć, jak mu idzie robota.

„I cóż, Janku, czy dach już naprawiony?” — spytał przyjaźnie.

„Tak, właśnie skończyłem” — odparł Janek schodząc na dół po drabinie.

„Ach! — rzekł młynarz — żadna praca nie daje tyle zadowolenia, jak ta, którą spełniamy dla innych.”

„To prawdziwa rozkosz słuchać, jak tak ładnie mówicie. — odparł Janek siadając i ocierając pot spływający mu strugami z czoła — ogromna rozkosz. Ale obawiam się, że ja nigdy nie będę miał tak pięknych myśli.”

„Ach! nabędziesz je z czasem — uspokajał młynarz, — Tylko oczywiście, musisz sobie zadawać więcej trudu niż dotychczas. Teraz uczysz się dopiero praktycznej strony przyjaźni, kiedyś przyswoisz sobie także teorię.”

„Czy naprawdę sądzicie, że ją sobie kiedyś przyswoję?” — pytał Janek,

„Bez wątplenia! — potwierdził młynarz. — Ale teraz, skoro już dach naprawiony, najlepiej będzie, gdy pójdziesz do domu i wypocznesz. Jutro bowiem, wczesnym rankiem musisz mi wygnać owce na pastwisko.”

Janek nie miał odwagi cokolwiek odpowiedzieć, a nazajutrz wczesnym rankiem młynarz stał już przed jego chałupą z dużym stadem owiec, z którym Janek niebawem ruszył w góry. Strawił cały dzień na wypędzaniu owiec na paszę i zapędzaniu ich napowrót do obory, a gdy wieczorem wrócił do swojej izdebki, był tak znużony, że zasnął na krześle i zbudził się dopiero nad ranem.

„Śliczną będę dziś miał pogodę” — rzekł do siebie, szybko zabierając się do roboty w ogrodzie.

Wszelako nigdy już nie miał czasu zająć się naprawdę kwiatami, gdyż młynarz co dnia wysyłał go za swymi sprawami do miasta lub posługiwał się nim przy młynie. Biedny Janek był chwilami bardzo strapiiony i obawiał się, czy jego kochane kwiaty nie pomyślą, że o nich zapomniał, pocieszał się tylko tym, że młynarz jest jednak najlepszym jego przyjacielem. „Zresztą — powtarzał sobie — daje mi taczkę, a to już dowodzi czystej wspaniałomyślności.”

Tak więc Janek dalej pracował dla młynarza, a młynarz mówił rozmaite piękne rzeczy o



przyjaźni, które Janek notował w notatniku i odczytywał wieczorem, będąc bardzo obowiązkowym uczniem. Pewnego wieczora zdarzyło się, że Janek siedział właśnie przed kominkiem, na którym płonęły drzazgi, gdy za drzwiami rozległo się głośnie pukanie. Noc była bardzo burzliwa, a wiatr tak świszczął i wył straszliwie, że w pierwszej chwili Janek pomyślał, iż to wiatr tak trzaska drzwiami. Niebawem jednak pukanie ozwało się po raz drugi i trzeci, silniejsze niż poprzednio. „Zapewne jakiś biedny podróżny” — pomyślał Janek biegnąc ku drzwiom. Otworzywszy je, ujrzał młynarza z latarnią w jednej, a dużą laską w drugiej ręce.

„Mój drogi Janku — zawołał młynarz — jestem w wielkim kłopotcie. Mój najmłodszy syn spadł z drabiny i potłukł się tak mocno, że muszę wezwać lekarza. Ale on mieszka daleko, przy tym noc taka okropna; i właśnie mi przyszło do głowy, że lepiej będzie, jeśli ty pójdziesz zamiast mnie. Wiesz przecie, że ci oddam taczkę, więc jest rzeczą słuszną, byś się w jakikolwiek sposób odwzajemnił.”

„Naturalnie! — żywo potwierdził Janek. — Uważam to za zaszczyt dla siebie, że do mnie się zwracacie, i natychmiast ruszam w drogę. Tylko musicie mi pożyczyć swej latarni, bo noc jest tak ciemna, że mógłbym wpaść do rowu.”

„Bardzo mi przykro — odparł młynarz — ale ta jest nowa latarnia, i wielka byłaby szkoda, gdyby się zepsuła.”

„W takim razie obejdę się bez niej” — rzekł Janek i włożywszy duży kozuch i ciepłą szkarłatną czapkę, obwiązał szyję ciepłym szalem i ruszył w drogę.

Jakże szalała burza! Noc była taka ciemna, że Janek zaledwie mógł rozeznaczyć drogę, a wiatr dął tak silny, że trudno było utrzymać się na nogach. Janek jednak dzielnie maszerował naprzód, a po trzygodzinnym borykaniu się z wiatrem i burzą stanął u drzwi doktora i zapukał.

„Kto tam?” — zawołał doktor wysuwając głowę przez okno.

„Janek, panie doktorze.”

„Czegoż ty chcesz, Janku?”

„Synek młynarza spadł z drabiny i mocno się potłukł, więc młynarz prosi, by pan doktor zaraz do niego przybył.”

„Dobrze!” — odparł doktor polecając osiadnąć konia i podać sobie grube obuwie. Po chwili z latarnią w ręku zszedł ze schodów i pojechał w kierunku młyna, Janek zaś biegł za nim, wśród ciemności.

Burza jednak wzmagała się z każdą chwilą, a deszcz lał strumieniami, tak że biedny Janek nie widział już, dokąd idzie, i nie mógł zdążyć za koniem. Wreszcie zupełnie zgubił drogę i zabłąkał się wśród trzęsawiska bardzo zdradliwego, pełnego głębokich dołów, gdzie też biedak utonął. Zwłoki jego zostały nazajutrz znalezione przez kilku pastuchów, którzy zobaczywszy, że coś pływa po czarnej kałuży, podeszli bliżej i, poznawszy biednego Janka, martwe jego ciało zanieśli do chałupki w ogrodzie.

Janek był ogólnie lubiany, toteż tłumy ludzi odprowadziły go na cmentarz, a na czele orszaku żałobnego kroczył młynarz.

„Byłem najlepszym jego przyjacielem — mówił młynarz — słusznie więc, bym miał najprzedniejsze miejsce w pochodzie.”

Szedł więc na czele orszaku w długim, czarnym płaszczu, od czasu do czasu wycierając sobie oczy dużą jaskrawą chustką.

„Szkoda bardzo tego biednego Janka” — mówił kowal wiejski, gdy po pogrzebie cała gromada wygodnie rozsiadła się w karczmie, gorącym winem zapijając słodkie pierniki.

„Dla mnie jest to istotnie szkoda poważna — odparł młynarz. — Miałem bowiem odstąpić mu starą taczkę, a teraz nie wiem doprawdy, co z nią począć. W domu mi tylko zawadza, a tak jest zepsuta, że nikomu nie mógłbym jej odprzedać. W przyszłości nigdy już nie będę nikomu robił

podarków. Człowiek tylko cierpi z powodu swej wspaniałomyślności.”

— Co dalej? — spytał szczur wodny po dłuższej pauzie,

— Nic. To już koniec — odparła makolągwa.

— Ale co się stało z młynarzem? — spytał szczur.

— Ach! tego doprawdy nie wiem — odparła makolągwa — i wcale mnie to nawet nie obchodzi.

— Widzę z tego, że jesteś pozbawiona wszelkich życzliwych uczuć! — zauważył szczur.

— Zdaje mi się, że wcale nie podchwyciłaś morału tej historii — odcięła się makolągwa.

— Czego? — zapiszczał szczur.

— Morału.

— Czy chcesz przez to powiedzieć, że w historii tej tkwi jakiś morał?

— Naturalnie — potwierdziła makolągwa.

— W takim razie — wybuchnął szczur tonem bardzo rozdrażnionym — w takim razie powinnaś mnie była o tym uprzedzić, zanim zaczęłaś opowiadać. Gdybyś to była zrobiła, nie byłbym się wcale przysłuchiwał, lecz z góry byłbym ci powiedział: phi! tak samo jak ów łysy krytyk w błękitnych okularach. Na szczęście mogę to jeszcze powiedzieć teraz. — I szczur najciszej swym głosem pisnął: phi! zakręcił ogonem i na powrót uciekł do swej dziury.

— Jakże ci się podobał szczur wodny? — zagadnęła kaczka, w parę minut później podpływając ku brzegowi. — Niewątpliwie posiada on pewne zalety, ale co do mnie, to mam tak silne instynkty macierzyńskie, że nie mogę się powstrzymać od łez na widok zatwardziałego starego kawalera.

— Boję się, że go znudziłam — odparła makolągwa. — Bo fakt jest, że opowiedziałam mu historię z morałem.

— Ach! To eksperyment zawsze wielce niebezpieczny — rzekła kaczka.

Zgadzam się z nią w zupełności.

*Tłum.: Maria Feldmanowa*

## NADZWYCZAJNA RAKIETA

Królewicz miał się żenić, i w całym kraju panowała z tego powodu wielka radość. Cały rok czekał na swą narzeczoną, która nareszcie przybyła. Była to szwedzka księżniczka, która daleką drogę odbyła w saniach, ciągnionych przez sześć reniferów. Sanie te miały kształt ogromnego złotego łabędzia, a pomiędzy skrzydłami łabędzia spoczywała mała księżniczka. Długi płaszcz podbity gronostajami spływał aż do jej stóp, głowę osłaniała czapeczka z delikatnej srebrnej tkaniny, a spod czapeczki wyglądała twarzyczka tak blada jak Śnieżny Pałac, w którym dotychczas żyła. Była tak blada, że gdy przejeżdżała ulicami, ludzie spoglądali na nią zdumieni. — Wygląda jak biała róża! — wołali rzucając jej kwiaty pod stopy.

U bram pałacu czekał na nią książę. Miał marzycielskie fiołkowe oczy, a włosy jak roztopione złoto. Na widok księżniczki przyklęknął i ucałował jej rękę.

— Portret twój był cudny, ale ty piękniejsza jesteś od portretu — szepnął — a mała księżniczka się zapłoniła.

— Była przedtem jak biała róża, a teraz wygląda jak pąsowa róża — zauważył paź do swego towarzysza, a cały dwór zachwycony był tą uwagą.

W ciągu następnych trzech dni na ustach wszystkich krążyło: biała róża, pąsowa róża, biała róża, pąsowa róża, a król wydał rozkaz, by podwojono pensję pazia. Wprawdzie nie pobierając żadnej pensji, nie miał też wielkiej korzyści z jej podwojenia, jednakowoż wielki to był zaszczyt, zwłaszcza że polecenie królewskie ogłoszono w gazecie dworskiej.

Po trzech dniach odbył się ślub młodej pary. Była to chwila bardzo uroczysta, gdy oboje, trzymając się za ręce, stanęli pod baldachimem z purpury, haftowanym perełkami. Następnie urządzono ucztę dworską, która trwała pięć godzin. Książę i księżniczka zasiedli na honorowych miejscach w olbrzymiej, odświętnie udekorowanej komnacie, i razem pili z kryształowego kielicha. Tylko prawdziwi kochankowie mogli pić z tego kielicha, bo ilekroć dotknęły go usta fałszywe, kryształ zaciemniał się, tracił blask i przezroczystość.

— Rzecz jasna, że się kochają! Jasna jak kryształ! — wykrzyknął młody paź, a król po raz drugi podwoił jego pensję.

— Co za zaszczyt! — szepłali wszyscy dworzanie.

Po uczcie odbył się bal. Młoda para miała odtańczyć taniec róż, a król przyrzekł zagrać na flecie. Grał wprawdzie bardzo źle, ale nikt nie śmiał mu tego powiedzieć, ponieważ był królem. Istotnie, znał on tylko dwie arie i nigdy nie wiedział, którą z nich gra właściwie, bo cokolwiek grał, wszyscy jednogłośnie się zachwycali: czarujące! czarujące!

Ostatnim punktem programu miały być wspaniałe ognie sztuczne; pokaz ten zamierzano rozpocząć punktualnie o północy. Księżniczka nigdy jeszcze nie widziała ogni sztucznych, dlatego król wydał rozkaz, by pirotechnik nadworny poczynił odpowiednie przygotowania na dzień ślubu.

— Jak wyglądają ognie sztuczne? — pytała księżniczka swego narzeczonego, przechadzając się z nim rano po tarasie.

— Jak zorza północna — objaśnił król, który zawsze miał zwyczaj odpowiadać na pytania, zadawane innym. — Tylko że wyglądają znacznie naturalniej — dodał. — Ja je nawet wolę od gwiazd, ponieważ zawsze wiem, kiedy się ukażą, a są tak cudne jak moja gra na flecie. Musisz je zobaczyć.

I istotnie na końcu ogrodu królewskiego urządzono duże podium, a gdy nadworny pirotechnik wszystko ustawił i przygotował, ognie sztuczne wszczeły między sobą rozmowę:

— Świat jest zaiste bardzo piękny! — wykrzyknęła mała Rakieta. — Spójrzcie tylko na te żółte tulipany! Gdyby były prawdziwymi fajerwerkami, nie mogłyby cudniej wyglądać! Bardzo jestem zadowolona, że odbyłam tę podróż. To ogromnie kształci umysł i wyzwala z rozmaitych przesądów.

— Ogród królewski nie jest jeszcze całym światem, głupia raco — ozwała się ogromna Rzymska Świeca. — Świat — to ogromny plac, i potrzebowałabyś całych trzech dni do oglądania go w całości.

— Każdy zakątek, który kochasz, jest dla ciebie światem — wyrzekło melancholijnie Koło Katarzyny, które w młodości swej przywiązane było do skrzynki z drzewa sosnowego i dotąd szczyliło się swym złamanym sercem. — Tylko niestety miłość wyszła już z mody, odkąd ją uśmiercili poeci. Tyle o niej pisali, że nikt im nie dawał wiary, co doskonale rozumiem. Miłość prawdziwa cierpi i milczy. Pamiętam, jak kiedyś ja... Ale nie o tym teraz mowa. Miłość należy do przeszłości.

— Głupstwo! — krzyknęła Rzymska Świeca — miłość nie ginie nigdy. Jest jak księżyc, co żyje wiecznie. Pan młody i panna młoda na przykład kochają się tak serdecznie. Dowiedziałam się o tym od świstka bibuły, który przypadkowo leżał w jednej szufladzie ze mną i znał wszystkie najnowsze wiadomości dworskie.

Koło Katarzyny potrzęsęło głową.

— Miłość umarła, miłość umarła, miłość umarła — mamrotało.

Należało do rzędu tych, co sądzą, że powtarzając często tę samą rzecz, czynią ją tym samym prawdziwą.

Nagle ozwał się tuż za nimi ostry, suchy kaszel, wszyscy się odwrócili.

Kaszel pochodził od ogromnej, zuchwale spoglądającej Rakiety, przywiązanej do długiego kija. Przed każdorazowym ozwaniem się zwykła była kasleć, dla zwrócenia na siebie uwagi.

— Hm! hm! — odchrząknęła, a wszyscy nastawili uszu z wyjątkiem biednego Koła Katarzyny, które ciągle jeszcze potrzęsało głową mrucząc: miłość umarła...

— Przywołuję do porządku! — krzyknął nagle Wąż Ognisty, który interesował się polityką i odgrywając zazwyczaj czynną rolę przy wyborach miejscowych przyswoił sobie kilka parlamentarnych wyrażań.

— Umarła — szeptało Koło Katarzyny zasypiając. Gdy wszystko umilkło, Rakieta zakaszła po raz trzeci i poczęła mówić. Mówiła bardzo powoli, akcentując każde słowo, jak gdyby dyktowała komuś swe pamiętniki, i zawsze patrząc przez ramię osoby, z którą mówiła. Miała rzeczywiście maniery bardzo wytworne.

— Cóż to za szczęście dla królewicza, że ma wziąć ślub tego samego dnia, kiedy ja się ukazę. Doprawdy, gdyby ktoś naumyślnie był tym pokierował, nie mógłby tego lepiej dla królewicza urządzić — zauważyła. — Ale wiadomo, że księżęta zawsze mają szczęście.

— Dalibóg! — ozwała się mała Raca — a ja sądziłam, że to właśnie dla uczczenia księcia nas tu przewieziono.

— Być może, że masz słuszność co do siebie — odparła Rakieta — nie wątpię nawet, że tak jest istotnie, że mną jednak zupełnie inna sprawa. Ja jestem niezwykłą rakietą i pochodzę od niezwykłych rodziców. Matką moją było owo świetne Koło Katarzyny, sławne ze swego zręcznego lotu. Kiedy ukazało się publicznie, zatoczyło dziewiętnaście kręgów, zanim zgasło, a za każdym kręgiem wyrzuciło w powietrze siedem płomiennych gwiazd. Miało ono średnicę na trzy i pół stopy i zrobione było z najlepszego prochu. Ojciec był rakietą, tak samo jak ja, pochodzenia francuskiego. Wyleciał w powietrze tak wysoko, że ludzie obawiali się, czy w ogóle

powróci. Powrócił jednak, będąc usposobienia spokojnego, a temu jego zlotowi na ziemię towarzyszył błyszczący deszcz złocisty. Dzienniki wyrażały się o jego występie najpochlebniej. Istotnie, gazeta dworska nazwała go wprost arcydziełem pilotechniki.

— Pirotechniki chciałaś zapewne powiedzieć! — zawołał Ogień Bengalski. — Wiem, że się mówi pirotechnika, bo przeczytałem na własnym pudełku.

— Otóż ja chcę mówić pilotechnika — odparła Rakietka tonem tak stanowczym, że Ogień Bengalski uczył się całkiem zgnębiony i natychmiast począł dokuczać małym racom, chcąc okazać, że jest mimo wszystko znakomitą osobistością.

— Mówiłam — zaczęła znów Rakietka — mówiłam... Co ja to mówiłam?

— Mówiłaś o sobie samej — przypomniała Rzymska Świeca.

— Naturalnie! Pamiętam, że mówiłam o czymś bardzo zajmującym, gdy mi tak brutalnie przerwano. Nienawidzę brutalności i złych manier, gdyż jestem nadzwyczajnie wrażliwa. Nie ma w świecie osoby równie wrażliwej — jestem tego pewna.

— Co to znaczy osoba wrażliwa? — zagadnął Ogień Bengalski.

— Osoba wrażliwa jest to taka osoba, która każdemu nadeptuje na palce, ponieważ sama ma nagniotki — szepnęła Rzymska Świeca, a Ogień Bengalski omal nie pękł ze śmiechu, usłyszawszy takie objaśnienie.

— Z czego się tak śmiejesz? — spytała Rakietka. — Ja nie śmieję się nigdy.

— Śmieję się, bo jestem szczęśliwy — odparł Ogień.

— To dopiero egoista! — mruknęła oburzona Rakietka. — Jakie masz prawo do szczęścia? Powinieneś myśleć o drugich. Istotnie, powinien byś myśleć o mnie. Ja zawsze myślę o sobie i sądzę, że wszyscy na świecie powinni myśleć o mnie. To się nazywa sympatia. Jest ona piękną cnotą, a ja ją posiadam w wysokim stopniu. Pomyśl na przykład, gdyby mnie tej nocy spotkała jakaś przygoda, czyżby to nie było nieszczęściem dla całego świata? Księżę i księżniczka nigdy by już nie byli szczęśliwi w małżeństwie, a co do króla, to pewna jestem, że by tego nie przeżył. Doprawdy, że myśląc o ważności swego stanowiska czuję się wzruszona do łez.

— Jeśli masz sprawiać radość innym — zauważyła Rzymska Świeca — to powinna byś raczej unikać wilgoci.

— Bez wątpienia! — zawołał Ogień Bengalski, który znów odzyskał pierwotny humor — to przecież nakazuje zwykły rozsądek.

— Zwykły rozsądek! — pogardliwie rzekła Rakietka — zapominasz tylko, że ja jestem pod każdym względem niezwykła i nadzwyczajna. Każdy może się zdobyć na zwykły rozsądek, do którego nie potrzeba wcale fantazji. Ja natomiast mam fantazję, gdyż nigdy nie wyobrażam sobie rzeczy takimi, jakimi są istotnie, lecz zawsze wręcz przeciwnie. A co do rady, bym unikała wilgoci, to widocznie nie ma tu nikogo, co by był zdolny do zrozumienia natury uczuciowej. Na szczęście jednak nic sobie z tego nie robię. Jedyne, co jeszcze człowieka podtrzymuje w życiu, to poczucie ogromnej niższości innych, a uczucie to żywiłam zawsze. Ale nikt z was nie ma serca. Śmiejecie się i radujecie, jak gdybyście nie wiedzieli, że właśnie teraz księżę bierze ślub z księżniczką.

— Więc cóż? — zawołała mała Płomienna Kulka. — Wszak to właśnie bardzo stosowna chwila do weselenia się, a gdy wylecę w powietrze, opowiem gwiazdom tę wieść radosną. Zobaczycie, jak będą mrugać, słuchając mego opowiadania o pięknej narzeczonej.

— Ach, cóż to za trywialny pogląd na życie! — oburzyła się Rakietka — ale nie spodziewałam się innego. Płytko jesteś i głupia. Czyż nie przyszło ci na myśl, że księżę i księżniczka mogą zamieszkać w pięknym zamku nad głęboką rzeką i mogą mieć jedyne go synka, jasnowłosego, o oczach fiołkowych jak oczy księcia; pewnego dnia chłopczyk może wyjść z piastunką na przechadzkę, i piastunka może zasnąć pod rozłożystym wiązem, a chłopczyk wpadnie do

głębokiej rzeki i utonie. Co za straszne nieszczęście! Biedni rodzice! Stracić swego jedynaka! To przecież okropne! Nigdy się chyba nie uspokoją!

— Ale wszak nie stracili swego jedynaka! — krzyknęła Rzymska Świeca — i żadne im się jeszcze nie zdarzyło nieszczęście.

— Nigdy nie twierdziłam, że im się zdarzyło — odparła Rakieta. — Mówiłam tylko, że mogłoby się im zdarzyć. Gdyby byli utracili swego jedynaka, nie warto by już o tym więcej mówić. Nienawidzę ludzi, biadających nad stuczonym garnkiem. Ale na myśl, że mogliby utracić swego jedynaka, czuję się istotnie niezmiernie wzruszoną.

— I jesteś niewątpliwie wzruszona! — krzyknął Ogień Bengalski. — Doprawdy, że w życiu nie spotkałem istoty równie czulej.

— Jesteś największym brutalem, jakiego kiedykolwiek spotkałam — rzekła Rakieta — i nie możesz oczywiście rozumieć mej przyjaźni dla księcia.

— Jak to! Wszak go nawet nie znasz! — mruknęła Rzymska Świeca.

— Nigdy nie twierdziłam, że go znam — odparła Rakieta. — Przeciwnie, śmiem nawet twierdzić, że gdybym go znała, nie mogłabym już być jego przyjaciółką. Bardzo to niebezpiecznie znać swych przyjaciół.

— Lepiej zrobiłabyś unikając wilgoci — przestrzegła Płomienna Kulka. — To teraz najważniejsze.

— Najważniejsze dla ciebie, bez wątpienia — pogardliwie odparła Rakieta — ja jednak mogę płakać, jeśli mam do tego ochotę! — I rzeczywiście zalała się strumieniem łez, które spłynęły wzdłuż jej drążka, zatapiając dwa chrząszczyki, siedzące obok siebie, i rozglądające się właśnie za suchym kątkiem, gdzie by mogły założyć sobie siedzibę.

— Jakaś prawdziwie romantyczna natura — rzekło Koło Katarzyny — zawsze wylewa łzy tam, gdzie nie ma do tego powodu. — I westchnąwszy głęboko, pogrążyło się we wspomnieniach o skrzynce sosnowej.

Natomiast Rzymska Świeca i Ogień Bengalski nie mogły już dłużej hamować swego oburzenia i raz po raz powtarzały: humbug! humbug! Były nadzwyczajnie praktyczne, i ilekroć się czemuś sprzeciwiały, mówiły, że to humbug.

Niebawem ukazał się księżyc, niby cudna srebrzysta tarcza, i gwiazdy zaczęły migotać, a w pałacu zabrzmiała muzyka.

Księżę z księżniczką tańczyli w pierwszej parze. Tańczyli tak ślicznie, że białe lilie zaglądały przez okno, pełne zachwytu, a duże czerwone maki pochylały się w takt melodii tanecznej.

Wybiła godzina dziesiąta, później jedenasta, wreszcie dwunasta, a za ostatnim uderzeniem zegara, obwieszającego północ, wszyscy goście weselni wyszli na taras, a król posłał po nadwornego pirotechnika.

— Zapalić ognie bengalskie! — rzekł król, a pirotechnik nadworny głęboko pochylił głowę i ruszył, w głąb ogrodu. Miał na swe rozkazy sześciu, pomocników, a każdy z nich niósł na drążku zapaloną pochodnię.

Był to istotnie widok olśniewający.

„Bzz! bzz!” uleciało Koło Katarzyny zataczając niezliczone kręgi świetlne. „Bum! bum!” strzeliła w górę Rzymska Świeca. I niezliczone mnóstwo małych rakiet zawirowało w powietrzu, a ognie bengalskie szkarłatem oblały całe otoczenie. „Do widzenia!” — krzyknęła Płomienna Kulka, wzlatując wysoko i pryskając dokoła błękitnymi iskrami. „Przyjemnej podróży!” — odpowiedziały małe race, niezmiernie rozbawione. Jednym słowem wszyscy osiągnęli wielkie powodzenie, z wyjątkiem Nadzwyczajnej Rakiety. Taka była wilgotna od płaczu, że nie mogła wystrzelić. Najlepszym jej przymiotem był proch, lecz, mokry od łez, stracił całą swą wartość. Wszystkie jej biedne krewne, z którymi nie chciała wcale mówić, wystrzeliły w powietrze niby

— cudne złote kwiaty o płomiennych sercach. „Brawo! brawo!” — zachwycił się cały dwór królewski, a księżniczka w głos się śmiała, oczarowana cudnym widokiem.

— Zapewne mnie rezerwują na jakąś uroczystą chwilę — rzekła do siebie Rakietka, jeszcze dumniejszym wodząc dokoła spojrzeniem. Nazajutrz przyszli robotnicy, by uprzątnąć plac.

„Zapewne deputacja — pomyślała Rakietka. — Przyjmę ich z odpowiednią godnością!” Zadarła więc nos do góry i zmarszczyła brwi, jak gdyby rozmyślała nad bardzo ważnym zagadnieniem. Ale robotnicy wcale na nią nie zwracali uwagi. Dopiero na odchodnym, dostrzegłszy ją, zawołali: jakaś kiepska rakietka! I wyrzucili ją przez mur do rowu.

— Kiepska rakietka! Kiepska rakietka! — powtarzała wirując ponad rowem. — Nie podobna! Chcieli zapewne powiedzieć: świetna rakietka! Świetna i kiepska, to brzmi dość podobnie i często ma to samo znaczenie. — Z tymi słowy wpadła do kałuży.

— Niezbyt tu wygodnie — zauważyła — ale bez wątpienia musi to być jedna z modnych miejscowości kąpielowych, dokąd mnie wysłano dla odzyskania zdrowia. Moje nerwy są istotnie bardzo rozstrojone i potrzebują spokoju.

W tejże chwili mała żabka o dużych, błyszczących oczach i w zielonym, nakrapianym płaszczu podpłynęła ku zadumanej Rakiecie.

— Nowy gość, jak widzę! — rzekła żabka. — Niechaj mówią, co chcą, a jednak nic lepszego nad kałużę! Dajcie mi kałużę i deszcz, a nic mi nie braknie do szczęścia. Czy nie sądzisz, że powinien by deszcz spaść po południu? Spodziewam się i pragnę tego, ale niebo jest na nieszczęście całkiem błękitne i czyste. Jaka szkoda!

— Hm! hm! — odkaszlnęła Rakietka przygotowując się do przemowy.

— Jakiż masz cudny głos! — wykrzyknęła żaba. — Zupełnie podobny do rechotania, a wiadomo przecież, że rechotanie jest najcudniejszą muzyką na świecie. Usłyszysz wieczorem chór naszego klubu. Siedzimy w starym stawie kaczym koło domku gospodarza i z ukazaniem się księżycy rozpoczynamy koncert. Jest tak porywający, że wszyscy się budzą ze snu i słuchają. Wczoraj dopiero słyszałam, jak gospodyni mówiła do swej matki, że przez całą noc nie zmrużyła oka dzięki naszej muzyce. Jednak to wielka satysfakcja być tak popularnym.

— Hm! hm! — odkaszlnęła Rakietka, mocno wzburzona. Irytowało ją, że nie mogła wtrącić choćby jednego słowa.

— Cudny głos, istotnie! — znów poczęła mówić żaba. — Spodziewam się, że przyjdiesz wieczorem nad staw kaczy. Ja już muszę odejść do córek. Mam sześć prześlicznych córek i tak się zawsze trwożę, by ich nie napadł szczupak. Potwór to okropny i wcale by się nie wahał połknąć je na śniadanie. Do widzenia zatem: bardzo mi było przyjemnie z tobą porozmawiać.

— Piękna rozmowa! — burknęła Rakietka. — Wszak przez cały czas ty tylko mówiłaś. Tego nie nazywani rozmową.

— Trudno! Zawsze ktoś musi słuchać, a ja już wolę mówić. Zaoszczędza to dużo czasu i argumentów — odparła żaba.

— Ja jednak lubię dysputę — zauważyła Rakietka.

— Doprawdy? — ze zdumieniem podjęła żaba. — Dysputy są zawsze ordynarne, bo wszak w dobrym towarzystwie wszyscy podzielają te same opinie. Żegnaj więc raz jeszcze, bo oto widzę opodał moje córki.

Z tymi słowy żaba odpłynęła.

— Nieznośna jesteś — rzekła Rakietka — i bardzo źle wychowana w dodatku. Nie znoszę osób, wciąż mówiących o sobie, jak ty na przykład, gdy ja właśnie chciałabym mówić o sobie. Uważam to za egoizm, a egoizm jest wadą najobrzydliwszą, zwłaszcza dla ludzi mego usposobienia, bo wiesz zapewne, że znana jestem z nadzwyczajnej życzliwości. Mogłabyś sobie istotnie wziąć przykład ze mnie, bo bardzo wątpię, czy znajdziesz gdziekolwiek wzór tak godny

naśladowania. A skoro ci się nadarza tak szczęśliwa sposobność, powinnaś z niej skorzystać jak najrychlej, gdyż niedługo wracam na dwór królewski. Jestem ulubienicą dworu, a wczoraj księżę i księżniczka połączyli się węzłem małżeńskim, dla uczczenia mej obecności. Ty oczywiście nie znasz tych stosunków, będących tajemnicą dla prowincjonalnych gąsek.

— Szkoda twych słów — ozwała się ważka, siedząca na najwyższym szczycie nadbrzeżnej trzciny — szkoda twych słów, bo żaba dawno już odpłynęła.

— Ona na tym traci, nie ja — wyniośle odparła Rakietka. — Wcale nie mam ochoty przestać mówić tylko dlatego, że nikt mnie nie słucha. Lubię przysłuchiwać się sobie samej. To jedna z największych mych przyjemności. Nieraz prowadzę z sobą długie rozmowy i bywam często tak wymowna, że nie rozumiem ani jednego słowa z tego, co mówię.

— W takim razie powinnaś być właściwie wykładać filozofię — rzekła ważka. I, rozpostarłszy cudne skrzydełka z przejrzystej gazy, wzbiła się ku niebu.

— Jakże to głupio z jej strony, że nie zatrzymała się dłużej! — rzekła Rakietka. — Wątpię, czy kiedykolwiek w życiu nadarzy się jej równie szczęśliwa sposobność pogłębienia umysłu. Zresztą, cóż mnie to obchodzi. Taki geniusz, jak ja, musi pewnego dnia doczekać się należytej oceny — zakończyła, coraz głębiej zapadając w kałużę.

Po pewnym czasie przypląnęła do niej duża biała kaczka. Miała żółte nogi i błonką spojone palce, a uchodziła za wielką piękność z powodu kołyszącego się chodu.

— Kwa! kwa! kwa! — zawołała na przywitanie. — Jakaż ty masz dziwną postać! Czy wolno, pytać, zali się taką urodziłaś lub może jest to skutek wypadku?

— Widać, że całe życie spędziłaś na prowincji — odparła Rakietka — w przeciwnym razie, wiedziałabyś, kim jestem. Wybaczam ci jednak twą ignorancją. Trudno wymagać od drugich, by byli tak znakomici, jak ja. Zdziwisz się zapewne, gdy ci powiem, że umiem ulatywać w niebiosa, skąd wracam wśród ulewy złotego deszczu.

— Nie mogę się nad tym zbyt zastanawiać — odparła kaczka — gdyż nie widzę w tym wszystkim żadnego pożytku. Co innego, gdybyś umiała orać jak wół lub ciągnąć wóz jak koń albo strzec trzody jak pies pasterski.

— Moja pocziwino — rzekła Rakietka tonem pobłaźliwie wyniosłym — widzę już, że należysz do niższej sfery. Osoba z mojej klasy nigdy nie jest użyteczna. My posiadamy pewne talenty, i to wystarcza w zupełności. Co do mnie, to nie mam skłonności do żadnej roboty, a już najmniej do tych, które ty zdajesz się zalecać. Istotnie, zawsze byłam zdania, że ciężka praca jest stworzona dla ludzi, którzy w przeciwnym razie nie wiedzieliby, co począć z życiem.

— Zapewne, zapewne — rzekła kaczka, która, będąc zgodnego usposobienia, nigdy się z nikim nie sprzeczała. — Każdy ma przecież inny gust. Sądzę jednak, że zamierzasz tu osiąść.

— Ach! przenigdy! — krzyknęła. Rakietka. — Bawię tu tylko chwilowo, jako gość — bardzo znakomity gość. Nudna to jednak miejscowość. Ani tu towarzystwa, ani samotności właściwej mieć nie można. Prawdziwie małomiejska atmosfera. Prawdopodobnie wrócę niedługo na dwór królewski, bo wiem, że mam odegrać w świecie wielką rolę.

— I ja nosiłam się niegdyś z myślą poświęcenia się karierze publicznej — zauważyła kaczka. — Tyle rzeczy wymaga rychłej reformy. Brałam nawet raz udział w zgromadzeniu publicznym, i wtedy uchwaliliśmy potępić wszystko, czego nie lubimy. Tylko że nasze rezolucje nie odniosły jakoś skutku. Obecnie przenoszę życie familijne nad sprawy publiczne i żyję dla swej rodziny.

— Ja jestem stworzona do życia publicznego — rzekła Rakietka — tak samo jak wszyscy moi krewni, nawet najdalsi. Ilekroć też występujemy publicznie, wywołujemy ogólny zachwyt. Ja dotąd nie występowałam, ale gdy się ukażę, sukces będzie wspaniały. Co do życia familijnego, to bardzo szybko utracę skutkiem niego młodość, a także wyższe aspiracje.



— Ach tak! Wyższe aspiracje! Jakże one są ponętne! — zawołała kaczka. — Ale to mi przypomina, że jestem bardzo głodna. — I odplynęła w kierunku stawu, krzyząc: kwa! kwa! kwa!

— Wróć no jeszcze! wróć jeszcze! — wrzasnęła za nią Rakietka — mogę ci opowiedzieć mnóstwo zajmujących rzeczy. — Kaczka jednak nie zwracała uwagi na jej wołanie.

— Jestem zadowolona, że odeszła — mruknęła Rakietka. — Typowa drobnomieszczańska umysłowość — mruknęła po chwili i, zagłębiwszy się jeszcze bardziej w kałuży, poczęła właśnie rozmyślać nad osamotnieniem geniusza, gdy nagle nadbiegło dwóch chłopców w białych kubrakach niosąc mały kociotek i wiązane czucho.

— Zapewne deputacja do mnie — rzekła Rakietka usiłując przybrać minę pełną godności.

— Halo! — zawołał jeden z chłopców — spójrz no na ten stary kij! Nie wiem doprawdy, skąd się tu wziął! — I ostrożnie, aby się jak najmniej zabłocić, wyciągnął rakiety z kałuży.

— Stary kij! — powtórzyła Rakietka — niemożliwe! Chciał zapewne powiedzieć: złoty kij. Złoty kij, ta wcale pochlebne dla mnie. Tak, bez wątpienia wziął mnie za jedną z dam dworskich.

— Dorzucmy ten kij do naszego ogniska, to się prędzej woda zagotuje — krzyknął chłopczyk. Zrobili więc ognisko z chrucho, na sam wierzch położyli Rakiety i podpalili.

— Wspaniale! — krzyknęła Rakietka — chcą mnie widocznie wystrzelić w biały dzień, aby mnie wszyscy widzieli.

— Prześpijmy się teraz — rzekł jeden chłopiec do drugiego — zanim się zbudzimy, woda będzie już kipieć.

Położyli się więc na trawie i przymknęli oczy.

Rakiety była tak wilgotna, że przez długą chwilę nie mogła się zająć. Ostatecznie jednak objął ją płomień.

— Teraz wystrzelę! — krzyknęła prostując się. — Wiem, że wylecę ponad gwiazdy, ponad księżyc, ponad słońce. Zaiste, wylecę tak wysoko, że...

„Frr! frr! frr!” wystrzeliła w górę.

— Rozkosznie! — zawołała. — Chciałabym tak lecieć w nieskończoność. Jakąż wywołam sensację!

Ale nikt jej nie widział.

Po chwili opanowało ją uczucie dziwnego niepokoju.

— Teraz nastąpi wybuch — krzyknęła. — Cały świat podpalę i takiego narobię huku, że przez cały rok będą mówić o niczym innym, tylko o mnie. — I w istocie nastąpiła eksplozja. „Puf! puf! puf!” — trzaskał proch.

Nikt jednak tego nie słyszał, bo nawet dwaj chłopcy spali twardym snem. I jedyną rzeczą, która została z Rakietki był drzązek, a ten upadł na grzbiet gęsi, przechadzającej się właśnie nad kałużą.

— Wielkie nieba! — krzyknęła gęś. — Draży spadają teraz z chmur zamiast deszczu. — I oburzona zsunęła się na wodę.

— Wiedziałam, że wywołam ogromną sensację — ostatnim tchem szepnęła Rakietka gasnąc.

*Tłum.: Maria Feldmanowa*

## URODZINY INFANTKI

Było to w dzień urodzin infantki. Skończyła właśnie rok dwunasty, a słońce świeciło jasno w ogrodzie pałacowym.

Pomimo że była prawdziwą księżniczką i infantką Hiszpanii, to jednak tylko raz w roku obchodziła urodziny, tak samo jak dzieci całkiem zwykłych ludzi. I dlatego ważnym było oczywiście dla całego kraju, aby na tę okoliczność miała prawdziwie piękny dzień. I istotnie, dzień był prawdziwie piękny. Duże, prążkowane tulipany stały wyprostowane na swych łodyżkach niby długie szeregi żołnierzy i wyzywająco patrzyły przez ogród na róże, mówiąc:

— Jesteśmy teraz tak samo piękne jak wy.

Purpurowe motyle fruwały wokoło ze złotym pyłkiem na skrzydełkach i kolejno odwiedzały wszystkie kwiaty, jaszczureczki wylaziły ze szczelin murów, leżały w białym żarze słonecznym i wygrzewały się rozkosznie, a granaty pękały i rozłupywały się w upale, ukazując krwawe, czerwone serca. Nawet blade, żółte cytryny, tak bujnie zwisające wzdłuż omszałych trelaży i ciemnych arkad, zdawały się zapożyczać intensywniejszą barwę od cudownych promieni słońca, a magnolie rozchylały swe duże, gładkie jak zwoje kości słoniowej kwiaty, nasycając powietrze ciężką, słodką wonią.

Mała księżniczka przechadzała się z towarzyszkami po tarasie, bawiąc się przy tym w „chowanego” dokoła kamiennych waz i starych omszałych posągów. W zwykłe dni wolno się jej było bawić wyłącznie z dziećmi, równymi jej rangą, a zatem musiała się zawsze bawić sama; dzień urodzin jednak stanowił wyjątek i król wydał rozkaz, aby z młodych swych przyjaciół i przyjaciółek zaprosiła, kogo tylko zechce, do wspólnej zabawy. Jakiś dostojny wdzięk owiewał te smukłe dzieci hiszpańskie, gdy się tak przemykały tu i ówdzie; chłopcy w kapeluszach o długich piórach i krótkich fruujących na wietrze mantylach, dziewczątka, unoszące treny swych powłóczystych brokatowych szat i dużymi czarno-srebrnymi wachlarzami zasłaniające oczy przed słońcem. Ale najwdzięczniejsza ze wszystkich była infantka i najgustowniej też ubrana, jakkolwiek podług uciążliwej ówczesnej mody. Miała na sobie suknię z szarego jedwabiu; obramowanie i duże bufiaste rękawy były bogato haftowane srebrem, a sztywny gorset wyszyty sznurami prześlicznych pereł. Drobne trzewiczki z sutymi różowymi kokardami wyglądały spod sukni, gdy się przechadzała. Koloru różowoperłowego był też jej ogromny gazowy wachlarz, a we włosach, które jak aureola z matowego złota sztywnie okalały jej bladą twarzyczkę, nosiła cudną białą różę. Przez jedno z okien pałacowych król spoglądał na nią melancholijnym wzrokiem. Za nim stał jego brat, Piotr Aragoński, którego nienawidził, a obok niego siedział spowiednik królewski, Wielki Inkwizytor z Grenady. Król smutniejszy był niż zwykle, patrząc bowiem na infantkę, jak z dziecinną powagą oddawała ukłony zgromadzonym dworzanom lub spoza wachlarza śmiała się ze srogiej księżnej Albuquerque, nieodstępnej swej towarzyszki, musiał myśleć o jej matce, młodej królowej, która — takie miał wrażenie — niedawno dopiero przybyła z wesolej Francji, by zwiędnąć w posępnej wspaniałości dworu hiszpańskiego; zmarła bowiem w pół roku po urodzeniu dziecka, zanim zdołała po raz drugi zobaczyć kwitnące w ogrodzie drzewa migdałowe i drugi raz zerwać owoc ze starego, sękatego drzewa figowego rosnącego w środku trawą zarośniętego podwórza. Tak wielką była jego miłość ku niej, że nie pozwolił nawet ukryć jej przed sobą w grobie. Została więc zabalsamowana przez mauretańskiego lekarza, któremu za tę usługę darowano życie, należące już do Świętej Inkwizycji za zbrodnię kacerstwa i ciężące na nim podejrzenia o czarnoksięstwo. Zwłoki jej

dotąd jeszcze leżały na makata pokrytych marach w kaplicy pałacowej z czarnego marmuru, tak jak je ułożyli byli mnisi w ów wietrzny dzień marcowy przed niespełna dwunastu laty. Raz na miesiąc król otulony ciemnym płaszczem, z przysłoniętą latarką w ręku wchodził do kapliczki, klękał u zabalsamowanych zwłok, wołając: *mi reina! mi reina!*\* A czasem, łamiąc formy etykiety, krępującej w Hiszpanii każdy czyn życiowy i stawiającej granicę nawet cierpieniem króla, w dzikiej męce bólu chwycił blade, pierścieniami okryte ręce, obłądnymi pocałunkami usiłując ożywić zimne, pomalowane oblicze. Dziś zdawało mu się, że ją znów widzi, jak ją widział był po raz pierwszy w zamku Fontainebleau, gdy liczył lat piętnaście, a ona jeszcze mniej. Wówczas nuncjusz papieski zaręczył ich formalnie wobec króla francuskiego i całego dworu, po czym on wyjechał z puklem złotych włosów i wspomnieniem dziecięcych ust, co się pochylały nad jego ręką, by ją ucałować, gdy wsiadał do powozu. Później odbył się ślub, spieszenie odcelebrowany w Burgos, małej miłościnie na pograniczu obydwu krajów, następnie publiczny wjazd do Madrytu, ze zwykłym uroczystym nabożeństwem w kościele La Atocha i niezwykle uroczystym *auto-da-fé*\*, podczas którego niemal trzystu kacerzy, między nimi wielu Anglików, przekazano władzy świeckiej — do spalenia.

Istotnie, kochał ją szalenie, a jak niektórzy twierdzili, na zgubę swego kraju, walczącego podówczas z Anglią o władzę nad Nowym Światem. Ani na chwilę nie chciał jej tracić z oczu; dla niej — tak się przynajmniej zdawało — zaniedbywał poważne sprawy państwowe, w strasznym zaślepieniu, o jakie namiętność przyprawia swych niewolników, nie zauważając wcale, że wspaniałe uroczystości, którymi stara się ją rozweselić, potęgują właśnie okropną chorobę, która ją trawi. Gdy zmarła, był przez pewien czas jakby pozbawiony rozumu. Niewątpliwie byłby też zrezygnował z korony i schronił się do wielkiego klasztoru Trapistów koło Grenady (nosił już nawet tytuł przeora), gdyby nie obawa pozostawienia małej infantki w rękach brata, którego okrucieństwo nawet w Hiszpanii budziło oburzenie, a którego niektórzy podejrzewali, że parą zatrutych rękawiczek spowodował śmierć królowej, bawiącej u niego w gościnie na zamku w Aragonii. Nawet po upływie trzechletniej żałoby publicznej, nakazanej królewskim edyktem w całym obszarze państwa, król nigdy nie pozwolił swym ministrom o innym wspominać mu związku; a kiedy sam cesarz przysłał doń posłów, ofiarowując mu rękę swej siostrzenicy, milutkiej arcyksiężniczki czeskiej, rozkazał posłom, by władcy swemu powiedzieli, że król hiszpański zaślubił żałobę, a jakkolwiek zimna to oblubienica, jednak kocha ją więcej niż piękność. Odpowiedź ta pozbawiła koronę hiszpańską bogatych Niderlandów, bo wkrótce potem zbuntowały się przeciw niemu dzięki staraniom cesarza, a pod przewodnictwem kilku fanatyków zreformowanego kościoła.

Dziś miał wrażenie patrząc na bawiącą się na tarasie infantkę, że ponownie przeżywa całe dzieje swego małżeństwa, z jego szalonymi płomiennymi radościami i strasznym bólem nagłego zakończenia. Miała ona w swym zachowaniu cały swobodny wdzięk zmarłej królowej, ten sam kapryśny sposób odrzucania w tył głowy, te same dumnie zarysowane, piękne usta, ten sam czarowny uśmiech — *vrai sourire de France*\* — gdy od czasu do czasu rzucała spojrzenie w stronę okna lub dostojnym panom hiszpańskim podawała do pocałunku drobną swą rączkę. Ale głośny śmiech dzieci boleśnie raził jego uszy, a jasne bezlitosne słońce szydziło niejako z jego zgrzyoty. Zdawało mu się, że jakaś ciężka, dziwna woń mirry, jakiej się używa do balsamowania trupów — czyżby to było złudzenie? — przenika świeże poranne powietrze. Ukrył twarz w dłoniach, a gdy infantka znów spjrzała w okno, stopy były spuszczone, a król widocznie się był

---

\* moja królowa! moja królowa!

\* całopaleniem

\* prawdziwy uśmiech Francji

oddalił.

Uczyniła gest rozczarowania i wzruszyła ramionami. Istotnie, mógłby być przecież pozostać przy niej w dniu jej urodzin. Co mu zależy na tych głupich sprawach państwowych? Czy może znów poszedł do tej ciemnej kaplicy, gdzie zawsze płonęły świece, a jej nigdy nie było wolno wejść? Czyż to nie głupio z jego strony czynić coś takiego, gdy słońce świeci tak jasno i wszyscy są tak szczęśliwi? Nie zobaczy nawet parodii walki byków, do której właśnie wzywają trąby, wcale już nie mówiąc o przedstawieniu marionetek i innych cudownych rzeczach. Jej wuj i Wielki Inkwizytor są rozsądniejsi. Wyszli na taras i prawią jej komplementy. Odrzuciła w tył głowę i, ująwszy za rękę Don Pedra, powoli schodziła w stronę podłużnego namiotu z purpurowego jedwabiu, ustawionego w głębi ogrodu; inne dzieci szły za nią, uszeregowane najściślej podług rangi: dzieci o najdłuższych nazwiskach szły pierwsze.

Procesja szlachetnie urodzonych chłopców, przybranych w fantastyczne stroje toreadorów, wysła naprzeciw niej, a młody hrabia Terra-Nueva, cudownie piękny, niespełna czternastoletni chłopiec, odkrywszy głowę z całym wdziękiem hidalga i granda Hiszpanii, uroczyście poprowadził ją do krzesła ze złota i kości słoniowej, ustawionego na podwyższeniu, ponad areną. Dzieci rozsypały się dokoła i szeptały między sobą, poruszając dużymi wachlarzami, a Don Pedro i Wielki Inkwizytor uśmiechnięci stanęli u wnijscia. Nawet księżna — nazywano ją *Camerero-Major*\* — chuda dama o twardych rysach, w żółtej kryzie nie wyglądała tak pochmurnie, jak zazwyczaj; coś na kształt lodowatego uśmiechu przemknęło po jej zmarszczonej twarzy, a jej cienkie, bezkrwiste wargi zadrgały.

Walka byków była istotnie cudna, a infantka twierdziła, że jest znacznie ładniejsza od prawdziwej walki byków, którą widziała w Sewilli, gdy księżę Parmy bawił w gościnie u jej ojca. Kilku chłopców jechało na bogato przystrojonych konikach drewnianych, wymachując długimi dzirydami, na których powiewały pęki barwnych wstęg, inni, piesi, wywijali szkarłatnymi chustami przed oczyma byka, lekko przeskakując na drugą stronę bariery, gdy się na nich rzucał. A sam byk zupełnie był podobny do prawdziwego byka, pomimo że był zrobiony z wyplatanej łożyny i obleczony skórą; nieraz uporczywie na tylnych tylko nogach pędził po całej arenie — co prawdziwemu bykowi nawet we śnie nie przysłoby do głowy. Walczył cudnie, a dzieci były tak podniecone, że, wskoczywszy na ławy, powiewały koronkowymi chustkami, wołając: *bravo toro! bravo toro!*\*, z tym samym zrozumieniem, z jakim by to czynili dorośli. Wreszcie, po długiej walce, w której na śmierć zakłuto kilka koników i z siodła zrzucano jeźdźców, młody hrabia Terra-Nueva powalił byka na kolana, a otrzymawszy zezwolenie od infantki, zadał mu *coup de grâce*\* z taką siłą topiąc w karku zwierzęcia drewniany swój mieczyk, że głowa byka spadła, a ukazała się spod niej roześmiana twarz małego monsieur de Lorraine, syna francuskiego ambasadora w Madrycie.

Wśród gorących oklasków uprzątnięto arenę, a dwóch paziów maurytańskich w czarno-żółtych liberiach uroczyście wywlokło martwe koniki. Po krótkim intermezzo, podczas którego francuski linoskoczek ukazał się na wyciągniętej linie, zaprezentowały się na scenie małego, na ten cel wybudowanego, teatru włoskie marionetki w na wpół klasycznej tragedii: Sofonisba. Grały tak dobrze i miały gestykulację tak naturalną, że pod koniec przedstawienia oczy infantki zaćmiły się łzami. Niektóre dzieci naprawdę płakały i musiano je pocieszać słodyczami, a nawet sam Wielki Inkwizytor był do tego stopnia wzruszony, iż wobec Don Pedra nie mógł się powstrzymać od uwagi, iż wydaje mu się niewłaściwe, aby zwyczajne lalki z drzewa i

---

\* Pierwszą damą dworu

\* dzielny byk! dzielny byk!

\* śmiertelny cios (dosłownie: cios łaski)

kolorowego wosku, mechanicznie poruszane drutami, miały być tak nieszczęśliwe i tak strasznym ulegać katastrofom.

Następnie wszedł kuglarz afrykański niosąc w ręku duży, płytki kosz, nakryty czerwonym suknem. Podstawił go na środku areny, po czym z turbanu wyjął dziwny flet z trzciny i zaczął na nim grać. Po kilku sekundach czerwona chusta zaczęła się poruszać, a w miarę jak dźwięki fletu stawały się coraz przenikliwsze, dwa zielonawożłote węże wysunęły z kosza swe bryłowate łby i, powoli wyprostowawszy cielska, kołysały się w takt melodii tak, jak roślina kołysze się w wodzie. Dzieci wszakże bały się ich plamistych kapturów i szybko poruszających się języków i znacznie większe okazały zadowolenie, gdy na znak kuglarza wyrosło na piasku drzewo pomarańczowe, które w okamgnieniu okryło się białym kwieciem, a następnie pękami prawdziwych owoców. A kiedy kuglarz wziął wachlarz córeczki markiza de Las Torres i przemienił go w błękitnego ptaka, który latał po całym namiocie, śpiewając — zdumienie i radość młodocianych widzów nie znały już granic. Także uroczysty menuet, wykonany przez dzieci z chóru kościoła Nuestra Senora del Pilaz, był czarujący. Infantka nigdy jeszcze nie widziała tej cudownej ceremonii, jakkolwiek odbywała się ona co rok, w miesiącu maju, przed wielkim ołtarzem Madonny i na jej cześć; nikt jednak z królewskiej rodziny nie przestępował progów katedry w Saragossie, odkąd szalony kapłan — niektórzy sądzą, że był on przekupiony przez Elżbietę angielską — usiłował księciu Asturii podać zatruty opłatek. Tak więc tylko z opowiadania znała tak zwany „taniec naszej królowej” i istotnie było to widowisko piękne. Chłopcy ubrani byli w staroświecki strój dworski z białego aksamitu, a ich dziwaczne trójkątne kapelusze obszyte były frędzlą i przybrane pękami powiewających strusich piór; niepokalaną biel kostiumów, lśniąca w promieniach słońca, podkreślały jeszcze ich ciemnobrunatne twarzyczki i długie czarne włosy. Całe audytorium było zachwycone powagą i godnością z jaką wykonywali zawile figury tańca, szlachetnym wdziękiem ich powolnych gestów i dumnych ukłonów, a kiedy po ukończeniu menueta zdjęli przed infantką swe duże, w pióra zdobne kapelusze, ona z wielką łaskawością przyjęła ich hołd, ślubując, że przyśle na ołtarz Madonny z Pilaz dużą świecę woskową w podzięce za przyjemność, jaką ją obdarzyła.

Następnie wszedł na arenę orszak pięknych Egipcjan — tak podówczas nazywano Cyganów; usiedli kołem na ziemi z podwiniętymi nogami i poczęli grać na cytrach, kołysząc się w takt melodii i mrużąc prawie niedosłyszalnie smętną, marzycielską pieśń. Na widok Don Pedra zachmurzyli się, a niektórych ogarnęła trwoga, bo dopiero przed paru tygodniami kazał dwóch z ich gromady powiesić na rynku w Seville, obwiniając ich o czary. Ale piękna infantka tak ich zachwycała, gdy w tył przechylona spoglądała na nich spoza wachlarza swymi dużymi, błękitnymi oczyma, że powoli odzyskiwali równowagę czując, że tak urocza istota nie mogłaby dla nikogo być okrutna. Dalej więc grali, cicho, delikatnie, zaledwie muskając struny długimi, spiczastymi paznokciami, kiwając przy tym głowami, jakby mieli zasnąć. Nagle zerwali się z tak przeraźliwym krzykiem, że dzieci drgnęły przestraszone, a Don Pedro chwycił za agatową rękojeść miecza; oni tymczasem poczęli wirować po arenie jak szaleni uderzając w tamburyny i w obcej, gardłowej mowie śpiewając dziką pieśń miłosną. Na ponowny jednak znak znów się rzucili na ziemię i tak pozostali całkiem nieruchomi i tylko monotony dźwięk cytr zakłócał ciszę. Powtórzywszy to samo kilka razy, oddalili się na chwilę, po czym wrócili wiodąc na łańcuchu dużego, kudłatego niedźwiedzia, a na ramionach niosąc małpki berberyjskie. Niedźwiedź z największą powagą stawał na głowie, a małpki wyprawiały przeróżne figle z dwojgiem Cyganiątek, które zdawały się być ich panami. Wywijały więc mieczykami i strzelały z armat, wykonując takie same ćwiczenia wojskowe jak przyboczna straż królewska. Jednym słowem Cyganie mieli ogromne powodzenie.

Najweselszym wszakże punktem rannej zabawy był niewątpliwie taniec małego karła. Gdy

potykając się co krok wszedł na arenę, skacząc na krzywych nogach i na obydwie strony kołysząc dużą, bezkształtną głową, dzieci wydały okrzyk zachwytu, a nawet sama infantka tak się śmiała, iż Camerera zmuszona była jej przypomnieć, że jakkolwiek istnieją pewne szczególne wypadki, pozwalające córce króla hiszpańskiego płakać wobec równych sobie urodzeniem, to jednak niesłychaną jest rzeczą, aby księżniczka krwi królewskiej była wobec niższych urodzeniem tak wesoła. Karzeł był jednak w istocie niezrównany i nawet na dworze hiszpańskim, od dawien dawna znanym z wyrafinowanego zamięłowania do rzeczy strasznych, nigdy jeszcze nie widziano tak fantastycznego potworka. Dziś był właśnie pierwszy jego występ. Odkryto go dopiero przed dwoma dniami, gdy całkiem dziki uganiał po lesie, a dwóch grandów polowało właśnie w odległej części lasu, okalającego miasto, tam gdzie rosły dęby korkowe. Oni to przywiedli go do pałacu, jako niespodziankę dla infantki, gdyż ojciec karzełka, biedny węglarz, aż nadto chętnie się zgodził, by go uwolniono od tak szkaradnego i bezużytecznego dziecka. Najkomiczniejszą może rzeczą w karle była zupełna nieświadomość własnej śmieszności. Zdawał się być całkiem szczęśliwy i w doskonałym humorze. Gdy dzieci się śmiały, on również się śmiał, tak samo swobodnie i serdecznie jak każde z nich, a po skończeniu każdego tańca składał przed każdym z osobna komiczny ukłon i śmiał się, ł kiwał do nich głową, jakby był jednym z ich grona, a nie małym, bezkształtnym potworkiem, stworzonym przez naturę w przystępie kapryśnego humoru, na pośmiewisko dla drugich. A infantka całkowicie go oczarowała. Nie mógł od niej oderwać oczu i dla niej tylko zdawał się tańczyć; ona zaś, przypomniawszy sobie pod koniec przedstawienia, jak wielkie damy dworskie obrzucały bukietami sławnego włoskiego tenora, Caffarelię, którego sam papież przysłał z własnego chóru do Madrytu, by czarem swego głosu wyleczył króla z melancholii — przypomniawszy to sobie, wyjęła z włosów białą różę i na wpół żartem, na wpół dla zirytowania Camerery z najczarowniejszym uśmiechem rzuciła ją karłowi na arenę. On jednak, biorąc to wszystko bardzo na serio, przycisnął kwiat do czerwonych warg i do serca przyłożył rękę, błogi uśmiech rozszerzył mu usta od ucha do ucha, a małe, błyszczące oczka zapłonęły radością.

Wszystko to tak bardzo zachwiało powagą infantki, że śmiała się niepowstrzymanie, chociaż karzeł dawno już zniknął z areny, a wobec wuja wyraziła nawet życzenie, by taniec powtórzono. Camerera jednak zdecydowała, że ze względu na nieznośny upał lepiej będzie, jeśli jej wysokość zaraz wróci do pałacu, gdzie czeka już wspaniała uczta i prawdziwy piernik z inicjałami z kolorowego cukru, a nad tym wszystkim powiewa mała chorągiewka. Przeto infantka powstała z wielką *grandezzą*\* i wydawszy rozkaz, aby karzeł raz jeszcze tańczył dla niej po sjeście poobiedniej, wyraziła młodemu hrabiemu Terra-Nueva podziękowanie za tak cudowne przyjęcie i z powrotem udała się do swych komnat; za nią szły dzieci w tym samym porządku, w jakim przybyły.

A mały karzeł usłyszawszy, że jeszcze raz ma tańczyć przed infantką i to na własny jej rozkaz, uczuł się tak dumny, że pobiegł do ogrodu i w bezpamiętnej radości całował białą różę, wykonując przy tym najniezgrabniejsze i najdziwaczniejsze gesty zachwytu.

Kwiaty były wprost oburzone, że śmiał wtargnąć do ich pięknej siedziby, a widząc, jak karzeł skacze po ścieżkach i w komiczny sposób wymachuje ramionami — nie mogły już dłużej uczuć swych hamować.

— Istotnie, zbyt jest szkaradny, abyśmy mu miały pozwolić bawić się w naszej obecności! — zawołały tulipany.

— Powinien by się napić soku makowego i zasnąć na tysiąc lat — rzekły duże szkarłatne lilie unosząc się gniewem.

---

\* dostojnością

— Prawdziwe straszycło! — krzyknął kaktus. — Cały przecież jest pokrzywiony i powyginany, a głowę ma zupełnie nieproporcjonalną do nóg. Doprawdy, że czuję już gęsią skórę na całym ciele; niech się tylko odważy zbliżyć, natychmiast pokłuję go kolcami.

— I do tego nosi jeden z najpiękniejszych moich kwiatów! — wykrzyknął krzew białej róży. — Sam go dziś rano dałem infantce, jako podarek na urodziny, a on go jej ukradł. — I na cały głos poczęła wołać: — Złodziej! Złodziej! Złodziej!

Nawet czerwone pelargonie, które zazwyczaj wcale nie zwykły się pysznić, bo wiadomo przecież, że same posiadają licznych ubogich krewnych, otrząsały się ze wstrętu na jego widok, a kiedy fiołki skromnie zauważyły, że jest wprawdzie strasznie brzydki, ale wszak to nie jego wina, pelargonie z chłodną powagą odparły, że to właśnie największa jego wada i nie widzą powodu podziwiania człowieka dlatego, że jest nieuleczalny. I istotnie, nawet niektóre fiołki czuły, że brzydota małego karła jest niemal natrętna i że okazałby znacznie więcej dobrego smaku, gdyby miał minę smutną lub przynajmniej zadumaną, zamiast tak skakać wesoło i przybierać dziwne a idiotyczne pozy.

A stary zegar słoneczny, osobistość bardzo wybitna co ongi samemu cesarzowi Karolowi V anonsował godziny — zegar ów tak był przerażony zjawieniem się małego karła, że długim swym, ciemnym palcem zapomniał wskazać niemal całe dwie minuty; wreszcie nie mogąc się dłużej hamować, zwrócił się do dużego, białomlecznego pawia, co się wygrzewał w słońcu, z sentencją, że każdemu przecież wiadomo, że dzieci królów są królami, a dzieci węglarzy węglarzami i nedorzecznością byłoby twierdzić inaczej. To stwierdzenie faktu bardzo zadowoliło pawia, który odkrzyknął: — Zapewne! zapewne! — i to głosem tak ostrym i przeraźliwym, że złote rybki, mieszkające w chłodnej, szemrzącej studni, wychyliły główki spod wody, pytając dużych kamiennych trytonów, co to, u licha, się dzieje.

Ptaki jednak kochały małego karła. Często go widywały w lesie, gdy jak elf tańczył po murawie, aż opadłe liście podlatywały do góry, lub też, przycupnąwszy w wydrążeniu starego dębu, z wiewiórką dzielili uzbierane orzechy. Wcale ich nie obchodziła jego brzydota. Ba! toż sam słowik, co wieczorami tak cudnie śpiewa w gajach pomarańczowych, że nieraz nawet księżyc niżej spływa, by się przysłuchiwać — toż sam słowik wygląda wcale nieszczególnie; przy tym... karzeł był dla nich zawsze taki dobry, a podczas owej strasznie ostrej zimy, gdy na drzewach nie było żadnych jagód, a ziemia twarda była jak żelazo i wilki aż pod bramy miasta zapędzały się za pożywieniem, on nigdy o nich nie zapomniał, lecz zawsze im dawał okruszyny z małej kromki razowego chleba i zawsze się z nimi dzielił, pomimo że sam miał tak bardzo nędzne śniadanie.

Dlatego też fruwały teraz koło niego, w locie muskając mu policzki delikatnymi skrzydełkami i coś do niego świegocąc, a mały karzeł tak był wesół, że nie mógł się powstrzymać od pokazania im białej róży, przy czym opowiedział, że dała mu ją sama infantka, ponieważ go kocha.

Nie rozumiały wprawdzie ani słowa z tego, co im mówił, ale wcale to nie szkodziło; pochylały bowiem główki na bok i robiły mądre minki, a to znaczy tyleż, co rozumieć, a znacznie jest łatwiejsze.

Także jaszczurki miały dla niego wiele sympatii i kiedy nie mogąc dłużej biegać, padł znużony na trawę, aby odpocząć, skakały po nim i igrały, usiłując go zabawić, jak tylko umiały.

— Nie każdy może być tak piękny jak jaszczurka! — wołały — byłoby to żądanie zbyt śmiałe. I jakkolwiek to brzmi nedorzecznie, jednak prawdą jest, że nie taki on znów szkaradny. Tylko należy oczywiście zamknąć oczy i wcale na niego nie patrzeć. — Jaszczurki miały umysł bardzo filozoficzny i nieraz wysiadywały razem całymi godzinami i rozmyślały — o ile, rozumie się, nie miały innego zajęcia lub słowa nie pozwalała im wyjść na przechadzkę.

Kwiaty natomiast okropnie były oburzone ich zachowaniem się, a także zachowaniem się

ptaków.

— To znów dowodzi — mówiły — jak demoralizująco działa to ustawiczne bieganie i latanie tam i na powrót. Kto jest dobrze wychowany, pozostaje zawsze na tym samym miejscu jak my. Nas nigdy nie widziano, abyśmy skakały po ścieżynach lub uganiały po trawie za jętkami jak szaleńcy. Jeśli nam potrzeba zmiany powietrza, to posyłamy po ogrodnika, a on nas przenosi na inną grzędę. Tak wypada i tak być powinno. Ale ptaki i jaszczurki nie mają wcale poczucia spokoju. Ptaki nie mają przecież nawet stałego adresu. Istne awanturniki, jak Cyganie, i tak samo należałoby je traktować.

Tak mówiąc, do góry zadzierały nosy, z pychą rozglądając się dokoła i bardzo były zadowolone, gdy ujrzały, że po pewnym czasie karzeł zerwał się z trawy i tarasem pobiegł w stronę pałacu.

— Doprawdy, na resztę życia należałoby go zamknąć w domu — mówiły między sobą. — Spójrzcie no tylko na te zgarbione plecy i te krzywe, pałakowate nogi — zachichotały.

Ale mały karzeł nic o tym wszystkim nie wiedział. Bardzo mu się podobały ptaki i jaszczurki i myślał, że na całym świecie nie ma nic piękniejszego nad kwiaty — oczywiście z wyjątkiem infantki. Ale ona dała mu białą różę i kochała go, a to zmieniało wiele. Jakże mu było przykro, że za nią nie poszedł! Byłaby mu wyznaczyła miejsce po swej prawicy, a on nie byłby od niej odstąpił ani na jeden krok, lecz byłby z niej zrobił towarzysza swych zabaw i wyuczył wszystkich tych cudnych sztuczek, które sam umiał. Bo chociaż nigdy przed tym nie był w pałacu, to jednak umiał wiele niezwykłych rzeczy. Umiał z sitowia wyplatać małe klatki, w których skaczą pasikoniki, i umiał ze smukłego bambusu wystrugać flet, którego dźwięków tak chętnie słucha Pan leśny. Znał głos każdego ptaka i umiał przywabić szpaka ze szczytu drzewa i czaple z bagna. Znał ślad każdego zwierzęcia i po lekkim odcisku stóp umiał wytropić zająca, a po zdeptanych liściach dzika. Znał każdy taniec wiatru: szalony tan w czerwonej szacie, jesienią, lekki tan w błękitnych sandałach ponad łanami zboża, tan w białych śnieżnych wieńcach w zimie i tan pączków poprzez ogrody wiośniane. Wiedział, gdzie dzikie gołębie ścielą sobie gniazda, a kiedy raz ptasznik złowił w swe sidła parę starych gołębi, on sam wychował pisklęta usławszy im gniazdo w wydrążeniu strzaskanego przez burzę wiązu. Były całkiem obłąskawione i co ranka jadły mu z ręki. Jej spodobałyby się one z pewnością, a także króliki skaczące wśród paproci i sójki o twardych jak stal piórach i czarnych łebkach, i jeże zwijające się w iglaste kłębki, i duże mądre żółwie, co chodzą powoli, potrząsając głowami i obgryzając młode liście. Tak, naturalnie, ona musi pójść z nim do lasu i tam się bawić. Odstąpi jej swe łóżeczko i czuwać będzie pod oknem aż do świtu, by dzikie rogate stworzenia nie zrobiły jej nic złego, a chude wilki nie zbliżyły się zbyt do chaty. A o świcie zapuka do okiennic i zbudzi ją, a ona wyjdzie do niego i przez cały dzień będą razem tańczyć. Dalibóg, w lesie wcale nie było samotnie. Czasem przejeżdżał biskup na białym mule czytając z malowanej księgi. Innym razem w zielonych aksamitnych czapkach i kaftanach z wyprawionej skóry przejeżdżali sokolnicy z zakapturzonymi sokołami na ręku. Podczas winobrania przychodzili ludzie wyciskający winne grona, z purpurowymi rękami i nogami, uwieńczeni lśniącym bluszczem i niosąc skórzane wory, ociekające winem, zaś węglarze siedzieli nocą przy swych wielkich ogniskach patrząc, jak suche drwa powoli się zwęglają, i piekąc kasztany w gorącym popiele, a zbóje wychodzili ze swych pieczar i żartowali z nimi. Raz widział nawet piękną procesję, powoli kroczącą po drodze pełnej kurzu ku Toledo. Na czele szli mnisi wdzięcznie śpiewając i niosąc pstre chorągwie i krzyże złociste, potem żołnierze w srebrnych zbrojach z muszkietami i pikami, a pośrodku kroczyło trzech bosych mężczyzn, w dziwnych żółtych strojach, pomalowanych w cudowne jakieś figury, a w rękach nieśli płonące świece. O! w lesie będzie miała wiele do oglądania, a gdy uczuje znużenie, on jej wyszuka miękką ławeczkę z mchu lub weźmie na ręce, ponieważ bardzo jest



silny, jakkolwiek gam wie, że duży nie jest wcale. Naszyjnik jej zrobi z leśnych jagód, a będą równie ładne jak te białe, co nosiła na sukni, a gdy się jej uprzykrzą, będzie je mogła odrzucić, bo on jej zaraz wyszuka inne. Będzie jej znosił miseczki z żołądzi i tysiące anemonów i drobne robaczki świętojańskie, by niby gwiazdy świeciły w bladym złocie jej włosów.

Ale gdzież ona? Zwrócił się do białej róży, ale mu nie odpowiedziała. Cały pałac zdawał się być pogrążony we śnie, a nawet tam, gdzie okiennice nie były zamknięte, ciężkie zasłony zwisające u okien nie przepuszczały żaru słonecznego. Chodził wokoło chcąc znaleźć miejsce, któreby mógłby wejść: aż wreszcie odkrył ukryte drzwiczki, na szczęście stojące otworem. Wsunął się nimi i nagle stanął we wspaniałej komnacie, kto wie, czy nie wspanialszej od lasu, bo było tu wszędzie znacznie więcej złota, a nawet podłoga była z dużych, kolorowych kamieni, ułożonych w kształt figur geometrycznych. Ale małej infantki tu nie było i tylko kilka białych figur spoglądało na niego z jaspisowych piedestałów swymi smutnymi, martwymi oczyma z dziwnym uśmiechem na ustach.

Na drugim końcu sali wisiała bogato haftowana kotara z ciężkiego aksamitu, cała zasiana słońcami i gwiazdami — najulubieńszymi symbolami króla — i koloru najmiłszego oczom monarchy. Może ukryła się za tą kotarą? W każdym razie należy spróbować.

Podkraść się ostrożnie i odsunął kotarę. To była tylko dalsza komnata i jak mu się zdało, inna od tej, z której wyszedł. Ściany były okryte zielonymi arrasami wykonanymi ręcznie dywanowym ścięciem i przedstawiały polowanie i wiele postaci. Było to dzieło kilku artystów flamandzkich, którzy nad nim pracowali przeszło siedem lat. Komnatę tę zajmował ongi Jean le Fou, ów szalony król, co tak kochał polowanie, że nieraz w bezprzytomnych deliriach dosiadał stające dęba olbrzymie rumaki, by ubić jelenia, na którego skakały już wielkie psy gończe i dmąc w róg myśliwski, sztyletem godził w przerażone i co tchu zmykające zwierzę. Teraz komnata ta służyła za salę obrad, a na stole leżały czerwone teki ministerialne, na których wyciśnięte były złote tulipany hiszpańskie oraz herb i godła domu Habsburgów.

Mały karzeł rozglądał się pełen zdumienia, nie mając odwagi iść dalej. Ci dziwni milczący rycerze, tak chyżo przemykający przez rozległe polany, bez najmniejszego szmeru ni szelestu — wydali mu się niby owe straszne upiory, o których słyszał od węglarzy, owe okropne *comprachos*, co tylko nocą urządzają sobie polowanie, a gdy spotykają człowieka, zamieniają go w sarnę, którą następnie ścigają. Ale myśl o infantce nowej mu dodała odwagi. Ją tylko pragnie odszukać, by jej powiedzieć, że i on ją kocha. Może siedzi w sąsiednim pokoju.

Pomknął przez miękkie dywany mauretańskie i otworzył drzwi. Nie! I tam jej nie było. Komnata wspaniała, lecz całkiem pusta. Była to sala tronowa, służąca do przyjmowania obcych ambasadorów, o ile król — co się już od dawna nie zdarzyło — raczył im udzielić audiencji. Ta sama sala, w której przed wielu laty zjawili się posłowie Anglii dla zawarcia układu, dotyczącego małżeństwa swej królowej — naówczas jednej z katolickich królowych w Europie — z najstarszym synem cesarza. Tapety były z wyłaczanej skóry kordobańskiej, a ciężki, złożony, wieloramienny świecznik na trzysta świec woskowych zwisał z białocznego sufitu. Pod olbrzymim baldachimem ze złotego sukna, na których perłami wyszyte widniały lwy i wieże Kastylii, ustawiony był tron, zasłonięty wspaniałą kotarą z czarnego aksamitu, obramowaną srebrnymi tulipanami i lśniącą frędzlą ze srebra i pereł. Na drugim stopniu wiodącym do tronu umieszczono klęcznik infantki z poduszką ze srebrzystej tkaniny, a nieco na uboczu, poza baldachimem, stało krzesło nuncjusza papieskiego, który sam jeden tylko zażywał przywileju siedzenia w obecności króla podczas wszystkich ceremonii publicznych; tuż obok na purpurowym taborecie spoczywał kapelusz kardynalski z szkarłatnymi, poplątanymi chwastami. Naprzeciw tronu, na ścianie wisiał naturalnych rozmiarów portret Karola V w stroju myśliwskim, z dużym psem u boku, zaś portret Filipa II przyjmującego hołd Niderlandów zajmował średnią

część drugiej ściany. Pomiedzy oknami stała szafa z czarnego hebanu, wykładana taflami z kości słoniowej, na której wyryte były postacie z Tańca Śmierci Holbeina — jak niektórzy powiadają, ręką samego mistrza.

Ale mały karzeł nie troszczył się o wszystkie te wspaniałości. Swej róży nie oddałby za wszystkie perły zdobiące baldachim, ba, za tron cały nie oddałby ani jednego jej listeczka. Chciał tylko zobaczyć infantkę przed jej wyjściem do namiotu i poprosić ją, by z nim poszła, skoro ukończy taniec. Tu w pałacu powietrze było duszne i ciężkie, ale w lesie powiewał świeży wiatr, a promienie słońca migocącymi dłońmi rozdzielają drżące liście. A jakie kwiaty były w lesie, może nie tak cenne jak te w ogrodzie, ale za to słodsza rozsiewające woń; wczesną wiosną hiacynty, falującą purpurą wypełniające chłodne parowy i trawą okryte wzgórza, żółte pierwiosniki, w małych kępkach tulące się do zmurszałych korzeni dębów, pstre jaskółcze ziele i błękitny przetacznik, i irysy złote i liliowe. Na leszczynie wisiały szare kocianki, a naparstnik ugiął się pod ciężarem swego nakrapianego kwiecica, wśród którego tak swobodnie gospodarowały pszczoły. Kasztan miał na sobie całe wieżyce białych gwiazd, a na krategusie lśniły blade cudowne księżycy. Tak, z pewnością, ona z nim pójdzie — oby ją tylko odszukał. Pójdzie z nim do pięknego lasu, a on będzie dla niej tańczył przez cały dzień — aby jej tylko było przyjemnie. Uśmiech rozświetlił mu oczy na samą tę myśl i odważnie przeszedł do komnaty następnej.

Ze wszystkich, które widział, komnata ta była najwspanialsza i najpiękniejsza. Ściany okrywał różowy adamaszek w ptaki i delikatne srebrzyste kwiaty, meble były z masywnego srebra, zdobne w kwietne girlandy i fruujące amorki, przed dwoma dużymi kominkami stały parawany, całe haftowane w papugi i pawie, a posadzka z zielonego onyksu zdawała się ciągnąć w dal nieprzejrzaną. I nie był tu sam. Ukryty w cieniu drzwi, dostrzegł na drugim końcu komnaty drobną postać, która mu się przyglądała.” Serce mu zadrżało w piersi, a z ust wyrwał się okrzyk radości. Żywo postąpił na środek jasnej komnaty, ale, gdy to uczynił, drobna postać też postąpiła ku środkowi, i mógł ją ujrzeć dokładnie.

Infantka! O, był to potwór, najdziwaczniejsza poczwara, jaką kiedykolwiek widział na oczy. Całkiem inaczej zbudowany od reszty ludzi, zgarbiony, o krzywych nogach, potwór ów miał olbrzymią, na dół zwieszoną głowę, okrytą grzywą czarnych włosów. Karzeł zmarszczył brwi, a potwór również zmarszczył brwi. Zaśmiał się, a tamten natychmiast mu zawtórował, tak samo jak on ujmując się pod boki. Skłonił mu się szyderczo, a potwór oddał ukłon równie głęboki. Ruszył ku niemu, a tamten także szedł mu naprzeciw, naśladowując każdy jego krok i przystając, gdy on przystawał. Rozbawiony wydał okrzyk radości i biegł naprzód, wyciągnawszy przed siebie ręce. Wtem ręka poczwary dotknęła jego ręki, a zimna była jak lód. Trwogą zdjęty, cofnął rękę, i ten sam ruch z błyskawiczną szybkością wykonała ręka potwora. Próbował iść dalej, ale powstrzymało go coś gładkiego i twardego. Twarz poczwary dotykała teraz jego twarzy i wydawała się jakby strwożona. Odgarnął sobie włosy z czoła — potwór uczynił to samo. Machnął ręką, chcąc go uderzyć — potwór wykonał ten sam ruch. Zapałał doń nienawiścią; a tamten również okropne zaczął przed nim stroić miny. Cofnął się więc, a potwór także się oddalił.

Co to jest? Na chwilę się zamyślił, powiódł okiem po całej sali. Dziwne, ale wszystko zdawało się mieć swe odbicie w tej niewidzialnej ścianie z przejrzystej wody. Tak, powtarzał się w niej obraz za obrazem, przedmiot za przedmiotem. Śpiący faun leżący w niszy przy drzwiach miał w niej swego śpiącego bliźniaczego brata, a srebrna Wenera stojąca w promieniach słońca wyciągała ramię ku Wenerze równie pięknej jak ona sama. Czyżby to było echo? Raz wywołał je w dolinie, a wtedy odpowiedziało słowo w słowo to, co do niego mówił. Czyżby mogło łudzić wzrok, tak samo, jak łudzi słuch? Czyżby zdolne było wytworzyć świat złudny, całkiem podobny

do rzeczywistego? Czyżby cienie rzeczy mogły posiadać barwę i ruch, i życie? Czyż podobna, aby...

Drgnął. Zerwał z piersi cudną białą różę i przycisnął ją do ust. Potwór także miał różę, listek w listek taką samiuteńką jak jego. Tak samo ją całował i przyciskał do piersi wśród strasznych gestów.

Gdy prawda rozświetliła mu mózg, wydał głośny okrzyk rozpaczony i z łkaniem padł na podłogę. Więc to on sam był ułomny i garbaty, wstrętny i śmieszny. On sam był potworem i z niego śmiały się dzieci i mała księżniczka, od której oczekiwał miłości, gdy ona szydziła tylko z jego brzydoty i naśmiewała się z jego powykrzywianych członków. Czemu nie pozostawiono go w lesie, gdzie nie było zwierciadła, mogącego mu powiedzieć, jak jest wstrętny! Czemu go ojciec nie zabił, zamiast wydawać na hańbę? Gorące łzy spływały mu po policzkach. Na drobne strzępy rozszarpał białą różę. Czołgająca się po ziemi poczwara uczyniła to samo, odrzucając precz listki białej róży. Pełzała po ziemi, a gdy na nią spojrzął, ona też zwróciła ku niemu swą bólem wykrzywioną twarz. Odsunął się, by jej nie widzieć, i rękoma zakrył sobie oczy. Jak zranione zwierzę usunął się w ciemny kąt i tam przycupnął jęcząc.

W tejże chwili infantka z towarzyszkami i towarzyszami zabawy weszła do komnaty przez otwarte drzwi balkonu. Ujrzawszy na ziemi małego karła, z przesadną gestykulacją wymachującego zaciśniętymi pięściami wszyscy wybuchnęli głośnym radosnym śmiechem i otoczywszy go kołem, poczęli mu się przyglądać.

— Taniec jego był zabawny — rzekła infantka — ale to jego przedstawienie jeszcze jest bardziej zajmujące. Gra niemal tak dobrze jak marionetki, tylko nie tak naturalnie — i chłodząc się dużym wachlarzem, poczęła mu bić brawo.

Ale mały karzeł ani razu na nią nie spojrzął, a łkanie jego stawało się z każdą chwilą słabsze i słabsze, aż nagle w dziwny sposób zaczął chwytać powietrze i ręką przycisnął serce. Po czym padł i leżał całkiem cicho.

— Świetnie — rzekła po chwili infantka — ale teraz musisz już dla mnie tańczyć.

— Tak — zawołały za nią dzieci — musisz wstać i tańczyć, bo jesteś tak samo mądry jak małpki berberyjskie, a znacznie śmieszniejszy!

Ale mały karzeł nie odpowiedział.

Więc infantka tupnęła nóżką i przywołała wuja, który z szambelanem stał na tarasie, odczytując świeże depesze z Meksyku, gdzie niedawno zaprowadzono Świętą Inkwizycję.

— Mój wesoły karzeł coś spochmurniał! — zawołała. — Musisz go zbudzić i powiedzieć, że ma teraz tańczyć dla mnie.

Dostojnicy uśmiechnąwszy się do siebie weszli do sali, a Don Pedro schylił się i haftowaną rękawicą uderzył karła w twarz.

— Masz tańczyć! — zawołał. — Tańczyć, potworku! Infantka Hiszpanii i Indii chce się bawić.

Ale mały karzeł leżał bez ruchu.

— Posłać po psiarczyka — rzekł Don Pedro znudzony i znów wyszedł na taras. Ale szambelan przybrał poważną minę i klękąwszy obok małego karła, przyłożył mu rękę do serca. A po chwili wzruszył ramionami, wstał i składając infantce głęboki ukłon, rzekł:

— *Mi bella Princessa*\*, komiczny mały karzeł nigdy już nie będzie tańczył. Szkoda, bo taki szkaradny, że nawet króla pobudziłby do śmiechu.

— Ale czemuż nie będzie już tańczył? — zaśmiała się infantka.

— Bo serce mu pękło — odparł szambelan.

---

\* moja piękna księżniczako

Infantka zmarszczyła brew, a jej delikatne różowe usteczka wydeły się powabnym grymasem wzgardy.

— Na przyszłość rozporządźcie, by ci, co się ze mną bawią, nie mieli serc! — zawołała wybiegając do ogrodu.

*Tłum.: Maria Feldmanowa*

## **RYBAK I JEGO DUSZA**

Co wieczora rybak wypływał na morze i zarzucał sieci.

Gdy wiatr dął od lądu, rybak nie mógł nic ułowić, a przynajmniej bardzo niewiele, bo był to wiatr przykry, czarnoskrzydły i niespokojne fale wznosiły się na jego spotkanie. Ale gdy wiatr wiał w stronę wybrzeża, ryby wypływały z głębiny i wkiwały się w okach sieci rybaka, a on wynosił je na targ i sprzedawał.

Co wieczór wypływał na morze, a jednego wieczora sieci jego były tak ciężkie, że ledwie zdołał je wciągnąć do czółna. Zaśmiał się i rzekł do siebie:

— Zaiste, albo złowiłem wszystkie ryby, jakie tylko pływają po morzu, albo też schwyciłem okropną potworę, która ludzi zadziwi, albo może inne jakieś straszne stworzenie, którego zapragnie wielka królowa.

Zebrał więc wszystkie siły i pociągnął za szorstkie liny, aż na ramionach jego, niby błękitna emalia na brązie, zarysowały się żyły. Ciągnął więc za liny i coraz bliżej przyplływały szeregi płaskich korków, aż nareszcie sieć wypłynęła na powierzchnię.

Ale nie było w niej ryby ani potwory, ani żadnego straszego stworzenia, tylko mała, w głębokim śnie pogrążona wodnica.

Włosy jej były wilgotnym złotym runem, a każdy włos z osobna niby nić delikatnego złota w szklanym pucharze. Ciało wyglądało jak biała kość słoniowa, a ogon był ze srebra i pereł. Ze srebra i pereł był jej ogon, a zielone wstężyce morskie wiły się koło niego; jak muszle morskie były jej uszy, a usta jak morskie korale. Zimne fale bryzgały na jej zimne piersi, a sól świeciła na jej powiekach.

Była tak piękna, że młody rybak zdumiał się na jej widok, wyciągnął ręką i bliżej przyciągnął sieci, a pochyliwszy się nad czółnem, wziął ją w swe ramiona. A ona za jego dotknięciem krzyknęła jak spłoszona mewa i spojrzała nań trwożnymi, liliowoametystowymi oczyma, usiłując mu się wymknąć. Ale on silnie ją przygarnął do siebie i nie chciał uwolnić. Widząc więc, że żadną miarą nie zdoła się wyswobodzić, zaczęła płakać i rzekła:

— Proszę cię, pozwól mi odejść, gdyż jestem jedyną córką króla, a ojciec mój stary jest i samotny.

Ale młody rybak odpowiedział:

— Nie puszcze cię, dopóki mi nie dasz przyrzeczenia, że ilekroć cię zawołam, przyjdiesz do mnie i będziesz mi śpiewać, gdyż ryby lubią słuchać śpiewu mieszkańców morza i będą napływać do moich sieci.

— Czy naprawdę pozwolisz mi odejść, gdy ci to przyrzeknę? — zawołała wodnica.

— Naprawdę — odparł młody rybak.

Dała mu więc przyrzeczenie, którego żądał i zaprzysięgła je przysięgą mieszkańców morza. Wtedy on uwolnił ją z uścisku i wpadła do wody, drżąc z nieznannej trwogi.

Co wieczora rybak wypływał na morze i przywoływał wodnicę, a ona wyłaniała się z wody i śpiewała mu. Dokoła niej płynęły delfiny, a dzikie mewy okrążały jej głowę.

I śpiewała pieśń cudowną. Śpiewała bowiem o mieszkańcach morza, przeganiających swe stada od jaskini do jaskini i noszących na ramionach małe cielecia, i o trytonach z długimi, zielonymi brodami i włochatymi piersiami, co dmą w kręte muszle, gdy król przechodzi ze swym orszakiem, i o pałacu królewskim z czystego bursztynu, który ma dach z przezroczystego szmaragdu i posadzki z lśniących pereł i o ogrodach morskich, gdzie olbrzymie koralowe

wachlarze cały dzień kołyszą się i falują, ryby przemykają jak srebrne ptaszyny, anemony czepiają się raf podwodnych i gwoździki tkwią w żółtym, wzdętym piasku. Śpiewała o ogromnych wielorybach, co napływają od mórz północnych, a u płetw swych wloką ostre lodowce, i o syrenach śpiewających, a tak cudownych, że kupcy woskiem sobie zatykają uszy, aby nic nie słyszeć i nie wpaść do wody, i o zatopionych galerach z wysokimi masztami, gdzie marynarze przymarzli do lin okrętowych, a makrele swobodnie wpływają i wypływają przez otwory w kadłubie, o małych kaczenicach, co odbywają dalekie podróże, wrzynają się w tramy okrętu i opływają cały świat daleki, i o sepiach, co żyją na ścianach ostrych raf i wyciągają swe długie czarne ramiona, sprowadzając noc, kiedy się im podoba. Śpiewała o Nautylusie i jego złotej łódce, rzeźbionej w opalu, a gnanej srebrnymi falami, o szczęśliwych wodnikach, co grają na harfach i w sen pogrążają potwory, o małych dzieciach, łowiących gładkie delfiny, by następnie jeździć na ich grzbietach, o wodnicach, co, w białej leżąc pianie, wyciągają ramiona ku podróżnym, o lwach morskich z wykrzywionymi kłami, i hipopotamach o rozwianych grzywach.

A gdy śpiewała, z głębin wypływały wszystkie tuńczyki, by słuchać jej śpiewu, a młody rybak zarzucał sieć i chwycił je, w inne ryby godząc oszczepem. A gdy miał łódź pełną, wodnica zanurzała się w morzu i uśmiechała się do niego.

Nigdy jednak nie zbliżała się o tyle, aby jej mógł dotknąć. Nieraz wołał i prosił, ale była nieubłagana, a gdy ją usiłował pochwycić, dawała nurka jak pies morski i tego dnia nie ukazywała się więcej. I z każdym dniem dźwięk jej głosu stawał się miłszy. Tak mu był miły, że słuchając go zapominał o sieciach i fortelach, wcale się nie troszcząc o swoje rzemiosło. A ryby o czerwonych płetwach i złocistych żrenicach gromadnie koło niego przepływały, ale on na nie nie zważał. Oszczep jego leżał na uboczu nie tknięty, a kosze wyplatane z trzciny stały puste. Z otwartymi ustami i szeroko, bezprzytomnie rozszerzonymi żrenicami, pociemniałymi ze zdumienia, siedział w czółnie i słuchał. Słuchał, aż go mgły morskie omotały, a płynący po niebie księżyc srebrem powlókł jego brunatne ciało.

A pewnego wieczora przywołał ją do siebie i rzekł:

— Mała wodnico, mała wodnico, kocham cię. Pozwól, bym został twym oblubieńcem, gdyż kocham cię.

Ale wodnica potrząsnęła głową.

— Masz duszę ludzką — odparła. — Gdybyś tylko zechciał oddalić swą duszę, zaraz bym cię pokochała.

A młody rybak rzekł do siebie: „Na co mi potrzebna moja dusza? Nie znam jej. Oddałę ją, a wielka radość przypadnie mi w udziale.” Okrzyk radości wyrwał mu się z piersi i zerwawszy się w pomalowanym czółnie na równe nogi, wyciągnął ramiona ku wodnicy.

— Oddałę moją duszę — zawołał — i ty zostaniesz moją oblubienicą, a ja twym oblubieńcem i razem zamieszkamy w głębi morza, a ty mi pokażesz wszystko, o czym śpiewałaś; ja uczynię wszystko, co zechcesz, i nie rozłączymy się nigdy w życiu.

A mała wodnica zaśmiała się z radości i w rękach ukryła twarz.

— Ale w jaki sposób mam oddalić moją duszę? — zapytał młody rybak. — Powiedz mi, jak to uczynić, a natychmiast się stanie.

— Ach, tego ja nie wiem — rzekła mała wodnica. — My, wodnicy, nie mamy dusz. — I tęsknym go obrzucając spojrzeniem zanurzyła się w głębinie.

A nazajutrz wczesnym rankiem, gdy słońce zaledwie na odległość dłoni odpłynęło od wzgórza, młody rybak ruszył ku mieszkaniu księdza, a stanąwszy tam, trzykrotnie zapukał do drzwi.

Wikary wyjrzał przez drzwiczki, a zobaczywszy, kto przyszedł, odsunął rygiel i rzekł:

— Wejź!

A młody rybak wszedł i uklęknąwszy na wonnym sitowiu, pokrywającym podłogę, zwrócił się do kapłana, czytającego Pismo święte i zawołał:

— Ojcze, ja kocham wodnicę, a dusza moja przeszkadza mi w zaspokojeniu mych pragnień. Powiedz; w jaki sposób mam oddać swą duszę, bo zaiste, nie jest mi ona potrzebna. Jakąż wartość posiada dla mnie moja dusza? Nie mogę jej widzieć. Nie mogę jej dotknąć. Nie znam jej.

A ksiądz uderzył się w pierś i krzyknął:

— Biada, biada, jesteś szalony lub połknąłeś trujące ziele. Wszak dusza jest najszlachetniejszą częścią człowieka, daną nam przez Boga, i służy nam do celów szlachetnych. Nie ma nic cenniejszego nad duszę ludzką i nic ziemskiego nie jest w stanie jej dorównać: Warta ona więcej od wszystkiego złota, co jest w ziemi, i cenniejszą jest od rubinów królewskich. Dlatego; synu mój, nie myśl więcej o tym, gdyż jest to grzech, za który nie ma przebaczenia. A mieszkańcy morza? Toż to stworzenia zgubione, a kto się z nimi wdaje, również będzie zgubiony. Żyją jak te zwierzęta w polu, nie odróżniające dobrego od złego i dla nich Bóg nie skonał na krzyżu.

Oczy młodego rybaka zasły łzami, gdy usłyszał gorzkie słowa kapłana, wstał z klęczek i rzekł:

— Ojcze, fauny w lesie żyją i weselą się, a na skałach siedzą wodniki z harfami z czerwonego złota. Pozwól mi, proszę, być takim jak oni, gdyż dni ich płyną jakby dni kwiatów. A moja dusza! Na cóż potrzebna mi dusza, jeśli staję pomiędzy mną, a tym, co kocham?

— Miłość cielesna zgodna jest pogardy — zawołał ksiądz — a pogardy godne i złe są też owe pogańskie istoty, którym Bóg pozwala chodzić po świecie! Przeklęte niech będą fauny leśne i przeklęte śpiewaki morza! Słyszałem w nocy ich śpiew, gdy próbowali mnie zwabić ku sobie i oderwać od różańca. Pukają do okien mych i śmieją się. Szepczą mi do ucha baśnie o swych zgubnych rozkoszach. Wabią mnie pokusami, a gdy się chcę modlić, robią szydercze miny. Zgubione one są, powiadam, zgubione. Nie masz dla nich nieba ni piekła i ani tam, ani tu nie będą słać imienia bożego.

— Ojcze — zawołał młody rybak — nie wiesz, co, mówisz! Niegdyś złowiłem w me sieci córkę króla. Piękniejsza jest od jutrenki i bielsza od księżycy. Za ciało jej chętnie oddam moją duszę, a dla jej miłości wyrzeknę się nieba. Powiedz, o co cię pytam, i pozwól mi odejść w pokój.

— Precz! precz! — krzyknął ksiądz. — Zalotnica twa zgubiona, a ty zgubiony będziesz wraz z nią! — I nie dał mu błogosławieństwa, lecz odpędził od swych progów.

A młody rybak ruszył ku miastu i szedł powoli, ze zwieszoną głową, jak człowiek, którego żal głęboki przygniata. Kupcy zobaczywszy go poczęli szeptać między sobą, a jeden z nich podszedł ku niemu i, zawoławszy nań po imieniu, spytał: — Co masz do sprzedania?

— Sprzedam ci moją duszę — odparł. — Proszę cię, odkup ją ode mnie, gdyż jestem nią znudzony. Na co potrzebna mi moja dusza? Nie mogę jej widzieć. Nie mogę jej dotykać. Nie znam jej.

A kupcy jęli zeń szydzić i pytali:

— Co nam z duszy człowieczej? Nie warta ani jednej srebrnej monety. Sprzedaj nam swe ciało jako niewolnik, a ustroimy cię w purpurę morza i pierścień włożymy na twój palec i uczynimy cię ulubieńcem Wielkiej królowej. Ale nie mów o swej duszy: dla nas nie ma ona żadnego znaczenia i żadnej nie posiada wartości dla naszego interesu.

A młody rybak rzekł do siebie:

— Jakie to dziwne! Ksiądz mi powiada, że dusza warta więcej od wszystkiego złota ziemi, a kupcy powiadają, że nie warta ani jednej srebrnej monety. — I odszedł z miasta, i ruszył nad morskie wybrzeże, by rozmyślać, co począć.

A koło południa przypomniał sobie, co mu jeden z towarzyszy, wyławiacz kopru morskiego,

opowiadał o młodej czarownicy, mieszkającej na drugim końcu zatoki i znającej się na wielu rzeczach. Więc zebrał się, by pójść do niej, żądny pozbycia się swej duszy, a tuman kurzu wznosił się dokoła niego, gdy piaskiem biegł wzdłuż wybrzeża. Po swędzeniu ręki młoda czarownica poznała, że przyszedł, zaśmiała się i rozpuściła swe rude włosy. I stała u wnijscia jaskini trzymając w ręku gałąź rozkwitłego szaleju, a długie rude włosy otulały ją całą.

— Czego żądasz? Czego żądasz? — zawołała, gdy zadyszany wdarł się na wzgórze i przed nią się pochylił. — Czy może ryb do sieci, gdy wiatr nie sprzyja? Mam małą świstawkę, a gdy na niej świsną, tępogłowy sterują ku zatoce. Ale kosztuje ona, piękny chłopcze, kosztuje dużo. Czego żądasz? Czego żądasz? Czy może burzy, by rozbiła okręty i na brzeg wyrzuciła skrzynie bogatych kupców? Mam więcej burz w swej mocy niż wichry, gdyż służę temu, co silniejszy jest od wichru, a sitem i konwią wody mogę największe galary zepchnąć na dno morza. Ale nałożyłam na to cenę, piękny chłopcze, nałożyłam cenę. Czego żądasz? Czego żądasz? Znam piękny kwiat w dolinie, nikt go nie zna prócz mnie. Ma liście purpurowe i gwiazdę w sercu, a sok jego bielszy jest od mleka. Jeśli kwiatem tym dotkniesz twardych ust królowej, pójdzie za tobą na koniec świata. Ale ma on swoją cenę, piękny chłopcze, ma swoją cenę. Czego żądasz? Czego żądasz? Mogę w mózdzierzu potłuc ropuchę i ugotować z niej rosół, a rosół ten mieszać ręką trupa. Skropisz nim swego wroga, gdy zaśnie, zaraz przemieni się w czarną żmiję, a własna matka go uśmierci. Mogę kołem ściągnąć księżyc z nieba i śmierć ci pokazać w kryształach. Czego żądasz? Czego żądasz? Wyjaw mi swe życzenie, spełnię je, a ty mi zapłacisz, piękny chłopcze, zapłacisz mi!

— Życzenie moje jest skromne — rzekł młody rybak — ale ksiądz się na mnie rozgniewał i wypędził. Życzenie moje jest skromne, ale kupcy mnie wyszydzili i odmówili jego spełnienia. Dlatego przyszedłem do ciebie, pomimo że cię ludzie uważają za złą, i jakkolwiek jest cena przez ciebie naznaczona, zgadzam się na nią.

— Czego chcesz? — spytała czarownica podchodząc ku niemu.

— Chcę oddalić od siebie swą duszę — odparł młody rybak.

Czarownica zbladła, wzdrygnęła się i ukryła twarz, w swym błękitnym płaszczu.

— Piękny chłopcze, piękny chłopcze — mruknęła — to straszne, co chcesz uczynić.

Odgarnął z czoła ciemne pukle włosów i zaśmiał się.

— Moja dusza Jest dla mnie niczym — odparł. — Nie mogę jej widzieć. Nie mogę jej dotknąć. Nie znam jej. — Co mi dasz, jeśli ci poradzę? — spytała czarownica wpatrując się w niego pięknymi oczyma.

— Pięć sztuk złota — odparł — i moje sieci, i mój dom pleciony z prętów, gdzie mieszkam, i czółno pomalowane, w, którym wyjeżdżam na morze. Powiedz mi tylko, w jaki sposób mogę się pozbyć swej duszy, a dam ci wszystko, co posiadam.

Zaśmiała się drwiąco i z lekka uderzyła go gałązką szaleju.

— Mogę liście jesienne zamienić w złoto — rzekła — a z białych promieni księżycy tknąć srebrne pasma, skoro tylko zechcę. Ten, któremu służę, bogatszy jest; od wszystkich królów świata i ma moc nad wszystkimi ich krajami.

— Cóż ci więc mam dać? — zawołał — skoro nie można ci zapłacić ni złotem, ni srebrem?

Czarownica białą, cienką ręką przesunęła po swych rozpuszczonych włosach.

— Musisz ze mną tańczyć, piękny chłopcze — mruknęła z uśmiechem.

— Nic więcej? — zawołał młody rybak zdumiony, i zerwał się na równe nogi..

— Nic więcej — odparła, znów się doń uśmiechając.

— Więc potańczymy w jakim ustronnym miejscu, po zachodzie słońca — rzekł — a gdy skończymy, powiesz mi, co wiedzieć pragnę.

Potrząsnęła głową.



— Gdy księżyc stanie w pełni gdy księżyc stanie W pełni — mamrotała. — Po czym rozglądnęła się; wokół nasłuchując. Błękitny ptak z krzykiem zerwał się z gniazda i krążył ponad wydmami piasku, a trzy nakrapiane ptaki zaszeleściły w twardej, szarej trawie, pogwizdując do siebie. Poza tym żadnego głosu, prócz szmeru fal, toczących się po gładkim żwirze. A ona wyciągnęła rękę i przygarnęła go do siebie, i cienkie wargi zbliżyła do jego ucha.

— Dzisiejszej nocy musisz ze mną pójść na grzbiet wzgórza — szepnęła. — Tam się odbywa sabat i On przybędzie.

Młody rybak drgnął i spojrzął na nią, a ona pokazała mu białe zęby i zaśmiała się.

— Kto jest ów On, o którym mówisz! — spytał.

— To obojętne — odparła: — Przyjdź dzisiejszej nocy i stań pod grabem, i czekaj, aż przyjdę. Gdy do ciebie przybieży czarny pies, uderz go różdżką czarnoksięską, a odejdzie. Gdy cię zagadnie sowa, nie odpowiadaj. Skoro księżyc stanie w pełni, będę przy tobie i potańczymy na trawie.

— Ale czy przysięgasz, że mi powiesz, w jaki sposób mam oddalić od siebie swą duszę? — spytał.

Stanąła w blaskach słońca, a wiatr igrał w jej rudych włosach.

— Na kopyto kozła, przysięgam — odparła.

— Jesteś najlepszą z czarownic — zawołał młody rybak — i dzisiejszej nocy będę z tobą tańczył na grzbiecie wzgórza! Wolałbym wprowadzić, byś zażądała ode mnie złota lub srebra. Ale jakakolwiek jest twa cena, zgadzam się na nią, gdyż jest nieznaczną.

Zdjął przed nią czapkę, głęboko pochylił głowę i pobiegł z powrotem do miasta, pełen wielkiej radości.

Czarownica spoglądała za odchodzącym, a gdy jej zniknął z oczu, wróciła do jaskini i z szafki z drzewa cedrowego wyjęła zwierciadło i ustawiła je na sztalugach, i spaliła przed nim na żarzących się węglach werbenę, wpatrując się w ulatujące dymy. Po chwili gniewnie zacisnęła pięści.

— Moim powinien być być — mruknęła. — Jestem równie piękna jak ona.

A wieczorem, gdy księżyc wypłynął na niebie, młody rybak ruszył na grzbiet wzgórza i stanął pod gałęziami grabu. Niby tarcza polerowanego srebra świeciła u jego stóp okrągła zatoka morska, a cienie czółen rybackich ustawicznie po niej przemykały. Duża sowa o żółtych oczach koloru siarki zawołała nań po imieniu, ale jej nie odpowiedział. Czarny pies przybiegł doń warcząc. Uderzył go różdżką czarnoksięską i pies uciekł skomląc.

O północy, jak olbrzymie nietoperze, zatrzepotały w powietrzu czarownice.

— Fiu — krzyczały osuwając się na ziemię — jest tu ktoś, kogo nie znamy.

I węszyły dokoła, szepcząc między sobą i dając sobie znaki. Ostatnia przyleciała młoda czarownica, a czerwone jej włosy wiatr rozwiewał. Nosiła szatę ze złotej tkaniny, haftowaną w pawie oka, a na głowie miała czapczkę z zielonego aksamitu.

— Gdzie on? gdzie on? — wrzasnęły czarownice zobaczywszy ją. Ale ona zaśmiała się tylko i pobiegła w stronę grabu i ujawszy rybaka za rękę stanęła z nim w promieniach księżyca, i poczęła tańczyć.

Wirowali i wirowali wciąż dokoła, a młoda czarownica podskakiwała tak wysoko, że widział szkarłatne obcasy jej trzewików. Wtem pośród koła tańczących rozległ się odgłos galopującego konia, ale konia widać nie było i rybak uczył trwożę.

— Prędeż! — wołała czarownica zarzucając mu ramiona na szyję, a oddech jej palił mu twarz. — Prędeż, prędeż! — wołała, a jemu zdawało się, że ziemia mu wiruje pod stopami i w oczach mu pociemniało, a pierś ścisnęła się wielką trwożą, jakby na niego patrzył jakiś zły duch... Aż wreszcie ujrzał, że w cieniu skały stoi postać, której poprzednio nie było.

Był to mężczyzna w czarnym aksamitnym stroju, skrojonym podług mody hiszpańskiej. Twarz miał dziwnie bladą, ale usta jego były niby pyszny purpurowy kwiat. Wyglądał na znużonego i, wsparty się niedbale o zgrabną skałę, bawił się rękojeścią sztyletu. Obok niego, na trawie, leżał kapelusz zdobny w pióra i para rajtarskich rękawic, obramowanych złotym sznurem i wyszytych perłami w kształt jakiegoś symbolu. Krótki, sobolami podbity płaszcz opadał mu z ramion, a delikatne, białe ręce świeciły pierścieniami. Ciężkie powieki zasłaniały mu oczy.

Młody rybak wpatrywał się weń, jakby opętany czarem. Wreszcie spojrzenia ich się spotkały i gdziekolwiek później tańczył, zdawało mu się, że spoczywa na nim wzrok tego mężczyzny. Słyszał, że czarownica się zaśmiała, i ujawszy ją w pół, począł z nią wirować jak szalony.

Nagle pies zaszczekał w lesie, a tańczący przystanęli, i, parami podszedłszy do mężczyzny, klękali przed nim i całowali go w rękę. A wówczas lekki uśmiech musnął jego dumne wargi, jak skrzydło ptaka muska wodę i wywołuje śmiech fali. Ale w tym jego uśmiechu była wzgarda. Ustawicznie wpatrywał się w młodego rybaka.

— Pójdź, złożmy mu hołd — szepnęła czarownica ciągnąc go za rękę, a on uczył gorącą chęć spełnienia jej życzenia i poszedł za nią. Ale, zbliżywszy się do nieznanego, bezwiednie nakreślił na piersi znak krzyża, wymawiając przy tym imię święte.

A zaledwie to uczynił, czarownice wrzasnęły jak sokoły i rozbiegły się, a blada twarz wpatzonego weń, mężczyzny drgnęła skurczem bólu. Odszedł w stronę zarośli i świsnął. W tej chwili przybiegł doń mały hiszpański konik w srebrnej uprzęży. Wskoczywszy na siodło, odwrócił się i smutne spojrzenie rzucił na młodego rybaka. A rudowłosa czarownica również usiłowała się wymknąć, ale rybak silnie ją pochwycił za rękę i powstrzymał.

— Puść mnie — krzyknęła. — i pozwól mi odejść; Wymieniłeś bowiem, czego wymieniać nie należało, i uczyniłeś znak, na który patrzeć nie wolno.

— Nie — odparł. — Nie puszcę cię, dopóki mi nie wyjawisz tajemnicy.

— Jakiej tajemnicy? — spytała czarownica mocując się z nim jak dzika kotka i zagryzając pianą okryte usta.

— Ty wiesz — odparł.

Jej zielone jak trawa źrenice zaszyły łzami i rzekła do młodego rybaka:.

— Wszystkiego ode mnie żądaj, tylko nie tego!

Zaśmiał się i jeszcze silniej chwycił ją za rękę.

A ona widząc, że mu się nie wymknie, szepnęła:

— Jestem równie piękna jak córki morza i tak samo czarująca jak te, co w błękitnej mieszkają toni. — I tuląc się doń przyłożyła swą twarz do jego twarzy.

Ale on odepchnął ją gniewnie i zmarszczywszy brwi rzekł:

— Jeśli nie dotrzymasz obietnicy, którą mi dałaś, zamorduję cię jako fałszywą czarownicę.

Posiniała jak kwiat drzewa Judaszowego i dreszcz ją przebiegł.

— Niechże więc tak będzie — mruknęła. — Wszak to twoja dusza, a nie moja. Zrób z nią, co chcesz. — I wyjęła zza paska nożyk oprawny w skórę z zielonej żmii i podała mu go.

— Do czego mi to ma służyć? — spytał zdziwiony. Milczała parę chwil, a wyraz przestachu odmalował się na jej twarzy. Następnie odgarnęła włosy i z dziwnym uśmiechem mówiła:

— To, co ludzie nazywają cieniem ciała, nie jest wcale cieniem ciała, lecz ciałem duszy. Stań nad brzegiem zatoki, plecami zwrócony do księżyca, i dokoła nóg swoich odetnij cień, będący ciałem twej duszy, po czym rozkaż duszy swej, by cię opuściła, a ona posłucha.

Młody rybak drżał.

— Czy to prawda? — mamrotał.

— Prawda, i lepiej byłoby, gdybym ci tego nie była powiedziała — rzekła z płaczem, obejmując jego kolana.

Odsunął ją od siebie, porzucił w bujnej trawie, poszedł na skraj góry i, zatknąwszy nóż za pas, począł zstępować ku zatoce.

A dusza, która w nim mieszkała, zawołała nań i rzekła:

— Patrz, byłam w tobie przez wszystkie te lata i służyłam ci. Nie oddalaj mnie teraz. Bo i cóż ci uczyniłam złego?

Młody rybak się zaśmiał.

— Nic mi nie uczyniłaś złego, ale jesteś mi niepotrzebna. Świat jest wielki i jest również niebo i piekło, i ów mroczny dom pośrodku. Idź, gdzie chcesz, ale mi nie przeszkadzaj, gdyż moja ukochana przywołuje mnie do siebie.

A dusza poczęła go rozpaczliwie błagać, lecz on, nie zważając na to, skakał ze skały na skałę, bo nogi miał zwinne jak dzika kozica, aż wreszcie stanął na równinie, nad żółtą zatoką morską.

Gdy stał tak na piasku, niby statua ręką Greka rzeźbiona, plecami zwrócony do księżyca, pięknie zbudowany, o kształtach jak z brązu ulanych, z piany morskiej wyłoniły się białe ramiona, wabiąc go ku sobie, i z fal wyszły ciemne postacie, hołd mu składając, a poza nim zawisł w powietrzu księżyc barwy miodowej. A wtedy dusza rzekła doń:

— Jeśli mnie istotnie chcesz od siebie oddalić, to nie wypędzaj mnie bez swego serca. Świat jest okrutny — daj mi serce swe na drogę.

Odrzucił w tył głowę i zaśmiał się.

— Czym kochałbym moją ukochaną, gdybym tobie oddał serce? — odparł.

— Ach, miej litość nade mną — prosiła dusza. — Daj mi swe serce, bo świat jest okrutny, i ja się boję.

— Serce moje należy do mej ukochanej — odparł — nie zwlekaj przeto i oddal się.

— Czyż ja nie mogę kochać również? — spytała dusza.

— Oddal się, gdyż jesteś mi niepotrzebna! — krzyknął młody rybak i, wyjąwszy nóż oprawny w zieloną skórę żmii, odciął cień dokoła swych nóg, a cień wstał i stanął przed nim. Wtedy rybak spojrział nań i zobaczył, że był całkiem podobny do niego.

Cofnął się i wetknął nóż za pas, i ogarnęło go uczucie lęku i trwogi.

— Oddal się — mamrotał — i nigdy już nie ukazuj mi swego oblicza.

— Nie, musimy się jeszcze spotkać — rzekła dusza. Głos jej był cichy jak dźwięki fletni, a usta zaledwie się poruszały, gdy mówiła.

— Jakżebyśmy się mieli spotkać? — krzyknął młody rybak. — Nie pójdziesz wszak ze mną w morskie głębiny?

— Raz do roku będę tutaj przychodzić i wołać cię po imieniu — rzekła dusza. — Być może, że będę ci potrzebna.

— Na cóż mogłabyś mi być potrzebna? Niech jednak będzie, jak chcesz.

I zanurzył się w wodzie; trytony zadeły na rogach, a mała wodnica wypłynęła ku niemu na powierzchnię i objawszy go ramionami ucałowała w same usta. A dusza stała na samotnym wybrzeżu i przyglądała się im z daleka. Gdy pograżyli się w falach morskich, z płaczem odeszła przez bagna.

A gdy rok minął, dusza przysłała nad brzeg morza i zawołała na młodego rybaka, a on wynurzył się z głębin i spytał:

— Czemu mnie wołasz?

A dusza rzekła:

— Przyjdź bliżej; bym mogła z tobą pomówić, gdyż cudowne widziałam rzeczy.

Przybliżył się więc i usiadł w płytkiej wodzie, a głowę wsparłszy na rękę, słuchał. A dusza mówiła doń:

— Kiedy cię opuściłam, ruszyłam w drogę i powędrowałam na Wschód. Ze Wschodu

przychodzi wszystko, co mądre. Sześć dni wędrowałam, a siódmego dnia rankiem doszłam do wzgórza, leżącego w kraju Tatarów. Usiadłam w cieniu tamaryszka, by się schronić przed słońcem. Ziemia była wyschła i spalona żarem słonecznym. Ludzie chodzili po równinie tu i ówdzie niby muchy łożące po płycie gładkiej miedzi.

Koło południa na skraju płaskowzgórza wzbil się tuman kurzu. Gdy Tatarzy to ujrzeli, napięli swe łuki kolorowe, wskoczyli na małe koniki i popędzili w stronę, gdzie się wznosił tuman kurzu. Kobiety z wrzaskiem uciekały na wozy, kryjąc się poza zasłonami ze skór. O zmierzchu Tatarzy wrócili, ale pięciu z nich brakowało, a z tych, co wrócili, wielu było rannych. Przyprzagli konie do wozów i spieszenie odjechali. Trzy szakale wybiegły z jaskini i spoglądały za nimi. Po czym nozdrzami chciwie wciągnęły powietrze i pomknęły w kierunku przeciwnym.

Gdy księżyc wypłynął na niebo, ujrzałam na równinie płonące ognisko i podeszłam ku niemu. Gromada kupców siedziała dokoła na miękkich kobiercach. Wielbłądy stały przywiązane do pali, a Murzyni pełniący służbę rozpinali na piaskach namioty z wygarbowanych skór i wznosili wysoki płot z ciemnych krzaków.

Gdy się do nich zbliżyłam, dowódca karawany powstał, wyciągnął miecz z pochwy i spytał, czego żądam.

Odpowiedziałam, że jestem księżciem w mej krainie i właśnie umknęłam Tatarom, którzy mnie w jasyr zabrać usiłowali. Dowódca się uśmiechnął ukazując mi pięć głów, zatkniętych na długich bambusowych żerdziach. Następnie zapytał, kto jest prorokiem bożym, a ja odparłam, że Mahomet.

Usłyszawszy imię fałszywego proroka, pochylił się, ujął mnie za rękę i posadził obok siebie. Jeden z Murzynów przyniósł mi końskiego mleka w misie drewnianej i kawał pieczonej baraniny.

Świtem ruszyliśmy w dalszą drogę. Ja jechałam na dużym wielbłądzie obok dowódcy, a ciura biegł przed nami niosąc oszczep. Po obu stronach drogi kroczyli zbrojni mężczyźni, a za nimi muły ciągnęły wozy z towarami. W karawanie było czterdzieści wielbłądów, a liczba mułów wynosiła dwa razy po czterdzieści sztuk. Z kraju Tatarów przyszedliśmy do ziemi tych, co złorzeczą księżycowi. Widzieliśmy gryfy na białych skałach, jak strzegły swego złota, i łuską okryte węże, śpiące w swych pieczarach. Przechodząc przez góry wstrzymywaliśmy oddech, aby śnieg na nas nie runął, i każdy z nas zasłoną gazową przysłaniał sobie oczy. Przechodząc przez doliny, ukryci w dziuplach drzew Pigmejczycy wypuszczali na nas strzały, a w nocy słyszeliśmy, jak dzicy bili w bębny. A przyszedłszy do wieży małp, uraczyliśmy je owocami, i nie uczyniły nam nic złego. Przybywszy do wieży węzów, podaliśmy im ciepłego mleka w ciepłych czarach, i pozwoliły nam przejść spokojnie. Trzykrotnie w ciągu podróży doszliśmy do brzegów Oxosu. Przeprawiliśmy się na drewnianych tratwach o dużych, powietrzem napełnionych pęcherzach ze skór. Hipopotamy rzucały się na nas i chciały nas zabić. Na ich widok wielbłądy drżały ze strachu.

Królowie wszystkich miast nakładali na nas wysokie haracze, ale nie pozwalali nam przekroczyć bram swych grodów. Przez mury rzucali nam chleb, małe pierniki z kukurydzy pieczone z miodem i ciastka z białej mąki, napełniane daktylami. Za sto koszy żywności dawaliśmy jeden paciorek bursztynu.

Mieszkańcy wsi, widząc nas nadchodzących, zatruli studnie i uciekali w góry. Walczyliśmy z Magadami, co rodząc się starcami, z roku na rok młodnieją i umierają jako dzieci, i z Laktami, uważającymi się za synów tygrysów i malującymi swe ciała na żółto i czarno, i z Durantami, co zmarłych swych chowają na wierzchołkach drzew, a mieszkają w ciemnych jaskiniach z obawy, aby słońce, będące ich bóstwem, nie uśmierciło ich swym gromem, i z Krymnejczykami, co ubóstwiają krokodyla i karmią go masłem i żywym drobiem, i z Agazombami o psych mordach, i z Sybinsami, co mają końskie kopyta i szybciej biegną niż konie. Jedna trzecia część naszego

orszaku padła w walce, a jedna trzecia zginęła z niedostatku. Pozostali szemrali przeciwko mnie, twierdząc, że ja im przyniosłam nieszczęście. Wyjęłam tedy spod kamienia rogatą zmiję i pozwoliłam się jej ukąsić. A gdy ujrzeni, że nie zachorowałam, zdjęło ich przerażenie.

Czwartego miesiąca dotarliśmy do miasta Illelu. Noc zapadła, gdy stanęliśmy koło gaju, otaczającego miasto. Powietrze było duszne, gdyż księżyc stał w znaku skorpiona. Zrywaliśmy z drzew owoce granatu, rozłamywaliśmy je i pili ich słodki sok. Następnie ułożyliśmy się na kobiercach, czekając świtu.

O świcie powstawszy, zapukaliśmy do bram miasta. Były z czerwonego brązu, pokryte rzeźbami morskich potworów i ptaków skrzydlatych. Straże, czuwające na wałach, zapytały czego żądamy. Tłumacz karawany odpowiedział, że przybywamy z wyspy syryjskiej i przywozimy mnóstwo towarów. Zabrali zakładników i kazali nam czekać do południa, przyrzekając, że wtedy otworzą nam bramy. W południe istotnie otworzono nam bramy, a gdy je przekroczyliśmy, ludność tłumnie wybiegła z domów, a wywoływacz przebiegał całe miasto trąbiąc na muszli. Stanęliśmy na targowisku, a Murzyni poczęli odwiązywać paki pstrych chust i otwierać rzeźbione skrzynie z drzewa sykomoru. A gdy się z tym załatwili, kupcy jęli wydobywać swe egzotyczne towary, woskowane płótna egipskie i malowane płótna z kraju Etiopów. Purpurowe gąbki z Tyru i błękitne tapety z Sydonu, czary z chłodnej kości słoniowej i delikatne naczynia ze szkła, i rzadkie wyroby z gliny. Z dachu jednego z domostw obserwowała nas gromada kobiet. Jedna z nich nosiła maskę z wyłacanej skóry. Pierwszego dnia przyszli kapłani i zamienili się z nami na towary, a drugiego dnia przyszli szlachcice, a trzeciego przyszli rzemieślnicy i niewolnicy. Bo taki jest zwyczaj i tak postępuje się z wszystkimi kupcami, dopóki bawią w mieście.

I pozostaliśmy tam przez cały miesiąc, a gdy księżyc zaczął ubywać, uczułam się znużona i, ruszywszy przez ulice miasta, zaszłam do ogrodu ich boga. Kapłani w żółtych szatach w milczeniu przechadzali się pośród zieleni drzew, a na podmurowaniu z czarnego marmuru stał różowy dom, w którym bóg miał swą siedzibę. Drzwi domu były z laku pokrytego złotym pyłem, na nich widniały wypukłe płaskorzeźby byków i pawi z lśniącego złota. Cegła na dachu była z zielonej porcelany koloru morza, a wokół biegnące: rynny obwieszane były dzwoneczkami. Białe gołębie, przelatując, skrzydłami muskały dzwoneczki i wydobywały z nich srebrne dźwięki.

Przed świątynią lśnił basen czystej wody, wyłożony żyłkowanym onyksem. Położyłam się obok niego i bladymi palcami dotknęłam szerokich liści. Jeden z kapłanów zbliżył się i stanął za mną. Na nogach miał sandały, jeden z miękkiej skóry węża, drugi z piór ptasich. A na głowie nosił czapkę z miękkiego filcu ozdobioną srebrnymi księżycami. Siedmiu żółtymi odcieniami mieniła się jego szata, a kędzierzawe włosy posypane były antymonem.

Po chwili przemówił do mnie, pytając, czego żądam.

Odpowiedziałam, że pragnę zobaczyć boga.

— Bóg jest na polowaniu — rzekł kapłan, bystro na mnie spoglądając swymi małymi skośnymi oczkami;

— Powiedz mi, w którym lesie poluje, a pojedę z nim — odparłam.

Długimi, spiczastymi paznokciami cesał miękkie frędzle swej szaty.

— Bóg śpi — mruknął.

— Powiedz mi, na którym łożu, a będę przy nim czuwać — odparłam.

— Bóg jest na uczcie! — zawołał.

— Jeśli wino słodkie, napiję się z nim, a jeśli jest kwaśne, to również się z nim napiję — brzmiała moja odpowiedź.

Pochylił głowę zdziwiony i, ująwszy mnie za rękę, zaprowadził do świątyni.

W pierwszej komnacie zobaczyłam bóstwo, siedzące na tronie z jaspisu, wysadzonym perłami

ze Wschodu. Bóstwo było wyrzeźbione z hebanu i miało postać mężczyzny. Na czole jego płonął rubin, a gęsta oliwa kroplami spływała mu z włosów na nogi. Stopy miał czerwone od krwi świeżo zabitego jagnięcia, a biodra opasywał mu pas miedziany, błyszczący siedmiu beryllami.

I zapytałam kapłana:

— Czy to jest bóg? A on odparł:

— Tak, to jest bóg.

— Pokaż mi boga — krzyknęłam — inaczej zabiję cię, zaprawdę! — I dotknęłam jego ręki, która zwisała bezwładnie.

A kapłan począł błagać.

— Niechaj pan mój uzdrowi sługę swego, a natychmiast pokażę mu boga.

Tedy oddechem swym wionęłam mu na rękę, która znów odzyskała władzę, a on drżąc wprowadził mnie do drugiej komnaty, gdzie ujrzałam bóstwo na cokole z nefrytu, zdobnym w olbrzymie szmaragdy. Bóstwo było wyrzeźbione z kości słoniowej, a postacią dwa razy przewyższało zwykłego człowieka. Na czole jego błyszczał chryzolit, a piersi miał natarte mirrą, i cynamonem. Jedną ręką bóg ujmował krzywe berło z nefrytów, a drugą krągły kryształ. Obuwie miał ze spiżu, a dokoła grubej szyi girlandę z selenitów. A ja spytałam kapłana:

— Czy to jest bóg? A on odparł.

— Tak, to jest bóg.

— Pokaż mi boga! — krzyknęłam — inaczej zabiję cię, naprawdę!

I dotknęłam jego oczu, a one oślepy. Zaś kapłan począł błagać:

— Niechaj pan mój uzdrowi swego sługę, a natychmiast pokażę mu boga.

Wtedy oddechem swym wionęłam mu na oczy, które znów przejrzały, a on zadrżał i wprowadził mnie do trzeciej komnaty, i o dziwo! nie było tam żadnego bóstwa ni obrazu, tylko krągłe zwierciadło metalowe na ołtarzu kamiennym.

A ja spytałam kapłana:

— Gdzie jest bóg?

A on odparł:

— Nie mamy innego boga prócz tego zwierciadła, które widzisz, gdyż jest to zwierciadło mądrości. Odzwierciedla wszystkie przedmioty na ziemi i w niebie, z wyjątkiem twarzy człowieka, który w nie spogląda. Tej nie odzwierciedla, zatem ten, kto w nie spogląda, może być mądry. Istnieje mnóstwo innych zwierciadeł, ale są to zwierciadła sądów ludzkich. To jedno tylko jest zwierciadłem mądrości. A ci, co zwierciadło to posiadają, wiedzą wszystko, i nic nie jest dla nich ukryte. A ci, co go nie posiadają, nie znają mądrości. Dlatego jest ono naszym bogiem i cześć mu oddajemy. A ja spojrzełam w zwierciadło i przekonałam się, że jest tak, jak powiedział.

I zrobiłam coś dziwnego, ale, co zrobiłam, jest obojętne: w dolinie, oddalonej stąd tylko o jeden dzień podróży, ukryłam, zwierciadło mądrości. Wpuść mnie tylko z powrotem i pozwól, bym ci nadal służyła, a będziesz mędrzy od wszystkich mędrców i wszystka mądrość stanie się twoją. Tylko mnie przyjm z powrotem, a nikt nie będzie tak mądry jak ty.

Ale młody rybak się zaśmiał.

— Miłość lepsza jest od mądrości — zawołał — a młoda wodnica mnie kocha!

— Nie, nie masz nic lepszego nad mądrość — rzekła dusza.

— Miłość jest lepsza — odparł młody rybak i zanurzył się w morskich głębiach, a dusza płacząc odeszła poprzez bagna.

Gdy drugi rok minął, dusza przybyła na wybrzeże i zawołała na młodego rybaka, a on wynurzył się na powierzchnię i rzekł:

— Czemu mnie przywołujesz?

A dusza odparła:

— Zbliź się, bym mogła z tobą pomówić, gdyż cudowne widziałam rzeczy.

Więc zbliżył się i usiadł w płytkiej wodzie, i głowę wsparłszy na rękę słuchał.

A dusza mówiła:

— Gdy się z tobą rozstałam, zwróciłam się ku południowi, wędrując dniem i nocą. Z południa pochodzi wszystko, co jest cenne. Sześć dni wędrowałam drogami wiodącymi do miasta Aster, czerwonymi, pełnymi kurzu drogami, którymi zwykli chadzać pielgrzymi, dążyłam tam, a siódmego dnia rankiem podniosłam wzrok, i o dziwo! u stóp mych w dolinie leżało miasto.

Dziewięć bram wiedzie do tego miasta, a przed każdą z bram stoi koń z brązu, który rży, gdy Beduini z gór zbliżają się do grodu. Mury okryte są miedzią, a wieże strażnicze na murach — spiżem. W każdej wieży stoi łucznik z łukiem w rękę. O wschodzie słońca uderza strzałą w cymbały, a o zachodzie dmie w róg.

Gdy chciałam wejść, strażę mnie powstrzymały pytając, kim jestem. Odpowiedziałam, że jestem derwiszem zdążającym do Mekki, gdzie znajduje się zielona zasłona, na której widnieje ręką anioła srebrnymi literami wyszyty ustęp z Koranu. Zdumienie ich ogarnęło i poprosili mnie, bym weszła.

A wewnątrz wyglądało jak w bazarze. Szkoda, że nie byłeś tam ze mną. W wąskich uliczkach fruwały różnokolorowe papierowe latarnie niby duże motyle. Gdy wiatr wieje ponad dachami, unoszą się i opadają jak pstre bańki mydlane. Kupcy siedzą na jedwabnych kobiercach przed swymi budkami. Mają długie, czarne brody, a turbany ich okryte są złotymi cekinami. Długie łańcuchy z rzeźbionych pestek brzoskwiniowych i bursztynu przesuwają się przez ich chłodne palce. Niektórzy z nich sprzedają galban, nard i rzadkie wonności z wysp Morza Indyjskiego, i gęste olejki różane, i mirty, i małe goździki. Gdy się na chwilę przystaje, by z nimi pomówić, rzucają na fajerki drobne kawałki kadzidła i słodkim aromatem napełniają powietrze. Widziałam Syryjczyka, który w rękę trzymał cienką różeczkę w kształcie trzciny. Unosiły się z niej szare pasemka dymu, a w miarę jak się spalała; wydawała woń, podobną do woni kwiecia migdałowego na wiosnę. Inni sprzedają srebrne bransolety, wysadzone dokoła mlecznobłękitnymi turkusami, i mosiężne pierścienie na nogi, obrzeżone drobnymi perełkami, i pazury tygrysie oprawne w złoto, jak również pazury tego złotożółtego kota, lamparta, i kolczyki z przekłutych szmaragdów i pierścienie z nefrytu. Z herbaciarń dochodzą tony gitary, a palacze opium o białych uśmiechniętych twarzach patrzą na przechodniów.

Zaprawdę, szkoda, że ty nie byłeś ze mną. Winiarze z ogromnymi czarnymi skórzanymi worami na ramionach torują sobie drogę przez tłumy. Sprzedają oni przeważnie wino z Sziraz, słodkie jak miód. Podają je w małych czarkach metalowych, sypiąc na wierzch płateczki różane. Na targowicy handlarze sprzedawali wszelkiego rodzaju owoce: dojrzałe figi o miękkim purpurowym miąższu, melony, wonią przypominające piżmo, żółte jak topazy cytryny i różowe jabłuszka, i grona białe i ciemne, krągłe, czerwonożółte pomarańcze i podłużne cytryny z zielonkawego złota. Raz widziałam przechodzącego ulicą słonia. Trąbę miał pomalowaną na żółto i czerwono, a na uszach siatkę z czerwonego jedwabnego sznurka. Zatrzymał się przed jedną z budek i zaczął zjadać pomarańcze, a obecni śmieli się w głos. Nie możesz sobie wyobrazić, co to za dziwny naród. Gdy są weseli, idą do ptasznika i kupują ptaka w klatce, którego następnie puszcza na wolność, gwoli zwiększenia swej radości, a gdy są smutni, biczą się cierniami, by smutek się nie umniejszał.

Pewnego wieczora napotkałam Murzynów niosących ciężką lektykę. Była ze złoczonego bambusu, o drażkach z czerwonego laku, z mosiężnymi ozdobami w kształcie pawi. Okna były przesłonięte przezroczystymi firankami z muślinu, na których, drobnymi perełkami wyszyte, lśniły skrzydła chrabąszczy. Gdy przechodzili koło mnie, z wewnątrz lektyki wyjrzała blada

Czerkieska darząc mnie uśmiechem. Ruszyłam za nimi, a Murzyni przyspieszyli kroku, rzucając mi ponure spojrzenia. Ale ja nie zwracałam na to uwagi. Zdjęta mnie ogromna ciekawość. Nareszcie zatrzymali się przed białym czworokątnym domem. Dom ten nie miał wcale okien, tylko małe drzwiczki niby otwór grobu. Postawili lektykę na ziemi i trzykrotnie zapukali mosiężnym młotkiem. Armeńczyk w kaftanie z zielonej skóry wyjrzał z wnętrza, a zobaczywszy ich otworzył drzwi i dywan rozłożył na ziemi, a wtedy kobieta wysiadła z lektyki. Wchodząc do domu, obejrzała się, znów darząc mnie uśmiechem. Nigdy nie widziałam twarzy równie bladej.

Gdy księżyc wypłynął na niebo, wróciłam na to samo miejsce, by odszukać ów dom. Ale go już nie było. Zobaczywszy to, domyśliłam się już, kto była ta kobieta i dlaczego się do mnie uśmiechała. Zaprawdę, szkoda, że nie byłęś wtedy ze mną.

W święto nowiu młody cesarz przybył ze swego pałacu do meczetu, by odmówić modlitwy. Włosy i brodę miał pomalowane liściem różanym, a policzki obsypane drobnym pyłkiem złotym. Dłonie i stopy żółte były od szafranu.

O wschodzie słońca wychodził ze swego pałacu w szacie srebrzystej, a o zachodzie wracał w szacie ze złota. Lud padał przed nim na ziemię, kryjąc twarze w dłoniach, ale ja tego nie czyniłam. Stałam koło budki z daktylami czekając. Cesarz, zobaczywszy mnie, zmarszczył swe pomalowane brwi i przystanął. Pozostałam całkiem spokojna i nie złożyłam mu hołdu. Obecni, zdumieni moją śmiałością, radzili mi, bym co prędzej umknęła z miasta. Ale ja, nie zwracając na nich uwagi, siadłam koło przekupniów obcych bogów, pogardzanych z powodu swego rzemiosła. Gdy im opowiedziałam, co robiłam, każdy z nich dał mi jednego boga, prosząc, bym odeszła.

W nocy leżałam na poduszkach w herbaciarni na rogu ulicy Granatów, wtem weszły straże cesarskie i zabrały mnie do pałacu. Gdy weszłam, zamknęli za mną wszystkie drzwi i założyli łańcuchy. Pośrodku było wielkie podwórze otoczone kolumnadą. Mury były z białego alabastru, wykładanego tu i ówdzie zielonymi: i błękitnymi kaflami. Słupy z zielonego marmuru, a posadzka z brzoskwińskiego. Nigdy jeszcze nie widziałam czegoś równie wspaniałego.

Gdy przechodziłam przez podwórze, z balkonu spoglądały dwie kobiety w zasłonach, złoścąc mi. Straże biegnęły naprzód, a drzewca ich lanc uderzały o lśniącą posadzkę. Otworzyli drzwi rzeźbione z kości słoniowej i znalazłam się w obfitej nawodnionym ogrodzie o siedmiu tarasach. Zasadzony był tulipanami, makami i srebrzystymi aloesami. Niby smukła trzcina z kryształu, zawisł w mrocznej atmosferze promień wodospadu. Cyprysy robiły wrażenie zgasłych pochodni. Na jednym z nich śpiewał słowik.

U końca ogrodu wznosił się mały namiot. Gdyśmy się zbliżyli, podeszło ku nam dwóch eunuchów. Tłuste ich cielska kołysały się za każdym krokiem, a małe oczka o żółtych powiekach przyglądały mi się z ciekawością. Jeden z nich, odprowadziwszy na bok kapitana straży, szeptał z nim tajemniczo. Drugi tymczasem spożywał pachnące pastylki, przesadnym ruchem wydobywając je z podłużnego emaliowanego pudełeczka, koloru fiołków.

Po kilku chwilach kapitan oddalił żołnierzy. Wrócili do pałacu, za nimi powoli ruszyli eunuchowie zrywając po drodze słodkie morwy. Raz starszy z nich obejrzał się za mną, złośliwie się uśmiechając.

A kapitan straży skinął, bym się zbliżyła do wnijscia namiotu. Podeszłam bez trwogi, odchyliłam ciężką zasłonę i weszłam.

Młody cesarz leżał na pościeli z lwich farbowanych skór, a sokół siedział na jego w pięść zaciśniętej ręce. Za nim stał Nubijczyk w mosiężnym hełmie obnażony do pasa, a ciężkie kolczyki zwisały mu z przeciętych uszu. Na stole obok łoża leżała olbrzymia krzywa szabla ze stali.

Zobaczywszy mnie, cesarz zmarszczył czoło i spytał:

— Kto jesteś? Czy nie wiesz, że jestem monarchą tego miasta? Nie odpowiedziałam mu.



Palcem wskazał szablę, a Nubijczyk chwycił ją i ugodził we mnie z wielkim rozmachem. Klinga przeszła na wskroś, nie zadawszy mi najłżejszej rany. Nubijczyk, drżąc całym ciałem, padł na ziemię, a gdy się podniósł, zęby mu szczękały ze strachu i ukrył się za posłaniem.

Cesarz zerwał się i, chwyciwszy stojącą obok lancę, rzucił nią we mnie. Pochwyciłam ją w locie i przełamałam na dwie części. Godził we mnie strzałą, lecz podniosłam rękę do góry, i strzała zawisała w powietrzu. Wtedy zza pasa z białej skóry wyciągnął sztylet i wbił go w szyję Nubijczyka, by nie opowiadał o jego hańbie. Niewolnik wił się jak zdeptany wąż i czerwona piana okryła mu usta.

Gdy skonał, cesarz zwrócił się do mnie, a otarłszy kroplisty pot z czoła haftowaną chusteczką z purpurowego jedwabiu rzekł:

— Zali jesteś prorokiem, że cię nie mogę zabić? Proszę cię, opuść miasto moje nocą, bo dopóki ty w nim bawisz, ja nie mogę być jego władcą.

A ja odpowiedziałam:

— Odejdę stąd za połowę twego skarbcza. Oddaj mi połowę twego skarbcza, a odejdę.

Ujął mnie za rękę i wyprowadził do ogrodu. Kapitan straży, zobaczywszy mnie, osłupiał. A eunuchom na mój widok ugięły się kolana i padli na ziemię pełni trwogi. W pałacu cesarskim jest komnata o ośmiu ścianach z czerwonego porfiru i suficie z mosiężnej łuski, z którego zwisają lampy. Cesarz dotknął jednej ze ścian i otworzyła się, a my weszliśmy na korytarz, oświetlony mnóstwem pochodni. W niszach po obu stronach stały duże puchary aż po brzegi napełnione srebrną monetą. Gdy stanęliśmy na środku korytarza, cesarz wymówił słowo, którego wymawiać nie należy, a wtedy, tajemną sprężyną poruszone, rozwarły się drzwi z granitu, a on dłońmi przesłonił oczy, by go nie raził nadmiar blasku.

Nie możesz sobie wyobrazić, jak cudowną była owa komnata. Dokoła migotały duże muszle napełnione perłami i ogromne wydrążone kamienie księżycowe, pełne czerwonych rubinów. Złoto przechowane było w kufrach ze skór słoni, a złoty pyłek w worach skórzanych. Lśniły opale i szafiry, jedne w czarach kryształowych, drugie w wazach z nefrytu. Kragłe, zielone szmaragdy były ułożone na przezroczystych tablicach z kości słoniowej, a po kątach piętrzyły się jedwabne torby pełne turkusów i beryli. Rogi z kości słoniowej napełnione były ametystami, a rogi z kruszcu — chalcedonami i sardonikami. Kolumny z cedrowego drzewa obwieszane były łańcuchami z żółtych bursztynów. Na płaskich, owalnych tarczach płonęły karbunkuły koloru wina lub trawy. A to wszystko stanowi zaledwie dziesiątą część tego, co tam widziałam.

A cesarz, odjawszy ręce od oczu, rzekł do mnie:

— Oto mój skarbiec, a połowa z niego należy do ciebie, jak ci przyobiecałem. Dam ci całe stado wielbłądów i poganiaczy, co usłuchają twego rozkazu i odwiozą ci twoją część skarbcza, dokądkolwiek zechcesz. Tylko niech się to stanie dzisiejszego wieczora, gdyż nie chcę, aby słońce, będące mym ojcem, widziało, że w mieście moim bawi człowiek, którego nie mogę zabić.

Ale ja odparłam:

— Złoto tu nagromadzone należy do ciebie, a także srebro i kosztowne klejnoty, i wszystkie te drogocenne przedmioty tobie pozostawię. Ja ich nie potrzebuję. I nic nie przyjmę od ciebie prócz małego pierścionka, który nosisz na palcu.

A cesarz zmarszczył czoło i rzekł:

— Wszak to pierścionek z ołowiu i żadnej nie ma wartości. Weź przeto połowę skarbcza i opuść moje miasto.

— Nie — odparłam — niczego bowiem nie pragnę oprócz tego pierścionka z ołowiu, bo wiem, co na nim napisane i do jakiego służy celu. A cesarz drżąc mówił błagalnie:

— Zabierz cały mój skarbiec i opuść to miasto: Połowa, która do mnie należy, niech także będzie twoją.

I uczyniłam wtedy coś dziwnego, a co uczyniłam, jest obojętne: w jaskini oddalonej stąd tylko o jeden dzień drogi ukryłam pierścień bogactwa. Jaskinia oddalona tylko o jeden dzień drogi i pierścień czeka na ciebie. Kto pierścień ten posiada, bogatszym jest od wszystkich królów świata. Chodź więc ze mną i weź go, a skarby całego świata staną się twymi. Ale młody rybak się zaśmiał.

— Miłość lepsza jest od bogactwa — zawołał — a mała wodnica mnie kocha.

— Nie, nie masz nic lepszego nad bogactwo — odparła dusza.

— Miłość jest lepsza — rzekł młody rybak zanurzając się w morskich głębinach, a dusza z płaczem odeszła przez bagna.

A gdy trzeci rok minął, dusza przyszła na wybrzeże i zawołała na młodego rybaka, a on wynurzył się na powierzchnię i spytał:

— Czemu mnie wołasz?

A dusza odparła:

— Przybliź się, bym mogła z tobą mówić, gdyż cudowne widziałam rzeczy,

Więc zbliżył się i usiadł w płytkiej wodzie, i, wsparłszy głowę na rękę, słuchał.

A dusza mówiła doń:

— W wiadomym mi mieście, stoi gospoda nad brzegiem rzeki. Siedziałam tam z marynarzami, którzy pili dwa wina, każde z nich innego koloru, jedli chleb jęczmienny i słone rybki z octem, podawane na listkach laurowych. A kiedy siedzieliśmy weseląc się, podszedł ku nam starzec, niosąc dywan skórzany i lutnię o dwóch rogach z bursztynu. A rozesławszy dywan na podłozę, sprężyną poruszył struny lutni, a wtedy wbiegła dziewczyna z zasłoniętą twarzą i zaczęła przed nami tańczyć. Twarz miała szczelnie osłoniętą welonem z gazy, ale nogi bose. Bose nogi, poruszające się po dywanie jak białe gołąbki. Nigdy nie widziałam czegoś równie cudownego, a miasto, gdzie ona tańczy, oddalone jest stąd tylko o jeden dzień drogi.

A rybak wsłuchując się w opowiadanie swej duszy, pomyślał, że wodnica nie ma nóg i nie umie tańczyć. Uczuł gorące pragnienie i rzekł do siebie:

— Wszak to tylko jeden dzień drogi, i mogę wrócić do mej ukochanej.

Zaśmiał się, wstał z płytkiej wody i wyszedł na brzeg.

Stanąwszy na lądzie, znów się zaśmiał i wyciągnął ramiona ku swej duszy. A ona wydała okrzyk radości i podbiegła, i weszła w niego, a rybak ujrzał na piasku cień ciała, będący ciałem duszy.

A dusza rzekła doń:

— Nie zwlekajmy, lecz zaraz ruszajmy w drogę, albowiem bogowie morza są zawistni i mają potwory; posłuszne ich rozkazom.

Więc śpieszyli się i wędrowali całą noc w blaskach księżyca i wędrowali dzień cały w żarze słonecznym, a wieczorem przybyli do miasta. A młody rybak rzekł do swej duszy:

— Czy to jest owo miasto, gdzie tańczy dziewczyna, o której mi mówiłaś?

A dusza odparła:

— Nie owo to miasto, lecz inne. Mimo to, wejdz.

Weszli więc do miasta i szli ulicami, a gdy weszli w ulicę jubilerską, młody rybak ujrzał na straganie piękną czarę srebrną. A dusza rzekła doń:

— Weź srebrną czarę i ukryj ją.

Wziął więc srebrną czarę i ukrył ją w fałdach swej szaty, po czym śpiesznie uciekli z miasta.

A gdy uszli całą milę, młody rybak zmarszczył czoło i rzekł do swej duszy:

— Czemu kazałaś mi wziąć tę czarę i ukryć? To był czyn zły.

Ale dusza odparła:

— Bądź spokojny, bądź spokojny.

A wieczorem dnia następnego przyszedli do miasta i młody rybak zwrócił się do swej duszy:

— Czy to jest owo miasto, gdzie tańczy dziewczyna, o której mi mówiłaś?

A dusza odparła:

— Nie owo to miasto, lecz inne. Mimo to wejdźmy. I weszli do miasta, i szli ulicami, a gdy weszli w ulicę, gdzie sprzedają sandały, młody rybak zobaczył dziecko, stojące obok dzbana z wodą.

A dusza rzekła do niego:

— Uderz to dziecko.

I uderzył dziecko, które zaczęło płakać, po czym spieszenie uciekli z miasta. A gdy uszli całą milę, młody rybak rozgniewał się i rzekł do swej duszy:

— Czemu kazałaś mi bić to dziecko? To był czyn zły.

Ale dusza odparła:

— Bądź spokojny, bądź spokojny.

A wieczorem dnia trzeciego przybyli do miasta i młody rybak zwrócił się do swej duszy:

— Czy to jest owo miasto, gdzie tańczy dziewczyna, o której mi mówiłaś?

A dusza odparła:

— Być może, że to jest owo miasto: wejdźmy przeto. I weszli do miasta, i szli ulicami, ale nigdzie młody rybak nie mógł znaleźć rzeki ni gospody położonej nad jej brzegiem. Mieszkańcy miasta przyglądali mu się z ciekawością, a on uczył trwogę i rzekł do swej duszy:

— Odejdźmy stąd, gdyż nie ma tu tej, co tańczy białymi nóżkami.

Ale dusza odparła:

— Nie, zostanemy, gdyż noc jest ciemna i zbóje mogą czyhać na drodze.

Usiadł więc na placu targowym i wypoczywał, a po chwili nadszedł kupiec w płaszczu z sukna tatarskiego, niosąc na sękatej trzcinie latarnię z wydrążonego rogu. I kupiec rzekł doń:

— Czemu tu siedzisz na targowicy, skoro kramy zamknięte, a towary zapakowane?

A młody rybak odparł:

— Nie mogę w mieście tym znaleźć gospody i nie mam krewnego, który by mi użyczył gościny.

— Czyż nie jesteśmy wszyscy braćmi? — spytał kupiec. — I czy nie stworzył nas jeden Bóg? Chodź przeto ze mną, gdyż ja mam pokój dla gości.

Młody rybak wstał i poszedł z kupcem do jego domu. A gdy przez ogród pełen drzew granatowych dostali się do domu, kupiec przyniósł mu w miedzianej misie wody różanej do obmycia rąk i dojrzałych melonów, by zaspokoił pragnienie, po czym uraczył go pełną czarą ryżu i kawałem pieczeni baraniej. Po spożyciu wieczerzy kupiec zaprowadził go do izby gościnnej, życząc dobrej nocy i miłego snu. A młody rybak podziękował mu całując pierścień, który ten nosił, po czym rzucił się na dywan z farbowanej sierści koziej. I nakrywszy się kocem z czarnej wełny jagnięcej zasnął.

A trzy godziny przed świtem, gdy wokół panował jeszcze spokój nocy, dusza zbudziła go mówiąc:

— Wstań i idź do pokoju kupca, do pokoju, w którym on śpi, zabij go i zabierz mu złoto, gdyż jest nam potrzebne.

Młody rybak wstał i na palcach wszedł do pokoju kupca. U nóg kupca leżał miecz snycerskiej roboty, a na stole, obok niego, dziewięć woreczków złota. Rybak wyciągnął rękę i dotknął miecza, a w tejże chwili kupiec się zerwał, skoczył z posłania i, sam ujawszy miecz, zawołał:

— Więc złym odpłacasz mi za dobre i rozlewem krwi odwdzięczasz się za gościnność, której ci użyczyłem?

A dusza rzekła do młodego rybaka:

— Uderz weń!

I uderzył kupca tak silnie, że ten zemdlał, po czym chwycił dziewięć woreczków złota i śpiesznie umknął przez ogród, pełen drzew granatowych i zwrócił oblicze ku gwiazdzie porannej. A gdy uszli całą milę, rybak uderzył się w pierś i rzekł do swej duszy.

— Czemu kazałaś mi powalić kupca i zabrać jego złoto? Zaprawdę jesteś zła.

Ale dusza odparła:

— Bądź spokojny, bądź spokojny.

— Nie! — krzyknął młody rybak. — Nie chcę być spokojny, gdyż wszystko, co mi czynić rozkazałaś, jest mi wstrętne. I ty mi jesteś wstrętna, i nienawidzę cię, i chcę, byś mi powiedziała, czemu ze mną tak postępujesz.

A dusza odpowiedziała:

— Gdy mnie wysłałaś w świat, nie dałaś mi serca, przeto nauczyłam się wszystkich tych czynów i pokochałam je.

— Co mówisz? — mamrotał młody rybak.

— Wiesz dobrze — odparła dusza — dobrze to wiesz. Alboż zapomniałaś, że mi nie dałaś serca? Nie sądzę, abyś tego nie pamiętał. Nie troszcz się więc o mnie, lecz bądź spokojny, gdyż nie ma bólu, którego nie zadasz, i nie ma rozkoszy, której byś nie miał zaznać.

A młody rybak, usłyszawszy te słowa, zadrzał i rzekł do swej duszy:

— Ty jesteś zła, gdyż pozwoliłaś mi zapomnieć o mej ukochanej i wystawiłaś na pokusę, i sprowadziłaś stopy me na drogę grzechu.

A dusza odpowiedziała:

— Zapomniałaś, że mi nie dałaś serca, kiedy mnie wysłałaś w świat. Chodź, pójdziemy do innego miasta i będziemy się weselić, gdyż mamy dziewięć woreczków złota.

Ale młody rybak wziął dziewięć woreczków złota, rzucił je na ziemię i podeptał nogami.

— Nie! — krzyknął. — Nie chcę już z tobą mieć nic więcej do czynienia i nie chcę z tobą dłużej wędrować, lecz oddalę cię, jak cię wpierw oddaliłem, gdyż nie przyniosłaś mi nic dobrego.

I zwrócił się plecami do księżycy i nożykiem o trzonku z zielonej skóry żmii próbował dokoła nóg swych odciąć cień ciała, będący ciałem duszy. Ale dusza nie odchodziła od niego i, nie słuchając jego rozkazu, te doń rzekła słowa:

— Urok rzucony na ciebie przez czarownicę na nic się już nie przyda. Albowiem nie mogę cię opuścić, ani ty mnie odpędzić już nie zdołasz. Raz w życiu człowiek może odpędzić swą duszę, ale kto ją przyjmie z powrotem, musi ją zachować na wieki, i to jest jego karą i nagrodą.

A młody rybak zbladł i zacisnąwszy pięści krzyknął:

— Fałszywa była czarownica, bo mi tego nie powiedziała.

— Nie — odparła dusza — gdyż była wierna temu, kogo ubóstwia i komu służyć będzie na wieki.

A gdy młody rybak pojął, że nigdy już nie pozbędzie się swej duszy i że ta dusza jest zła i wiecznie w nim będzie mieszkać, padł na ziemię i gorzko zapłakał.

A gdy dzień nastał, młody rybak wstał i rzekł do swej duszy:

— Zwiążę sobie ręce, bym nie mógł robić tego, co mi rozkażesz, i zamknę usta, bym nie powtarzał słów twoich, i powrócę tam, gdzie mieszka moja ukochana. Do morza wrócę, do małej zatoki, gdzie ona zwykła śpiewać, i przywołam ją, i powiem, co złego uczyniłem i co ty mi uczyniłaś złego.

A dusza poczęła go kusić mówiąc:

— Któż jest ta twoja ukochana, byś miał do niej powracać? Znajdziesz na świecie niejedną pięknieszczą od niej. Tancerki w Samaris tańczą jak różnorodne ptaki i zwierzęta, mają nóżki pomalowane henną, a w rękach trzymają małe miedziane dzwoneczki. Śmieją się, tańcząc, a

śmiech ich jest srebrzysty jak śmiech wody Chodź ze mną, a pokażę ci je. Po cóż się masz troszczyć z powodu grzechu? Alboż to, co smaczne, nie jest stworzone do jedzenia? Czy w słodkim napoju nie ma Boga? Nie dręcz się przeto, lecz pójdz ze mną do innego miasta. Tu, w pobliżu, leży małe miasteczko i ogród pełen tulipanów. A w pięknym tym ogrodzie są białe pawie i pawie o błękitnych piersiach. Gdy w słońcu roztoczą ogony, wyglądają jak dyski z kości słoniowej lub jak dyski ze złota. A dziewczyna, co karmi te ptaki, tańczy gwoli zabawy i tańczy czasem na rękach, a czasem nogami. Oczy jej mają kolor antymonu, a nozdrza są ruchliwe jak lotki jaskółki. Na haczyku przytwierdzonym do jednego nozdrza wisi kwiat wyrzeźbiony w perle. Tańcząc śmieje się, a srebrne bransolety na jej nóżkach dzwięczą jak srebrne dzwoneczki. Nie dręcz się więc dłużej, lecz chodź ze mną do tego miasta.

Młody rybak jednak nie odpowiedział swej duszy, lecz zamknął usta swe pieczęcią milczenia i ręce skrępował sobie mocnym sznurem, po czym skierował kroki swe ku stronie, skąd był wyszedł, i ku małej zatoce, gdzie ongi śpiewała jego ukochana. A dusza raz po raz kusiła go w ciągu drogi, lecz on jej nie odpowiadał i nie czynił nic złego, choć go namawiała, tak wielką była w nim potęga miłości. A przybywszy nad wybrzeże morza, zerwał sznur ze swych rąk i zdjawszy z ust swych pieczęć milczenia, począł wołać na wodnicę. Ale ona nie przybyła, pomimo że przez cały dzień wołał ją do siebie i błagał.

A dusza szydziła z niego mówiąc:

— Zaprawdę, niewiele radości sprawia ci twa ukochana. Przypominasz mi człowieka, który w czasie posuchy wlewa wodę do pękniętego naczynia. Rozdajesz, co masz, a nic nie odbierasz w zamian. Lepiej uczyniłabyś, idąc ze mną, gdyż ja wiem, gdzie leży dolina rozkoszy i czego się tam zaznaje.

Ale młody rybak nie odpowiadał swej duszy, lecz wybudowawszy sobie w skalnej rozpadlinie domek z trzciny, mieszkał w nim przez rok cały. I co ranka przywoływał wodnicę i przyzywał ją co południa i co wieczora, powtarzał jej imię nad brzegiem zatoki. Ale nigdy nie wyłoniła się z morza i nigdy nie znalazł jej, pomimo że szukał w ciemnych wirach i na powierzchni modrej toni, i w głębinach fal, i w studniach, ziejących na dnie morskich głębi.

I dusza kusiła go ciągle do złego, podszeptując rzeczy straszne. Ale nie miała nad nim żadnej władzy, tak wielką była w nim moc miłości.

A gdy rok minął, dusza pomyślała:

„Kusiłam pana mego do złego, ale miłość jego silniejsza jest ode mnie. Spróbuję go teraz skusić do dobrego, a może prędzej mi ulegnie.”

I rzekła do młodego rybaka:

— Mówiłam ci o rozkoszach świata, lecz byłeś głuchy na moje słowa. Teraz opowiem ci o bólach tego świata, a może posłuchasz. Bo zaprawdę, ból jest panem świata, i nikt mu nie ujdzie. Jedni nie mają odzienia, a inni nie mają chleba. Są wdowy; płaczą one zarówno w purpurze, jak w łachmanach. Tu i ówdzie poprzez bagna przeciągają trędowaci i okrutni są dla siebie nawzajem. Żebracy włóczą się ulicami tam i na powrót, a kieszenie ich pozostają puste. Przez ulice miasta wlecze się głód, a u bram jego przycupnęła zaraza. Pójdz ze mną nieść pomoc ludziom i zmienić ten stan rzeczy. Po cóż miałbyś tu czas tracić przywołując ukochaną, gdy ona nie zważa na twe wołanie? Czymże jest miłość, byś do niej tyle przywiązywał wagi? Ale młody rybak nie odpowiadał jej, tak wielką była w nim moc miłości. Co ranka przywoływał wodnicę i przyzywał ją co południa i co wieczora, powtarzał jej imię nad brzegiem zatoki. Ale nigdy nie wyłoniła się z głębin i nigdy jej nie znalazł w morzu, pomimo że szukał jej w zawrotnych wirach i w dolinach, cicho leżących pod falami morza, co w nocy okrywa się purpurą, a szarym się staje o zmroku.

A kiedy minął rok drugi, rzekła dusza do rybaka, gdy pewnej nocy siedział samotny w domku

ze trzciny:

— Patrz, oto cię kusiłam do złego i kusiłam cię do dobrego, ale miłość twoja silniejsza jest ode mnie. Dlatego nie chcę cię kusić dłużej, lecz proszę cię tylko, pozwól mi wejść na powrót do twego serca, bym się z tobą zjednoczyła jak dawniej.

— Zaprawdę możesz wejść do niego — rzekł młody rybak — bo wiele zapewne przecierpieć musiałaś, gdy bez serca chodziłaś po świecie.

— Ach! — rzekła dusza — nie mogę znaleźć wejścia, tak bardzo serce twe wypełnione jest miłością.

— A jednak pragnąłbym ci przyjść z pomocą — odparł młody rybak. I zaledwie wyrzekł te słowa, od strony morza rozległ się żalostny, przenikliwy krzyk towarzyszący zwykle śmierci wodników. A młody rybak zerwał się i wybiegł z domku trzciniowego na wybrzeże. Właśnie nadpłynęły czarne fale, niosąc na grzywie swój ciężar bielszy od srebra. Białą był jak biała piana morska i jak kwiat, kołysał się na fali. Rwący prąd odebrał go fali, a spieniona toń wyrwała go prądowi i zaniosiła na wybrzeże, i młody rybak ujrzał u stóp swoich zwłoki małej wodnicy. U stóp jego leżała martwa.

Bólem złamany padł obok niej, łkając i całując zimny karmin jej ust i pieszcząc wilgotny bursztyn jej włosów. Padł obok niej na piasku i płakał jak człowiek zmożony zbyt wielką radością i do piersi cisnął ją ogorzałymi ramionami. Zimne były jej usta, lecz on je całował. Słonym był miód jej włosów, lecz on go wchłaniał z gorzką rozkoszą. Całował przytknięte powieki, a piana morska, perląca się na nich, mniej była słoną od jego łez.

Spowiadał się jej zimnym zwłokom. Do muszel uszu wlewał ostre wino swych opowieści. Drobnymi jej rączkami oplótł sobie szyję i palcami dotknął delikatnej trzciny jej szyi. Gorzka była jego radość, a ból pełen dziwnej rozkoszy.

Czarne fale podpływały coraz bliżej, a biała piana jęczała jak człowiek okryty trądem. Białymi szponami z piany morze sięgało ku wybrzeżu. Z pałacu króla morza rozległ się nowy krzyk żalobny, a daleko na morzu trytony chrapliwie zagrzmiały w rogi.

— Uciekaj — rzekła dusza — gdyż morze podchodzi coraz bliżej i, jeśli będziesz zwlekał, uśmierci cię. Uciekaj, gdyż się boję, a do serca twego wejść nie mogę z powodu twej wielkiej miłości. Uciekaj na jakieś bezpieczne miejsce. Zaprawdę nie powinienesz mnie wyprawiać na tamten świat bez serca!

Młody rybak nie zważał jednak na swą duszę, lecz ciągle przyzywał małą wodnicę mówiąc:

— Miłość lepsza jest od mądrości i cenniejsza od majątku, i piękniejsza niż nóżki cór człowieczych. Ogień jej nie zniszczy i woda nie zatopi. Przyzywałem cię o zmroku, lecz nie przysłaś na moje wołanie. Księżyc słyszał, jak powtarzałem twe imię, ale ty nie zważałaś na mnie. Bo nikczemnie cię porzuciłem i odszedłem na własną swą zgubę. Ale miłość twa zawsze była przy mnie i zawsze była silna, i nic nie mogło jej przewyciężyć, pomimo że patrzyłem na zło i dobro na świecie. A teraz, skoro nie żyjesz, i ja chcę umrzeć z tobą.

A dusza błagała go, by uciekł, lecz on nie chciał — tak wielka była moc jego miłości. A morze nadpływało coraz bliżej, usiłując go nakryć swymi falami, a on czując, że koniec się zbliża, płonącymi ustami namiętnie całował zimne usta wodnicy dotąd, aż serce w nim pękło. A kiedy serce w nim pękło z nadmiaru miłości, dusza zdołała w nie wejść i zjednoczyć się z nim, jak dawniej. A morze falami swymi nakryło młodego rybaka.

Rano ksiądz wyszedł pokropić morze święconą wodą, gdyż było wzburzone i niespokojne. A z nim szli mnisi i muzykanci, i wielkie tłumy ludzi, i chłopcy niosący świece i kadzidła.

A stanąwszy nad brzegiem morza, ksiądz ujrzał w zatoce zwłoki młodego rybaka, a w jego ramionach spoczywały zwłoki małej wodnicy. Więc, zmarszczywszy brwi, cofnął się i, czyniąc znak krzyża, zawołał: — Nie poświęcę morza ani niczego, co się w nim znajduje. Przeklęci

niechaj będą mieszkańcy morza i przekłęci wszyscy, co się z nimi wdają. A zwłoki tego, co dla miłości porzucił Boga i teraz z dziewczką swą leży tutaj palcem bożym tknięty, i zwłoki jego dziewczki zabierzcie i pochowajcie je na pogańskim uroczysku, a nie kładźcie na grobie ich kamienia ni żadnego innego znaku, by nikt nie znał miejsca ich spoczynku. Bo przekłęci byli za życia i przekłęci niech będą po śmierci.

A lud uczynił, jak ksiądz rozkazał, i pochował ich na uroczysku, gdzie nie rosło żadne słodkie ziele. Wykopano dół głęboki i zagrzebano w nim zwłoki obojga.

A gdy trzeci rok minął, pewnego dnia, który był dniem świątecznym, ksiądz udał się do kaplicy, by ludowi pokazać rany Chrystusa i mówić o gniewie Pańskim. A kiedy włożył swe szaty i, wszedłszy do kaplicy, pochylił głowę przed ołtarzem, ujrzał, że ołtarz przystrojony jest dziwnym kwieciami, jakiego nigdy jeszcze nie widział. Dziwnie wyglądały owe kwiaty, piękność ich barw go oszałamiała, a zapach słodki drażnił powonienie. I był wesół, i nie wiedział, skąd wesołość ta pochodzi.

A gdy utworzył tabernakulum i palił przed monstrancją kadzidło, ludowi zgromadzonemu pokazał biały opłatek, który następnie ukrył za zasłoną zasłon — rozpoczął kazanie, mając zamiar mówić o gniewie bożym. Ale piękność białych kwiatów tak go oszałamiała, a zapach ich tak słodko drażnił mu powonienie, że inne słowa wybiegły mu na usta i zamiast o gniewie bożym, mówił o Bogu, którego imię jest: miłość. I nie wiedział sam, czemu w ten sposób mówi.

A gdy skończył, ludzie się rozeszli, ksiądz zaś poszedł do zakrystii, a oczy jego były pełne łez i weszli diakoni, i zdjęli z niego szaty: albę, manipularz i pas, i stułę. A on ciągle stał nieruchomy, jakby w ekstazie.

A gdy zdjęli z niego szaty, spojrzął na nich i spytał:

— Co to są za kwiaty na ołtarzu i gdzie one urosły? A oni odparli:

— Co to są za kwiaty, nie wiemy, ale urosły na pogańskim uroczysku.

Ksiądz zadrżał i poszedł do mieszkania swego, by się tam modlić.

A rano o świcie, z mnichami i muzykantami, i chłopcami, niosącymi świece i kadzidła, i z wielkim tłumem ludzi poszedł w stronę morza, a stanąwszy na wybrzeżu, błogosławił morze i wszystkie dzikie istoty, które w nim żyją. Błogosławił fauny i drobne istotki, co w lesie tańczą, i stworzonka o błyszczących oczach, zerkające spoza gęstwiny listowia. Błogosławił wszystkie istoty na bożym świecie, a lud zgromadzony słuchał pełen radości i zdumienia. Ale nigdy już nie wyrosły kwiaty na pogańskim uroczysku, lecz pole pozostało puste jak dawniej. A także nikt z rodu wodników nie ukazał się odtąd w zatoce, gdyż wszyscy przenieśli się w inne strony morza.

*Tłum.: Maria Feldmanowa*

## MŁODY KRÓL

Była to noc przed koronacją i młody król siedział samotnie w swojej pięknej komnacie. Dworzanie odeszli, kłaniając się do ziemi zgodnie z przyjętym w takich razach obyczajem, i udali się do wielkiej sali, by wziąć kilka ostatnich lekcji od mistrza ceremonii, paru z nich bowiem miało jeszcze ruchy całkiem naturalne, co u dworzanina — o czym chyba nie potrzebuje mówić — jest bardzo poważnym wykroczeniem.

Chłopiec — bo był tylko chłopcem mając dopiero szesnaście lat — nie zmartwił się ich odejściem, lecz z głębokim westchnieniem ulgi rzucił się na miękkie poduszki swego haftowanego posłania. Leżał tam, ze spłoszonymi oczyma i otwartymi ustami, niczym brązowy leśny faun lub młode zwierzątko z puszczy, świeżo złapane w potrzask przez myśliwych. Bo istotnie myśliwi znaleźli go prawie przypadkiem, gdy bosy i z fujarką w ręku postępował za stadem kóz biednego pasterza, który go wychował i uważał za syna. Było to dziecko jedynej córki starego króla z małżeństwa zawartego potajemnie z kimś należącym do znacznie niższego stanu — jak mówiono, z cudzoziemcem, który dzięki cudownej, magicznej umiejętności gry na lutni zdobył serce młodej księżniczki; inni mówili o artyście z Rimini, któremu księżniczka okazywała wiele, może nawet zbyt wiele łaski i który nagle, pozostawiając swoje dzieło w katedrze nie skończone, zniknął z miasta. Dość, że dziecko, gdy liczyło sobie zaledwie tydzień, zostało porwane od matki w czasie snu i oddane pod opiekę prostych wieśniaków, którzy nie mieli własnych dzieci i żyli w zapadłej części lasu oddalonej od miasta o z górą dzień drogi. Smutek lub zaraza, jak stwierdził nadworny lekarz, lub może, jak poszeptowali inni, szybka w działaniu włoska trucizna podana w kielichu korzennego wina zabiła w godzinę po przebudzeniu białe dziewczątko, które dało mu życie. W tym samym czasie gdy zaufany posłaniec, który wiozł dziecko przed sobą na siodle, zsiadał ze zgrzanego konia i stukał do koślawych drzwi chatki pasterza — ciało księżniczki składano do otwartego grobu. Grób wykopano na zapomnianym cmentarzu kościelnym poza bramami miasta; jak mówiono, leżało w nim już inne ciało, ciało młodego człowieka wspaniałej egzotycznej piękności, którego ręce związane były z tyłu powozem, a pierś pokłuta licznymi krwawymi ranami.

Taka przynajmniej była wieść, jaką szeptano z ucha do ucha; pewne jest to, że na łożu śmierci stary król — czy to wstrząśnięty wyrzutami sumienia za swój wielki grzech, czy po prostu pragnąc, aby królestwo zostało przy jego rodzie — kazał posłać po chłopca i w obecności Rady Przybocznej ogłosił go swoim dziedzicem.

Niemal od pierwszej chwili swego znalezienia młody król zdradzał oznaki jakiegoś dziwnego umiłowania piękna, które miało mieć tak wielki wpływ na całe jego życie. Ci, którzy mu towarzyszyli do przeznaczonych dla niego komnat, często wspominali okrzyk radości, jaki wydarł mu się z piersi na widok przygotowanych dla niego delikatnych szat i kosztownych klejnotów. Podobno z dziką niemal radością odrzucił szorstką skórzaną koszulę i nędzną owczą opończę. Chwilami brakowało mu oczywiście swobody leśnego życia i drażniły go nużące dworskie ceremonie, które zajmowały tyle czasu, lecz ten wspaniałały pałac — „Radość”, jak go nazywano — którego był panem, zdawał się być jakimś nowym światem, dopiero co stworzonym specjalnie dla jego przyjemności. Jak tylko mógł się wyrwać z sali obrad lub z sali przyjęć, zaraz zbiegał po ogromnych schodach z kolorowego porfiru strzeżonych przez lwę ze złoczonego brązu i błąkał się wśród komnat i korytarzy, jak ktoś, kto spodziewa się znaleźć w pięknie złagodzenie bólu i wybawienie od nudy.



W tych odkrywczych podróżach, jak zwykł je nazywać — bo rzeczywiście były to wspaniałe podróże przez zadziwiające lądy — towarzyszyli mu czasami jasnowłosi dworzcy paziowie w luźnych płaszczach i turkoczających wstążkach. Lecz częściej błąkał się sam przeczuwając wyostrzonym instynktem, co było prawie jasnowidzeniem, że tajemnic sztuki najlepiej uczyć się w skrytości i że piękno, podobnie jak mądrość, kocha samotnych wielbicieli.

Krażyło o nim wiele ciekawych historii z owego czasu. Mówiono, że tłusty burmistrz, który przybył, aby wygłosić kwiecistą, wiernopoddańczą orację w imieniu mieszkańców miasta, ujrzał go klęczącego w prawdziwym uwielbieniu przed wielkim obrazem sprowadzonym z Wenecji; wydawało się, że oddaje cześć jakimś nowym bogom. Innym razem zniknął na kilka godzin i po długich poszukiwaniach znaleziono go w małej komnacie na jednej z północnych wieżyczek pałacu, patrzącego w zachwyceniu na grecką kameę wyobrażającą Adonisa. Widziano go — jak wieść niesie — przyciskającego swe gorące wargi do marmurowego ciała starożytnego posągu, który znaleziono w łóżysku rzeki przy budowie kamiennego mostu; na posągu wyryte było imię niewolnika z Bityny należącego do Hadriana. Innym znów razem spędził całą noc przyglądając się grze światła księżycowego na srebrnym wizerunku Endymiona.

Fascynowały go wszelkie rzadkie i cenne rzeczy i chcąc je posiadać wysyłał w świat licznych kupców: jednych po zakup bursztynu od barbarzyńskich rybaków z północnych mórz, drugich do Egiptu na poszukiwania przedziwnego zielonego turkus, który można znaleźć tylko w grobowcach królów i który podobno posiada własności magiczne; innych jeszcze do Persji po jedwabiste kobierce i malowane naczynia gliniane, a jeszcze innych — do Indii po gazę, upstrzone plamami o barwie kości słoniowej kamienie księżycowe, bransolety z jaspisu, drzewo sandałowe, niebieską emalię i chusty z kosztownej wełny.

Lecz najbardziej zajmowała go szata, którą miał włożyć na koronację, szata przetykana złotem, korona wysadzana rubinami i berło lśniące rzędami pereł. Tak, o tym myślał dzisiejszej nocy leżąc na przepyszny łóżu i patrząc na pień sosnowy dopalający się na otwartym palenisku. Wiele miesięcy temu przedłożono mu projekty największych artystów jego czasów i rozkazano rzemieślnikom, żeby dniem i nocą pracowali nad ich wykonaniem, a cały świat miał poszukiwać klejnotów godnych tego dzieła. Widział siebie oczyma wyobraźni, stojącego przy wysokim ołtarzu katedralnym w jasnych szatach królewskich, a uśmiech błąkał się i igrał na jego chłopięcych wargach i zapalał żywym blaskiem jego ciemne płochliwe oczy.

Po pewnym czasie wstał i opierając się o rzeźbione obramowanie kominka rozejrzał się po nikle oświetlonej komnacie. Ściany pokryte były obiciem przedstawiającym, triumf piękna. Wielka komoda inkrustowana agatem i lapis lazuli wypełniała jeden róg, naprzeciwko okna stała gabłota kunsztownej roboty, lakierowana i pokryta mozaiką ze złota, na której ustawiono kilka delikatnych czarek z weneckiego szkła oraz filiżankę z żyłkowanego ciemnego onyksu. Zdawało się, że blade matki na jedwabnej kapie łóżka wysunęły się ze zmęczonych rąk snu. Smukłe trzciny inkrustowane kością słoniową podtrzymywały aksamitny baldachim, z którego, niczym biała piana, strzelały kity strusich piór ku bladłosrebrnemu rzeźbionemu sufitowi. Roześmiany Narcyz z zielonkawego spizu trzymał nad głową polerowane zwierciadło. Na stole stała niska waza z ametystu.

W oddali widniała ogromna kopuła katedry zawieszona niczym bańka mydlana nad majaczącymi domami, a znużeni strażnicy przechadzali się tam i na powrót po zamglonych tarasach nad rzeką. Gdzieś daleko w sadzie śpiewał słowik. Delikatna woń jaśminu płynęła z otwartego okna. Młody król odgarnął brązowe loki z czoła, ujął lutnię i palcami przesunął po strunach. Ciężkie powieki opadły mu na oczy i ogarnęło go dziwne znużenie. Nigdy dotąd nie odczuwał tak żywo i z tak dojmującą radością czaru i tajemnicy zawartej w rzeczach pięknych. Gdy zegar na wieży wybił północ, pociągnął za dzwonek, weszli paziowie i rozebrali go z wielką

ceremonią, skrapiając mu ręce wodą różaną i strojąc kwiatami poduszkę. W kilka chwil po ich odejściu zapadł w sen.

Gdy spał, śnił mu się sen, a sen ten był taki:

Zdawało mu się, że stoi na długim wąskim poddaszu, wśród klekotu i huku wielu warsztatów tkackich. Wątle światło dzienne przezierало przez zakratowane okna ukazując cherlawe postaci tkaczy pochylonych; nad osnową. Mizerne, chorowite dzieci czołgały się na potężnych belkach podłogi. Gdy czółenka przebiegały przez osnowę, tkacze podnosili ciężkie płochy, a gdy czółenka zatrzymywały się, spuszczały płochy na dół i w ten sposób schodziły się ciasniej nitki tkaniny. Twarze ich naznaczone były głodem, a ręce dygotały i drżały. Kilka wynędzniałych kobiet siedziało przy stole szyjąc. Okropny odór unosił się w izbie. Powietrze było ciężkie i smrodliwe, a na ścianach widniały zacieki wilgoci.

Młody król podszedł do jednego z tkaczy, stanął za nim i obserwował go.

Lecz tkacz spojrzał nań gniewnie i spytał:

— Dlaczego na mnie patrzysz? Czy jesteś szpiegiem naślany przez naszego pana?

— Któż jest waszym panem? — spytał młody król.

— Nasz pan?! — wykrzyknął tkacz z goryczą. — Jest takim samym człowiekiem jak ja! Zaiste, istnieje tylko jedyna różnica między nami, ta, że on nosi piękne szaty, a ja chodzę w łachmanach, że ja słabnę z głodu, a jemu obżarstwo niemało daje się we znaki.

— Kraj jest wolny — powiedział młody król — i nie jesteś niczym niewolnikiem.

— W czasie wojny słaby jest niewolnikiem silnego, a w czasie pokoju — bogaty bierze w niewolę biedaka. Musimy pracować, żeby żyć, lecz oni płacą nam tak nędznie, że mrzemy. Harujemy na nich jak dzień długi, a oni gromadzą złoto w kufrach, podczas gdy nasze dzieci więdną przed czasem, a twarze tych, których kochamy, stają się twarde i złe. My wyciskamy sok z winorośli, lecz inni spijają wino. My siejemy zboże, lecz nasze spichrze są puste. Nosimy łańcuchy, chociaż ich nie widać; jesteśmy niewolnikami, chociaż mówią, że jesteśmy wolni.

— I tak dzieje się ze wszystkimi? — spytał młody król.

— Ze wszystkimi — odpowiedział tkacz. — Tak samo z młodymi jak ze starymi, z kobietami i z mężczyznami, z małymi dziećmi i z posuniętymi w latach. Kupcy uciskają nas, lecz musimy być im posłuszni. Ksiądz jeździ i klepie pacierze, ale nikt nie dba o nas. Przez nasze jałowe ugory pełza Bieda o wygłodniałych oczach, a Grzech z kretyńską gębą postępuje tuż za nią. Nędza budzi nas z rana, a Wstyd przesiaduje z nami w nocy. Lecz co znaczą te sprawy dla ciebie? Nie jesteś jednym z nas. Masz twarz zbyt szczęśliwą. — Odwrócił się ze złością i przerzucił czółenka, a młody król zobaczył, że nitki tkaniny są ze złota.

I ogarnął go wielki strach i spytał tkacza:

— Co to za szata, którą tkasz?

— To jest szata na koronację młodego króla — odpowiedział tkacz. — Co ci do tego?

A młody król wydał okrzyk grozy i obudził się, i ach! był w swojej własnej komnacie, a przez okno przezierał ogromny księżyc o kolorze miodu zawieszony na zamglonym niebie.

Znów zapadł w sen i śnił, a sen ten był taki: Śniło mu się, że leży na pokładzie wielkiej galery poruszanej wiosłami przez stu niewolników. Przy nim, na kobiercu, siedział właściciel statku. Był czarny jak heban, a turban miał z purpurowego jedwabiu. Ogromne srebrne kolczyki zwisały mu z tłustych uszu, a w rękach trzymał dwie szalki z kości słoniowej.

Niewolnicy mieli tylko obszarpane przepaski na biodrach i skuci byli łańcuchami po dwóch. Żar słoneczny palił ich niemiłosiernie, a Murzyni biegali tam i na powrót środkiem galery okładając ich rzemiennymi powrozami. Niewolnicy wyciągali chude ramiona i zanurzali ciężkie wiosła w wodzie. Słona piana bryzgała z piór wiosel.

Wreszcie dotarli do małej zatoki i zaczęli sondować wodę. Od brzegu dął lekki wiatr i

zasypywał pokład i główny żagiel ostrym czerwonym pyłem. Od łądu wynurzyli się trzej Arabowie na dzikich osłach i poczęli godzić w załogę galer oszczepami. Właściciel statku napiął malowany łuk i przeszył gardło jednemu z napastników, który spadł ciężko w nadbrzeżne fale, a jego towarzysze pokłusowali z powrotem. Kobieta w żółtym kwefie wolno podążała za nim na wielbłądzie, oglądając się od czasu do czasu i spoglądając na martwe ciało.

Gdy tylko zarzucili kotwicę i spuścili żagiel, Murzyni przynieśli spod pokładu długą drabinę sznurową, obciążoną ołowiem. Właściciel galery, umocowawszy ją najpierw do dwóch żelaznych haków, przerzucił ją przez burtę. Wówczas Murzyni schwycili najmłodszego z niewolników, zerwali krępujące go więzy, zatkali mu nozdrza i uszy woskiem i uwiązali mu wielki kamień u pasa. Pełzał mozolnie po drabinie w dół, aż znikł w wodzie. W miejscu gdzie się zanurzył, ukazały się na wodzie pęcherzyki. Kilku z niewolników wpatrywało się w to miejsce z zaciekawieniem. Na dziobie zasiadł zaklinacz ryb bijąc monotennie w bęben.

Po pewnym czasie nurek wyłonił się z wody i ciężko dysząc przywarł do drabiny. Na prawej jego ręce spoczywała perła. Murzyni pochycili perlę i rzucili go do wody z powrotem. Niewolnicy posnęli nad wiosłami.

Nurek wyłaniał się raz po raz, a za każdym razem przynosił piękną perlę. Właściciel galery ważył je i kładł do małej torebki z zielonej skóry.

Młody król próbował mówić, lecz wydawało się, że język przysechł mu do podniebienia, a wargi nie chciały się poruszać. Murzyni gawędzili z sobą i nawet zaczęli wieść spór o sznur kolorowych paciorków. Klucze żurawi zataczały kręgi nad statkiem.

Nurek wynurzył się po raz ostatni; perła, którą przyniósł, była piękniejsza od wszystkich pereł Ormuza, gdyż miała kształt księżyca w pełni i była bielsza niż jutrzienka. Lecz twarz nurka była przedziwnie blada i gdy padł na pokład, krew rzuciła mu się uszami i nosem. Drgał jeszcze, lecz po chwili zesztyniał. Murzyni wzruszyli ramionami i wyrzucili ciało za burtę.

Właściciel zaśmiał się i wyciągnąwszy rękę wziął perlę, a gdy ją ujrzał, przycisnął ją do skroni i pokłonił się.

— Ta będzie do berła młodego króla — powiedział i dał znak Murzynom, by podnieśli kotwicę.

A gdy to młody król usłyszał, wydał okrzyk grozy i obudził się, i dojrzał przez okno, jak długie szare palce świtu przywierają do gasnących gwiazd.

Znów zasnął i śnił, a sen ten był taki: Zdawało mu się, że błąka się w ciemnym lesie, gdzie na drzewach wisały dziwne owoce i gdzie rosły piękne trujące kwiaty. Żmije syczały na niego, gdy przechodził, a pstre papugi przelatywały z piskiem z gałęzi na gałąź. Olbrzymie żółwie leżały uśpione w gorącym błocie. Na drzewach pełno było małp i pawi. Szedł dalej i dalej, aż doszedł do skraju lasu. Ujrzał tam wielki tłum ludzi pracujących w łożysku wyschniętej rzeki. Roili się na urwisku jak mrówki., Wykopali w ziemi głębokie doły i weszli do nich. Jedni szczerbili skały wielkimi kilofami, inni grzebali się w piasku. Wyrwali z korzeniami kaktusy i tratowali kwiecie. Spieszyli się nawołując jedni drugich — nikt się nie lenił.

Śmierć i Chciwość patrzyły na nich z ciemnej jaskini. Śmierć rzekła:

— Jestem zmęczona; daj mi trzecią część tego tłumu i pozwól mi odejść.

Lecz Chciwość potrząsnęła głową.

— To moi słudzy — odparła.

Śmierć spytała:

— Co masz w ręku?

— Trzy ziarnka żyta. Co ci do tego?

— Daj mi jedno — zawołała Śmierć — a zasadzę je w moim ogrodzie. Tylko jedno, a odejdę stąd!

— Nie dam ci nic — powiedziała Chciwość i ukryła rękę w fałdach odzienia.

Śmierć zaśmiała się, wzięła kielich i zatopiła go w sadzawce; z kielicha podniosła się Febra. Przechadzała się wśród tłumu i co trzeci człowiek padał martwy. Towarzyszyły jej zimne opary, a wodne węże pełzały u jej boku.

A gdy Chciwość ujrzała, że co trzeci z tłumu pada martwy, uderzyła się w pierś i zapłakała. Uderzyła się w swoją suchą pierś i krzyknęła głośno:

— Zabiłaś trzecią część moich sług. Odejdź! Jest wojna w górach Tartaru i królowie po obu stronach wzywają ciebie. Afganowie zabili czarnego wołu i ruszają w bój. Uderzyli o tarcze włóczniami i włożyli hełmy z żelaza. Czymże jest dla ciebie moja dolina, że się tu zatrzymujesz?! Odejdź i nie wracaj więcej!

— Nie — odrzekła Śmierć. — Dopóki nie dasz mi ziarnka żyta, nie odejdę.

Lecz Chciwość zamknęła dłoń i zacisnęła zęby.

— Nie dam ci nic — mruknęła.

Śmierć zaśmiała się, podniosła czarny kamień i rzuciła go w las, a z gąszcza dzikiej cykuty wyszła Gorączka w szacie z płomienia. Przechadzała się wśród tłumu i dotykała ludzi, a każdy człowiek, którego dotknęła, umierał. Którędy przeszła, trawa schła pod jej stopami. Chciwość wstrząsnęła się i posypała głowę popiołem.

— Jesteś okrutna! — krzyknęła. — Jesteś okrutna! W warownych miastach Indii panuje głód i woda wyschła w zbiornikach Samarkandy. W warownych miastach Egiptu panuje głód, a z pustyni nadciąga szarańcza. Nil nie wystąpił z brzegów i kapłani przeklęli Izydę i Ozyrysa. Odejdź do tych, którzy cię potrzebują, a zostaw mnie z moimi sługami.

— Nie — odpowiedziała Śmierć — dopóki nie dasz mi ziarnka żyta, nie pójdę.

— Nie dam ci nic — odrzekła Chciwość.

Śmierć zaśmiała się, gwizdnęła przez palce, a z powietrza nadleciała postać kobiety. „Zaraza” — było napisane na jej czole, a stado zgłodniałych sępów wirowało nad jej głową. Roztoczyła nad doliną swe skrzydła i nikt nie uszedł śmierci.

Chciwość z krzykiem uciekła do lasu, a Śmierć dosiadła swego krwawego rumaka i popędziła w dal a pęd ten był szybszy niż wiatr.

Z szlamu doliny wypełzły smoki i ohydne potwory pokryte łuską, a szakale przebiegały piaski wietrząc nozdrzami powietrze.

Młody król zapłakał i spytał:

— Co to byli za ludzie i czego tu szukali?

— Rubinów do korony króla — odpowiedział ktoś, kto stał za nim.

Młody król drgnął i obróciwszy się ujrzał człowieka w szacie pielgrzymiej, trzymającego w ręku srebrne zwierciadło.

Pobladł gwałtownie i spytał:

— Dla jakiego króla?

— Spójrz w zwierciadło, a ujrzysz go — odpowiedział pielgrzym.

I spojrzął w zwierciadło, a widząc swoją własną twarz wydał krzyk grozy i obudził się; promienne światło słoneczne zalało pokój, a z ogrodów przypłynął śpiew ptaków.

Przybyli kanclerz i najwyżsi dostojnicy państwa, by złożyć mu hołd, paziowie przynieśli szatę tkaną złotem, a koronę i berło złożyli przed nim.

Młody król spojrzął na jedno i drugie i spostrzegł, że są niezwykle piękne. Piękniejsze niż wszystko, co widział dotychczas. Lecz pomny na swoje sny powiedział do wielmożów:

— Zabierzcie to precz, nie włożę tego.

Dworzanie osłupieli, a kilku z nich poczęło się śmiać myśląc, że żartuje.

Lecz on powtórzył poważnie:

— Zabierzcie to precz: niech tego więcej nie widzę. Chociaż to dzień mojej koronacji, nie włożę tej szaty, bo utkały ją białe ręce Bólu na warsztacie Smutku. A w tym rubinie jest krew, tak jak w sercu perły jest Śmierć.

I opowiedział im swoje trzy sny. A wysłuchawszy ich dworzanie spojrzeli po sobie i poczęli szeptać:

— Zaiste, jest szalony. Bo czymże jest sen, jak tylko snem, a widzenie — tylko widzeniem? Należy się troszczyć tylko o rzeczywistość. Cóż nam do życia tych, którzy dla nas pracują? Czyż, żeby jeść chleb, musi człek wprzód oglądać siewcę lub, żeby pić wino, trzebaż li wprzód rozmawiać z winogradnikiem?

I kanclerz ozwał się tymi słowy do młodego króla:

— Panie mój, błagam, odpędź od siebie te czarne myśli i przywdziej tę piękną szatę, a koronę włóż na głowę. Bo po czymże ludzie poznają, żeś królem, skoro nie będziesz miał na sobie królewskiego stroju? Młody król spojrział na niego.

— Czyż tak jest istotnie? — zapytał. — Nie poznają, żeś królem, gdy nie włożę królewskiego stroju?

— Nie poznają, mój panie! — wykrzyknął kanclerz.

— Myślałem, że bywali ludzie królewskiego oblicza — powiedział — lecz być może, jest tak, jak mówisz. A jednak nie włożę tej szaty ani tej korony, lecz wyjdę z pałacu tak, jak do niego przybyłem.

I rozkazał wszystkim się oddalić, prócz jednego pazia, którego miał do towarzystwa, chłopca młodszego od siebie o rok. Zatrzymał go, by mu usługiwał przy ubieraniu. Najpierw wykapał się w zwykłej wodzie, po czym otworzył wielką malowaną skrzynię, wyjął stamtąd skórzaną koszulę i szorstką owczą opończę, które nosił pasąc na zboczach wzgórz kudłate barany pasterza. Włożył to na siebie; a w rękę ujął chropawy pasterski kij.

Mały paź otworzył swe wielkie niebieskie oczy ze zdziwienia i uśmiechając się powiedział:

— Panie mój, widzę szatę i berło, lecz gdzież korona? A młody król urwał gałąź głogu pnącą się na balkonie, zgiał ją w kształcie wieńca i włożył na głowę.

— To będzie moja korona — powiedział; tak ubrany udał się do wielkiej sali, gdzie oczekiwali nań wielmoże.

Poczęli zeń szydzić, a kilku z nich wykrzyknęło:

— Władco, lud czeka na króla, a zobaczy żebraka.

Inni sarkali w złości:

— Okrywa wstydem nasz stan, nie godzien jest być naszym panem!

Nie odrzekł im ani słowa, lecz przeszedłszy mimo udał się na dół po kolorowych schodach z porfiru, wyszedł bramą z brązu, dosiadł konia i ruszył w stronę katedry, a mały paź biegł u jego boku. A ludzie śmiali się i drwili:

— Czy to jedzie błazen królewski?

Lecz on ściągnął uzdę i rzekł:

— Nie, to ja jestem królem — i opowiedział im swoje trzy sny.

A z tłumy wystąpił człowiek i ozwał się z goryczą:

— Czyż nie wiesz, panie, że ze zbytków bogacza żyje biedak? Żywimy się waszym przepychem, a wasze występki dają nam chleb. Gorzko jest pracować dla pana, lecz bardziej gorzki jest brak pana, który daje pracę. Czyż myślisz, że kruki będą nas karmić? Jak możesz nam pomóc? Czyż powiesz kupującemu: „Masz płacić tyle”, a sprzedającemu: „Masz sprzedawać za tyle”? Na pewno nie! Więc wróć do swojego pałacu i przyodziej się w purpurę i delikatną bieliznę. Cóż ci do nas i naszych cierpień?

— Czyż bogaci i biedni nie są braćmi? — spytał młody król.

— A jakże — odpowiedział człowiek — a imię bogatego brata: Kain.

Oczy młodego króla napełniły się łzami, gdy tak jechał wśród szemrania tłumu, a mały paź, zdjęty trwogą uciekł i opuścił go.

A gdy wreszcie dojechał do wrót katedry, żołnierze zagrodzili mu drogę halabardami i krzyknęli:

— Czego tu szukasz?! Tylko król może wejść tymi drzwiami.

Twarz jego zapłonęła gniewem i powiedział:

— Ja jestem królem. — Odsunął halabardy i wszedł do środka.

A gdy stary biskup ujrzał go wchodzącego w stroju pasterza, powstał z zadziwienia ze swego tronu i wyszedł mu naprzeciw, i rzekł:

— Synu mój, czyż to jest strój królewski? Jakaż koroną cię ukoronuję i jakie berło włożę do twej ręki? Zaiste, dzień ten winien być dla ciebie dniem radości, a nie poniżenia.

— Czyż radość ma się stroić w to, co stworzyła zgryzota? — spytał młody król i opowiedział mu swoje trzy sny.

A gdy ich biskup wysłuchał, zmarszczył brwi i rzekł:

— Synu mój, jestem starym człowiekiem u schyłku swych dni i wiem, że wiele zła dzieje się na szerokim świecie. Dzicy rozbójnicy schodzą z gór, by porwać dzieci i sprzedawać je Maurom. Zaczajone lwy czyhają na karawany, by rzucić się na wielbłądy. Dzik ryje w ziemi, by wyrwać korzenie zbóż w dolinie, a lisy łamią winorośl na wzgórzu. Piraci grasują wzdłuż wybrzeża, palą kutry rybaków i zabierają im sieci. Wśród słonych bagnisk żyją trędowaci w chatach z wyplatanej trzciny i nikt nie może się do nich zbliżyć. Żebracy wałęsają się po miastach żywiąc się razem z psami. Czyż możesz się temu przeciwstawić? Czyż weźmiesz trędowatego do swego łoża, a żebraka do swego stołu? Czyż lew będzie ci posłuszny lub czyż dzik wykona twój rozkaz? Czyż ten, który dopuścił do nędzy, nie jest mędrszy od ciebie? Przeto nie chwaleb twego postępu, lecz nakazuję: wróć do pałacu, rozwesel twarz, włóż szaty, jakie przystoją królowi, a ukoronuję cię złotą koroną, i do twej ręki włożę berło wysadzane perłami. A o swych snach nie myśl więcej. Brzemie tego świata jest zbyt ciężkie na barki jednego człowieka, a smutki jego zbyt wielkie, by jedno serce mogło im podołać.

— Mówisz to w tym miejscu? — spytał młody król. Przeszedł obok biskupa i wstąpiwszy na stopnie ołtarza stanął przed wizerunkiem Chrystusa.

Stanął przed wizerunkiem Chrystusa, a po jego prawej i lewej ręce znajdowały się wspaniałe złote naczynia: kielich z złotawym winem i ampułka z świętymi olejami. Ukląkł przed wizerunkiem Chrystusa, a wielkie świece płonęły rzeświście przy zdobnym w klejnoty ołtarzu i dymy kadzidlane pięły się w cienkich błękitnawych smużkach ku kopule. Pochylił się w modlitwie, a kapłani w swych sztywnych kapach odsunęli się od ołtarza.

Nagle od ulicy wszczął się wielki tumult, a do katedry wtargnęli wielmoże z obnażonymi mieczami, powiewającymi pióropuszcami i w zbrojach z błyszczącej stali.

— Gdzie jest ten marzyciel, co mu się śniły sny?! — wołali. — Gdzież jest król w łachmanach żebraka?! Ten młokos, co przyniósł wstyd naszemu stanowi! Zaiste, zgładzimy go, bo nie godzien jest rządzić nami!

Młody król pochylił się znowu w modlitwie, a gdy skończył, podniósł się i obróciwszy głowę spojrzął na nich ze smutkiem.

I o dziwo! — przez malowane okna padły na niego strumienie światła, a promienie słońca utkały na nim złocistą szatę, bardziej promienną niż szata, którą zrobiono dla jego przyjemności. Obumarły kij zakwitł liliami bielszymi nad perły, a suchy cierń — różami czerwiejszymi nad rubin. Lilie były bielsze niż cudne perły, a łodygi miały ze szczerzego srebra, róże były czerwiejsze niż rubiny, a listki miały szczerozłote.

I stał tak w odzieniu króla, aż drzwiczki zdobnego w klejnoty ołtarza otworzyły się, a z promienistej monstrancji spłynęło cudowne, mistyczne światło. I stał tak w królewskich szatach, aż chwała boża wypełniła przybytek, a święci stojący w rzeźbionych niszach zdawali się poruszać. Stał przed nimi w jasnych szatach królewskich, i organy zagrały, trębacze zadęli w trąby, a chóry chłopięce poczęły śpiewać.

Lud upadł na kolana, zdjęty trwogą, rycerze schowali miecze i złożyli królowi hołd, a twarz biskupa pobladła i ręce mu zadrżały.

— Większy ode mnie ukoronował cię! — zawołał i ukląkł przed nim.

A młody król zstąpił ze schodów głównego ołtarza i siedł śródkiem tłumu, lecz nikt nie odważył się spojrzeć mu w twarz, bo była to jakby twarz anioła.

Przełożyła *Ewa Berberyusz*

## GWIAZDUŚ

Było sobie raz dwu biednych drwali, którzy wracali do domu przez gęsty bór. Była zima i noc straszliwie mroźna. Śnieg grubą warstwą leżał na ziemi i na świerkowych gałęziach. Kiedy tak szli, mróz po obu ich stronach łamał kruche gałązki, a gdy przybyli do górskiej siklawy, zamarznięta woda wisiała w powietrzu bez ruchu, bowiem Król Lodu ucałował ją w usta.

Było tak zimno, że nawet zwierzęta i ptaki nie wiedziały, jak by tu sobie poradzić.

— Uu! — stękał wilk, kuśtykając przez krzaki z podwiniętym pod siebie ogonem.

— Cóż za potworna pogoda. Dlaczegoż rząd w to nie wejrzy?

— Uit, uit, uit! — ćwierkały zielone makolągwy. — Stara ziemia umarła, i oto ją położyli owiniętą całunem.

— Ziemia wychodzi za mąż, a to jej ślubna suknia — szeptały do siebie turkawki. Różowe ich nóżki były zamarznięte na kość, ale turkawki uważały sobie za obowiązek spojrzeć na rzecz od strony romantycznej.

— Bzdura — mruknął wilk. — A ja wam powiadam, że to wina rządu. Jeśli mi nie wierzycie, to was zjem. — Wilk był stworzeniem na wskroś praktycznym i nigdy mu nie brakowało argumentów.

— Co do mnie — powiedział dzięcioł, urodzony filozof — to tyle dbam o wyjaśnienie, co pies o piątą nogę. Tak jest, jak jest — a jest piekielnie zimno.

Było naprawdę piekielnie zimno. Wiewiórki, które mieszkały w dziupli wysokiego świerka pocierały sobie wzajemnie noski, żeby się zagrzać, a króliki skulone w swoich jamach nie ośmieliły się nawet wyjrzeć za próg. Jedynie długouche sowy rade były takiej pogodzie. Ich pióra zeszywniały od szronu, ale sowom to bynajmniej nie przeszkadzało i przewracając żółtymi oczami pohukiwały do siebie poprzez las: — U-hu, U-hu! Co za cudowna pogoda!

A drwale szli i szli krzepko dmuchając w palce i brodząc ciężko okutymi butami w zamarzniętym śniegu. Raz zapadli się w zaspę i wyszli z niej biali niby młynarze, gdy mielią mąkę. Innym znów razem takiego kozła machnęli na twardym i śliskim lodzie zamarzniętego bagna, że im się chrust rozsypał i musieli go zbierać i wiązać w nowe wiązki. Znów kiedy indziej zdało się obu drwalom, że zabłądzili w lesie i strach ich zdjął, bo dobrze wiedzieli, jaki okrutny jest śnieg dla wędrowców, którym wypadnie usnąć w jego ramionach. Oddali się jednak w opiekę poczciwego świętego Marcina, który czuwa nad podróżnymi, zawrócili z drogi i dalej już szli ostrożnie. Doszli nareszcie do skraju lasu i stąd daleko w dolinie ujrzeli światółka wioski, w której mieszkali.

Tak byli radzi ze swego wyzwolenia, że zaczęli się głośno śmiać. Ziemia wydała im się teraz niby kwiat srebrny, a księżyc jak złoty kwiat.

Gdy się już naśmiali do syta, zrobiło im się markotno, gdyż przypomnieli sobie o swojej biedzie — i jeden z nich rzekł do drugiego:

— Nie wiem, po co się tak weselić, skoro wiadomo, że świat należy do bogatych, a nie do takich jak my! Byłoby lepiej, żebyśmy gdzie zamarzli w tym lesie, albo żeby nas napadł jaki zwierz i pożarł bez ceremonii.

— Święta prawda — powiedział drugi drwal. — Jednym się przelewa, a drugim nie dostaje. niesprawiedliwość podzieliła świat i nic oprócz trosk Judzie nie dziela po równi.

Kiedy tak biadolili nad swoją niedolą, nagle stało się coś przedziwnego. Z nieba spadła mianowicie jasna i piękna gwiazda. Ześliznęła się w dół nieboskłonem mijając w locie inne



gwiazdy, a drwalom zapatrzonym w jej lot zdawało się, że upada za małą kępą wierzb, o rzut kamieniem od owczego szałas.

— Gar złota, kto ją znajdzie — zawołali i nuże biec do gwiazdy, tak się im chciało tego złota.

Jeden biegł jednak szybciej niż jego kompan, toteż go wkrótce minął i dalejże ku wierzbom. Gdy już je miał za sobą — patrzy, a tu rzeczywiście kawałek złota leży na białym śniegu. Poskoczył tedy ku złotu i nachyliwszy się, porwał je w obie ręce. Był to płaszczyk z pozłocistej tkaniny, dziwnie usiany gwiazdkami i mocno pofałdowany. Zawołał tedy drwal do towarzysza, że znalazł niebieski skarb, a kiedy tamten dobiegł, usiedli obaj na śniegu i jęli rozwijać fałdy, by się podzielić złotem. Niestety, w płaszczu nie było ani złota, ani srebra, ani w ogóle żadnego skarbu — ale śpiące dzieciątko.

I rzekł jeden do drugiego:

— Taki to koniec naszych nadziei. Nie mamy szczęścia, bo cóż za korzyść z dziecka! Lepiej zostawmy je tutaj i chodźmy w swoją drogę. Wiadomo, żeśmy biedacy i że mamy w chałupie własne dzieciaki. Chleb ich nie dla obcego.

Ale drugi mu odparł:

— Jakże to! Przecież to grzech tak dziecko porzucić w śniegu, żeby zmarniało. Biedak jestem jak ty, niejedną mam gębę do wykarmienia, a w garnku tyle co nic, ale je wezmę do domu. Już się tam żona nim jakoś zaopiekuje.

Wziął czule dziecko na ręce, dobrze je płaszczem owinął, żeby nie zmarzło na zimnie i ruszył stokiem do wioski, a jego towarzysz nie mógł się nadziwić takiemu szaleństwu i miękkości serca.

Kiedy przyszedł do wioski, rzekł do niego kompan:

— Ty masz dziecko, to daj mi płaszcz, bośmy się ugodzili, że się będziemy dzielić...

Drwal jednak odparł:

— Płaszcz ani twój, ni mój — ale dziecka — a powiedziawszy towarzyszowi — z Bogiem — podszedł do domu i zapukał.

Otworzyła mu żona, a skoro zobaczyła, że to mąż zdrów i cały, zarzuciła mu ręce na szyję i mocno go ucałowała. Zdjęła mu potem z pleców wiązkę chrustu, śnieg otrzepała z butów i poprosiła, by wszedł.

Ale drwal odrzekł:

— Cosik w lesie znalazłem i oto ci przynoszę, a ty już zrób, co trzeba — i nie ruszył się z proga.

— Cóż to takiego — zawołała. — Pokaż co prędzej, bo izba pusta i wiele nam potrzeba. — Drwal odkrył płaszcz i pokazał jej śpiące dzieciątko.

— Boże ty mój — wyszeptwała. — Małoz to mamy własnych dzieciaków, a ty mi jeszcze przynosisz takiego odmieńca i miejsce mu z nami koło komina szykujesz? Któż wie, jeszcze nam jakiej biedy napyta! Co mu dasz jeść? — i gniew ją ogarnął na męża.

— To przecie synek gwiazdy... Gwiazduś — odparł jej drwal i opowiedział żonie, w jaki to dziwny sposób znalazł dzieciaka.

Kobieta jednak nie dała się ugłaskać, lecz podrwiwała z niego, wykrzykując gniewnie:

— Nasze dzieciiska nie mają chleba, a ty chcesz karmić obce? Któż to się o nas martwi? Kto nam jeść daje?

— Pan Bóg się troszczy nawet o wróble, i jakoś je żywi — odparł drwal.

— A zimą, to niby kto głodem przymiera jak nie wróble? — zapytała. — A teraz zima. — Mąż nic nie odpowiedział i od progu krokiem się nie ruszył.

Tymczasem powiał od boru ostry wiatr, aż się niewiasta zatrzęsała i drżąc na całym ciele powiedziała:

— Może byś zamknął drzwi. Ziab idzie w izbę — i na mnie.

— W izbie, gdzie serce z kamienia, zawsze panuje ziąb — powiedział drwal, a kobieta nic na to nie odrzekła, jeno się bliżej posunęła ku kominowi.

Po chwili odwróciła się wolno, spojrzała na męża a oczy jej wypełniły się łzami. Drwal podbiegł do niewiasty i podał jej dziecko. Ucałowała je i wraz ułożyła w łódeczku, w którym leżało ich najmłodsze dzieciątko. Nazajutrz rano drwal schował do skrzyni dziwny, złocisty płaszcz, a jego żona zdjęła ze szyi dziecka bursztynowy naszyjnik i również schowała go do skrzyni.

Tak więc Gwiazduś wychowywał się z dziećmi drwala, stół z nimi dzielił i był im towarzyszem zabaw. Z roku na rok chłopiec piękniał w oczach, tak że mieszkańcy wioski nie mogli wyjść z podziwienia, bo jeśli sami odznaczeni byli śniadą skórą i mieli czarne włosy, chłopiec był i białutki i delikatny niby toczona kość słoniowa, a jego loki były podobne złocistym kryzom żonkila. Usta przypominały płatki czerwonego kwiatu, oczy modre fiołki nad czystym strumieniem, a ciało tak się bieliło jak łan narcyzów na nie koszonej łące.

Gładkość pięknego liczka rzuciła jednak na chłopca jakiś niedobry czar. Gwiazduś robił się pyszny, okrutny i samolubny. Dziećmi drwali a także innymi dziećmi z wioski otwarcie pogardzał mówiąc, że były podłego stanu, sam zaś niby szlachcic i potomek niebieskiej gwiazdy mianował się ich panem, dzieci nazywając swą służbą. Nie miał litości dla biednych, ślepych i chromych czy w jakikolwiek sposób ułomnych. Obrzucał ich kamieniami, przepędzał na gościniec, każąc im żebrac gdzie indziej, tak że wkrótce ani jeden włóczęga nie ośmielił się po raz wtóry zawitać do wioski z prośbą o jałmużnę. Podobny był człowiekowi zakochanemu w piękności, co drwi ze słabych i szpetnych żarty sobie z nich strojąc. Siebie natomiast kochał i latem, w pogodny dzień, pochylony nad studnią w proboszczowym ogrodzie, godzinami podziwiał odbicie swych lic, śmiejąc się i radując, że taki był piękny.

Często drwal i jego żona strofowali chłopca, mówiąc:

— My nie tak postępujemy z tobą, jak ty postępujesz z tymi, co opuszczeni nie mają nikogo ku swojej pomocy. Czemuś taki okrutny dla ludzi godnych litości?

Często posyłał po niego stary proboszcz i próbował go uczyć miłości dla wszystkiego, co żyje.

— Mucha jest twoją siostrą — powiadał. — Nie rób jej krzywdy. Ptaki, co sobie latają po lesie, też mają swoją wolność. Nie łap ich dla własnej przyjemności. Bóg stworzył i padalca, i kreta. Każdy ma — widzisz — swoje miejsce, a któż ty jesteś, co jeno ból przynosisz w świat bożego stworzenia? Nawet bydło na polu chwali Boga, jak umie.

Gwiazduś nie słuchał jednak ich słów, marszczył tylko brwi i uśmiechał się drwiąco, po czym wracał do swych towarzyszy i po staremu im przewodził. A dzieci za nim szły, bo był piękny i bystry w nogach, bo umiał tańczyć i grać na fujarce czy innych instrumentach. Gdziekolwiek Gwiazduś się ruszył, dzieci za nim krok w krok, cokolwiek Gwiazduś rozkazał, czyniły bez wahania. Gdy trzcina ostrego sitowia wykłuwał oczy kretom — śmiały się. Kiedy kamieniem cisnął w trędownatego — także się śmiały. We wszystkim dzieciom przewodził, aż serca dzieci, jak jego, stały się twardsze niż kamień.

Pewnego dnia przechodziła przez wioskę stara żebraczka. Suknie miała w łachmanach i strzępach, stopy skrwawione od twardych dróg, którymi przeszła, słowem — było z nią bardzo źle. Znużona, usiadła pod kasztanem, żeby trochę wypocząć.

Kiedy Gwiazduś ją ujrzął, wraz zawołał do dzieci:

— Patrzcie! ta brudna żebraczka siedzi tutaj pod pięknym, zielonym drzewem. Wygońmy ją stąd, bo brzydka i koślawa.

A potem podszedł bliżej i rzucał na nią kamienie i bez litości drwił. Żebraczka patrzyła nań z przerażeniem w oczach nie mogąc wzroku oderwać od chłopca. Gdy drwal, który w pobliskim ogrodzeniu rąbał drzewo, zobaczył, co jego Gwiazduś wyprawia, przybiegł pod kasztan,

zwymyślał chłopca i rzekł:

— Musisz naprawdę być bez litości i serce mieć twarde jak głaz, bo cóż ci zawiniła ta biedna kobiecina, że ją tak podle traktujesz?

A Gwiazduś aż poczerwieniał ze złości i tupnął nogą o ziemię:

— Któżeś ty taki, że mnie pytasz, co robię? Nie jestem twoim synem i wcale nie muszę cię słuchać.

— Prawdę mówisz — odparł drwal — a jednak to ja okazałem ci litość, kiedym cię znalazł w lesie.

Kiedy niewiasta usłyszała te słowa, wydała głośny okrzyk i upadła zemdląta. Drwal zaniósł ją do domu a jego żona nie poskapiła jej swej opieki. Gdy się na dobre ocknęła, gospodarze postawili przed nią jadło i napitek prosząc, żeby się rozgościła jak u siebie.

Żebraczka nie chciała jednak ani jeść, ani pić, lecz zwróciła się do drwala z pytaniem:

— Czy nie mówiłeś, żeś dziecko znalazł w lesie? I czy to przypadkiem nie było dziesięć lat temu?

Na co drwal odparł:

— Tak jest, znalazłem je w lesie i było to akurat dziesięć lat temu.

— A jakie znaki przy nim znalazłeś? — zawołała. — Czy aby nie miał na szyi naszyjnika z bursztynów? A może był owinięty w płaszczyk ze złotej tkaniny haftowanej gwiazdami?

— Prawda — odpowiedział drwal. — Tak właśnie było, jak mówisz. — Po czym wyjął ze skrzyni naszyjnik bursztynowy i płaszcz, i pokazał je żebraczce.

Żebraczka na ich widok zapłakała z radości:

— Tak, to mój mały synuś, którego zgubiłam w lesie. Prędko go tutaj sprowadź, bom za nim przewędrowała cały ogromny świat.

Drwal wyszedł z żoną przed dom, a przywoławszy Gwiazdusia, rzekli do niego:

— Wracaj, dziecko, do domu, a znajdziesz matkę, która na ciebie czeka.

Chłopiec pobiegł do izby wielce uradowany i pełen zdziwienia. Gdy jednak zobaczył tę, która w izbie czekała, zaśmiał się i zapytał z szyderstwem:

— Jak to? A gdzie jest moja matka? Bo tutaj widzę tylko tę obrzydliwą żebraczkę.

Niewiasta odpowiedziała:

— Ja jestem twoją matką.

— Chybaś szalona, jeśli tak mówisz — wykrzyknął z gniewem Gwiazduś. — Nie jestem twoim synem, boś ty żebraczka, paskudna żebraczka w łachmanach. Wynoś się stąd, i niech cię więcej nie widzę.

— Nie, nie! Tyś jest naprawdę mym synem, którego urodziłam w lesie — zawołała żebraczka i padłszy na kolana wyciągnęła ku niemu ręce. — Zbóje mi cię porwali i porzucili na zgubę — jęknęła boleśnie. Ale ja cię poznałam od pierwszego wejrzenia i znaki także poznałam — twój płaszcz ze złotej materii i twój naszyjnik z bursztynów. Dlatego błagam, chodź ze mną, bom zbiegła cały świat, by cię odnaleźć. Chodź, synku, chodź, bo mi trzeba i ciebie, i twego kochania.

Lecz Gwiazduś ani drgnął i jakby zamknął przed nią wrota swojego serca. W, izbie słyhać było tylko szlochanie niewiasty, która płakała z żalu.

Wreszcie Gwiazduś przemówił, a głos jego brzmiał twardo i gorzko.

— Jeśli naprawdę jesteś moją matką — byłoby lepiej, żebyś sobie została tam, skąd cię tu przyniosło, a nie przychodziła, by mi narobić wstydu! Myślałem, że jestem synem jakiejś gwiazdy, a nie żebraczki, jak mi to mówisz... Dlatego wynoś się stąd, i niech cię więcej nie widzę!

— O synku, o syneczku — zapłakała żebraczka. — Może mnie chociaż pocałujesz, zanim odejdę! Tak bardzo, widzisz, cierpiałam, żeby cię znaleźć

— Nie — odpowiedział Gwiazduś. — Nadto mi jesteś szpetna. Wolałbym żmiję pocałować albo ropuchę — niż ciebie!

Niewiasta podniosła się z klęczek i poszła w las płacząc gorzko. Gwiazduś zadowolony, że się jej pozbył, wrócił do swoich towarzyszy i do przerwanej zabawy.

Dzieci, zobaczywszy chłopca, odwróciły się odeń z szyderstwem:

— Jesteś paskudny jak ropucha i obrzydliwy jak żmija. Wynoś się stąd, bo wcale nie mamy ochoty się z tobą bawić! — I przepędziły go z ogrodu. A Gwiazduś zmarszczył brwi i rzekł do siebie:

— Cóż to mi tutaj mówią! Pójdę do studni i spojrzę w wodę, a ona na pewno mi powie, że jestem piękny.

I poszedł prosto do studni i spojrzął w wodę...

O Boże! Twarz jego była niby gęba ropuchy, a ciało pokryte łuskami jak ciało żmii. Więc rzucił się na trawę i zapłakał. — Teraz już wiem. To mnie spotkało za mój grzech. Bo matki się zaparłem, bo ją wygnałem i dumny byłem dla niej i okrutny. Dlatego pójdę jej szukać po całym świecie i nie spocznę, póki jej nie odnajdę.

I oto podeszła do niego córeczka drwała. Położyła mu rączkę na ramieniu i rzekła:

— To nic, żeś stracił swój piękny wygląd. Zostań z nami. Ja się nie będę z ciebie śmiała.

A Gwiazduś jej odpowiedział:

— Byłem okrutny dla mojej matki i oto jako kara spadło na mnie nieszczęście. Dlatego muszę stąd odejść i wędrować przez świat, póki nie znajdę matki i póki mi nie przebaczy.

I pobiegł do lasu wołając — Matko — wróć — ale wołał na próżno. Cały dzień wołał i wołał, a kiedy zaszło słońce, ułożył się do snu na pościółce z liści. Ptaki i leśne zwierzęta uciekały od niego, pamiętając, jaki był dla nich okrutny. Został więc sam i nie było przy nim żywego stworzenia oprócz ropuchy, która nad nim czuwała i gnuśnej żmii, która z szelestem przesunęła się obok.

Bankiem, po przebudzeniu, chłopiec nabierał w krzakach garść gorzkich jagód; zjadł je i dalej ruszył przez las zalewając się łzami.. Kogo tylko napotkał, pytał, czy też przypadkiem nie widział kto jego matki.

I rzekł do kreta:

— Lubisz wędrować pod ziemią. Powiedz mi, krecie, czyś tam nie spotkał mej matki?

A kret mu odparł:

— Oślepiłeś mi oczy. Skądże mam wiedzieć? I rzekł do makolągwy:

— Latasz nad wierzchołkami wysokich drzew i możesz stamtąd widzieć cały świat. Gzy nie widziałaś przypadkiem mej matki?

A makolągwa odrzekła:

— Skrzydłaś mi podciął dla zabawy, więc jakże teraz mam latać?

I wreszcie rzekł do wiewiórki, która mieszkała w pniu świerka i była samotna:

— Powiedz mi, wiewióreczko, gdzie też jest moja matka?

A wiewiórka odparła:

— Zabiłeś moją matkę. Czy i swoją chcesz zabić?

I rozplakał się Gwiazduś i głowę schylił prosząc o przebaczenie bożego stworzenia, po czym znów ruszył w drogę i dalej szukał żebraczki. Na trzeci dzień dotarł do skraju boru i zaczął schodzić w dolinę.

Gdy mijał wioski, dzieci naigrawały się z niego ciskając weń kamieniami, a chłopcy nawet w stodole nie pozwolili mu się przespać z obawy, żeby im zboże nie zapleśniało, bo tak paskudnie wyglądał. I parobczacy przepędzili go precz i nie było nikogo, kto by się nad nim zlitował. Gwiazduś nigdzie też nie usłyszał ani słoweczka o matce, która była żebraczką, choć przez trzy

lata wędrował od wioski do wioski. Często mu się nawet zdawało, że ją widzi przed sobą i wtedy za nią biegł i wołał, aż ostry żwir pokaleczył mu stopy. Nie mógł jej jednak dogonić, a ci, którzy mieszkali obok drogi, stwierdzali zgodnie, że ani jej nie widzieli, ani nikogusieńko, kto by był do niej podobny i jeszcze się natrzęsali z jego żalości.

Trzy lata wędrował przez świat, ale na świecie nie znalazł ani miłości, ani dobroci serca, ni słowa miłosierdzia, bo to był taki świat, jaki sobie zbudował w dniach swojej pychy.

Pewnego wieczora stanął u bramy miasta, którego mury wznosiły się nad rzeką. Mimo że był znużony i ledwie nogami powłóczył, chciał jednak wejść do miasta. Ale żołnierze, którzy stali na straży, wraz opuścili swe halabardy zabraniając mu wejścia i szorstko zapytali:

— Czego tu szukasz?

— Szukam mej matki — odpowiedział — i proszę, raczcie mnie wpuścić, bo może ona tu jest.

Żołnierze wyśmiali jednak chłopca, a jeden z nich potrzęsął brodą, tarczę postawił na ziemi i rzekł:

— Prawdę mówiąc, to ta twoja matka nie bardzo się chyba ucieszy na twój widok, boś bardziej pokraczny niżli ropucha w błocie albo i żmija, co pełza przez bagnisko. Wynoś się zatem i niech cię nie widzę. Matki twojej tu nie ma.

Inny znów, który trzymał w ręku żółty proporzec, odezwał się do chłopca:

— A któż to jest ta twoja matka, i dlaczego jej szukasz?

A chłopiec odparł:

— Matka moja jest żebraczką podobnie jak i ja. Bardzo nieładnie się z nią obszedłem, a teraz proszę, puście mnie do miasta, bym mógł uzyskać jej przebaczenie, jeśli tu oczywiście przebywa. — Żołnierze jednak nie chcieli go wpuścić i skłuli go swymi włóczniami.

Gdy chłopiec zawrócił płacząc, nadszedł od bramy jakiś żołnierz, którego zbroja ozdobiona była pozłocistymi kwiatami, a hełm skrzydlatym lwem — i spytał straży, kto to chciał wejść do miasta. Żołnierze odpowiedzieli:

— To żebrak i syn żebraczki, więcśmy go przegnali.

— O, nie! — odparł ten w zbroi — lepiej taką paskudę sprzedać jak niewolnika. Cena — ot, czarka wina. Czarka słodkiego wina!

A jakiś starzec o niedobrym obliczu, który właśnie przechodził, zawołał do żołnierzy:

— Za taką ceną nie kupię — i, zapłaciwszy okup, wziął Gwiazdusia za rękę i wszedł z nim do miasta.

Gdy już minęli sporo ulic, doszli do małych drzwiczek osadzonych w murze ukrytym w liściach granatu. Starzec dotknął drzwi pierścieniem z rżniętego jaspisu i drzwi się otwarły. Po pięciu miedzianych stopniach zstąpili do ogrodu, w którym pełno było czarniawych maków i zielonkawych urn z palonej gliny. Starzec wydobył teraz z turbana jedwabną wzorzystą chustkę, związał Gwiazdusiowi oczy i pognął chłopca przed sobą. Gwiazduś, kiedy mu zdjęto chustkę, ujrzał, że jest w ciemnicy, oświetlonej latarnią o szybkach z rogu.

Starzec położył przed nim na ławie kawałek spleśniałego chleba i rzekł mu: — jedz — po czym postawił kubek słonawej wody i rzekł mu: — pij. — Gdy chłopiec zjadł i wypił, starzec wyszedł zamykając za sobą drzwi, które umocnił żelaznym łańcuchem.

Nazajutrz rano wszedł do ciemnicy starzec, który w rzeczywistości był jednym z najchytrzejszych w Libii czarodziejów, a sztuki swej się wyuczył od kogoś, kto żył w grobowcach nad Nilem. Spojrzał na chłopca spode łba i rzekł:

— W pobliskim lesie, tuż za bramami miasta Giaurów są trzy kawałki złota. Jeden — to białe złoto, drugi — żółte, a trzeci czerwone. Dziś mi przyniesiesz białe, A jeśli mi nie przyniesiesz, wiedz, że cię czeka sto batów. Uwiń się zatem szybko, a ja o zachodzie słońca będę na ciebie czekał u wrót ogrodu; Pamiętaj o białym złocie, bo inaczej źle z tobą. Jesteś mym niewolnikiem,

a zapłaciłem za ciebie czarę słodkiego wina. — Co powiedziawszy zawiązał Gwiazdusiowi oczy chustką ze wzorzystego jedwabiu i poprowadził go najpierw przez dom, potem przez grędy maku i pięć miedzianych schodów. Starzec otworzył następnie drzwi czarodziejskim pierścieniem i wypuścił chłopca na ulicę.

Gwiazduś wyszedł za bramę miasta i wnet dotarł do lasu, o którym mówił czarodziej. Las pięknie wyglądał na oko i zdał się być pełny i ptaków śpiewających, i kwiatów słodko pachnących, toteż Gwiazduś z radością się w nim pograżył. Jednak piękność lasu nie wiele mu przyniosła korzyści. Gdziekolwiek stąpił, spod nóg wystrzelały mu ciernie i głogi, które go opłatały, pokrzywa parzyła mu stopy, a oset sztyletami kolców przebijał skórę na wskroś. Gwiazduś był bliski rozpaczy. Nigdzie nie mógł znaleźć bryłki białego złota, o której mówił czarodziej, choć szukał go od rana do południa i od południa do wieczora. Wieczorem zwrócił się ku domowi gorzko płacząc, bo wiedział, jaki go los oczekuje.

Gdy doszedł do skraju lasu, usłyszał w gęstwinie krzyk, jak gdyby kogoś spotkała zła przygoda. Zapominając o własnym zmartwieniu Gwiazduś pospieszył w tę stronę i ujrzał zajączka schwytanego w sidła, które zastawił myśliwy. Gwiazduś zlitował się nad zajączkiem, uwolnił go z siideł i rzekł:

— Sam jestem tylko niewolnikiem, lecz mimo to dają ci wolność.

A zając odpowiedział:

— Dałeś mi rzeczywiście wolność, czym ci więc mogę odplacić? — I rzekł mu Gwiazduś:

— Szukam kawałka białego złota, którego nie mogę znaleźć. Jeśli go nie przyniosę do domu, mój pan mnie zbije.

— Chodź ze mną — powiedział zając. — Zaprowadzę cię do tego złota, bo wiem, gdzie jest ukryte i w jakim celu.

Poszedł więc Gwiazduś z zajączkiem — i patrzcie!

— w dziupli starego dębu ujrzał kawałek złota, którego szukał. Uradowany, pochwycił w ręce złoto i rzekł do zajączka:

— Przysługę, którą ja ci oddałem, wynagrodziłeś mi wielokrotnie, a dobroć, którą ci okazałem, spłaciłeś mi po stokroć.

— Mylisz się — . odparł zajączek. — Ja tylko postąpiłem z tobą, jak tyś postąpił ze mną — i uciekł w las, a Gwiazduś ruszył do miasta.

U bramy miejskiej zasiadł tymczasem człek trędowaty. Na twarzy miał jakby kaptur z szarego płótna, przez którego otwory oczy trędowatego żarzyły się jak czerwone węgielki. Gdy ujrzał nadchodzącego chłopca, zaczął bębnić w drewnianą miskę, kołatać kołatką i nawoływać żałośnie:

— Daj mi jakiś pieniążek, inaczej umrę z głodu. Żli ludzie wyrzucili mnie z miasta i nikt nie ma dla mnie litości.

— Niestety — odparł Gwiazduś — mam tylko jedną sztukę złota w moim mieszk. Jeśli jej nie przyniosę do domu, mój pan mnie zbije, bo jestem niewolnikiem.

Lecz trędowaty tak długo nalegał i prosił, aż Gwiazduś zdjęty litością dał mu swe białe złoto. Gdy wrócił do domu czarodziej, starzec otworzył mu drzwi, wprowadził go do izby i rzekł:

— Masz białe złoto? A Gwiazduś odparł:

— Nie mam. — Czarodziej poskoczył tedy ku chłopcu, zbił go i, postawiwszy przed nim pustą miskę, rzekł: — Jedz — a potem pusty kubek, rzekł: — Pij — i wtrącił go do ciemnicy.

A następnego ranka znów go czarodziej odwiedził i dał mu nowe zlecenie:

— Jeśli mi dziś nie przyniesiesz bryłki żółtego złota, dostaniesz trzysta kijów, jak przystało na niewolnika.

I poszedł Gwiazduś do lasu i cały dzień szukał złota, lecz nigdzie nie mógł go znaleźć. Gdy słońce zaszło, usiadł na trawie i zaczął płakać. Kiedy tak płakał, podszedł do niego zajączek, ten

sam, którego wczoraj uwolnił od sideł.

I spytał go zajac:

— Czemu tak płaczesz i czego szukasz w lesie? A Gwiazduś odpowiedział:

— Szukam żółtego złota, które jest tutaj ukryte, a jeśli go nie znajdę, mój pan mnie zbije i potraktuje mnie tak, jak przystało na niewolnika.

— Chodź ze mną — zawołał zajac. Pobiegli tedy przez las, aż doszli do sadzawki. Na dnie sadzawki leżała bryłka złota.

— Jak ci mam podziękować? — zapytał Gwiazduś. — Przecież to już drugi raz mi pomogłeś.

— Nie — odpowiedział zajaczek. — To tyś się pierwszy nade mną zlitował — i spiesznie uciekł do lasu.

Gwiazduś wydobył z wody bryłkę żółtego złota, włożył ją do woreczka i szybko ruszył do miasta. I znowu spotkał trędowatego, który mu wyszedł naprzeciw i uklękawszy wołał:

— Daj mi jaki pieniążek, inaczej umrę z głodu.

A Gwiazduś odpowiedział:

— Mam w swoim mieszkaniu tylko bryłeczkę złota i jeśli jej nie przyniosę, mój pan mnie zbije i potraktuje mnie tak, jak przystało na niewolnika.

Lecz trędowaty tak długo nalegał i prosił, aż Gwiazduś, zdjęty litością, dał mu swe żółte złoto. Gdy wrócił do domu czarodzieja, starzec otworzył mu drzwi, wprowadził go do izby i rzekł:

— Masz żółte złoto? — A Gwiazduś odparł:

— Nie mam. — Czarodziej poskoczył tedy ku chłopcu, zbił go, okułał w łańcuchy i wtrącił do ciemnicy.

A następnego ranka znów go czarodziej odwiedził i rzekł:

— Jeśli mi dzisiaj przyniesiesz czerwone złoto, obdaruję cię wolnością, lecz jeśli go nie przyniesiesz, ubiję cię jak psa.

I poszedł Gwiazduś do lasu, i cały dzień szukał złota, i nigdzie nie mógł go znaleźć. Gdy słońce zaszło, usiadł na trawie i zaczął płakać. Kiedy tak płakał, podszedł do niego zajac.

I rzekł mu zajaczek:

— Czerwone złoto, którego szukasz, jest za tobą: w jaskini. Nie płacz i bądź dobrej myśli.

— Jakże cię wynagrodzę — zawołał Gwiazduś. — To już trzeci raz mi pomagasz!

— O, nie! Tyś się zlitował pierwszy! — odpowiedział zajaczek i zniknął w lesie.

Gwiazduś wszedł do jaskini i w jej najdalszym kącie znalazł czerwone złoto. Włożył je tedy do mieszka i szybko ruszył ku miastu. I znowu człek trędowaty na widok chłopca stanął pośrodku drogi i zaczął błagać:

— Daj mi czerwony pieniążek, inaczej umrę z głodu. — Gwiazduś zlitował się nad nim i dał mu swoje złoto, mówiąc:

— Tobie go bardziej trzeba niż mnie — choć ciężko mu było na sercu, bo wiedział, co go czeka.

Lecz cóż to! Gdy tylko przeszedł przez bramę, strażnicy skłonili się w pas oddając mu honory i szepcząc: „Jak piękny jest nasz pan!” A tłum mieszkańców miasta, który mu krok w krok towarzyszył, wykrzykiwał radośnie: „Zaiste piękniejszego nie masz na całym świecie!” Gwiazduś przełykał łzy i mówił sobie w duchu: „Śmieją się ze mnie, naigrawają się z mojej biedy.” A tłum był tak nieprzebrany, że Gwiazduś zmylił drogę i w końcu stanął wśród placu, na którym wznosił się zamek królewski.

I oto brama pałacu rozwarła się na oścież i tłum kapłanów i miejskich dygnitarzy wybiegł naprzeciw chłopcu. A pokłoniwszy się przed nim w te słowa się odezwali:

— Ty jesteś naszym panem tak długo oczekiwanym i synem naszego króla.

A Gwiazduś im odpowiedział:

— Nie jestem synem królewskim, lecz dzieckiem ubogiej żebraczki. Dlaczego nazywacie mnie pięknym, gdy przecież wiem, że widok mój sprawia przykrość?

Natenczas ów, którego zbroja ozdobiona była pozłocistymi kwiatami, a hełm skrzydlatym lwem — podniósł swą tarczę i zawołał:

— Jakże mój pan może twierdzić, że nie jest piękny?

Gwiazduś przejrzał się w tarczy — i, Boże! — jego twarzyczka znów była taka jak dawniej i dawna piękność wróciła mu na lica. W swych oczach zobaczył jednak coś, czego nigdy przedtem nie widział. Kapłani i miejscy dygnitarze padli przed chłopcem na klęczki i rzekli:

— Przepowiadano od dawna, że dzisiaj przyjdzie ten, kto będzie nami rządził. Dlatego weźmij, o panie, i tę koronę i berło, i w łasce swej i sprawiedliwości bądź odtąd naszym królem. Lecz Gwiazduś odpowiedział:

— Nie jestem godzien tego zaszczytu, bowiem zapałem się matki, która mnie urodziła, i — wiedzcie — póty nie spocznę, póki jej nie odnajdę i nie uzyskam jej przebaczenia. Pozwólcie więc, że odejdę, bo trzeba mi dalej wędrować przez cały świat a zostać mi tu nie wolno, choć mi dajecie i berło, i koronę królewską.

Mówiąc to Gwiazduś odwrócił lica ku drodze, co wiodła ku bramom miasta. Nagle wśród tłumu gapiów otaczających żołnierzy ujrzał oto żebraczkę, która była mu matką. Obok żebraczki stał trędowaty, ten, co zwykle siadywał na drodze u miejskiej bramy.

Okrzyk radości wydarł się teraz z ust chłopca. Gwiazduś podbiegł do matki, upadł na kolana i długo całował rany jej stóp i obmywał je łzami. Leżąc w prochu i łkając, jakby mu serce miało pęknąć, chłopiec mówił do matki:

— Matko, wyparłem się ciebie w godzinie mojej pychy. Przyznaj się do mnie w godzinie mego upokorzenia. Dałem ci, matko, nienawiść. Ty daj mi miłość. Odrąciłem cię, matko. Przyjmij twojego syna. — Żebraczka jednak nie odezwała się słowem.

Gwiazduś wyciągnął ręce i objął białe stopy trędowatego. — Trzykroć się zlitowałem nad tobą — rzekł. — Uproś mą matkę, by do mnie przemówiła. — Lecz trędowaty nie odezwał się słowem.

Chłopiec znowu zapłakał: — Matko cierpię nad siły. Daj mi swe przebaczenie i pozwól, że wrócę do lasu.

A matka dłoń położyła na jego głowie i rzekła: — Wstań. — I trędowaty dłoń mu położył na głowie i również rzekł: — Wstań.

I powstał Gwiazduś z klęczek, i oczom nie mógł uwierzyć. Przed nim stał król i królowa. I rzekła do niego królowa:

— Oto twój ojciec, którego wsparłeś jałmużną.

I rzekł do niego król:

— Oto twa matka, której stopy obmyłeś łzami.

I pochwycili chłopca w ramiona, ucałowali go z serca i wraz do pałacu powiedli, po czym, przybrawszy pięknie, na skroń włożyli mu koronę i w rękę oddali berło. Królowa odtąd miastu, co się wznosiło nad brzegiem rzeki, i był jego panem.

Dla wszystkich swoich poddanych był sprawiedliwy i miłosierny, a złego czarodzieja kazał wypędzić z miasta. Drwalowi i jego żonie posłał moc podarunków i nie poskapił ich dzieciom co najprzedniejszych zaszczytów. Nigdy też nie dopuścił, żeby ktokolwiek w mieście mógł być okrutny dla ptaków czy innych zwierząt, lecz nauczał miłości, dobroci i miłosierdzia, chleb rozdając ubogim i odziewając nagich. Kraj, któremu był królem, zażywał słodkich dni pokoju i dobrobytu.

Niedługo jednak królował. Cierpienia, których doznał, były zbyt wielkie, a ogień próby do szczętu go wyniszczył. Gwiazduś zmarł po trzech latach, a ten, co po nim tron objął, królował



że.

*Tłum. Włodzimierz Lewik*

## **OLBRZYM — SAMOLUB**

Codziennie po południu w drodze powrotnej ze szkoły dzieci bawiły się w ogrodzie Olbrzyma.

Ogród był duży i piękny, a trawa zielona i miękka. W trawie to tu, to tam widać było wspaniałe kwiaty niby gwiazdy, a pośród nich dwanaście drzew brzoskwińowych, które o wiosnie różowiły i bieleły się delikatnym kwieciem, a zaś jesienią rodziły ciężkie owoce. Na gałązkach brzoskwiń siadywały ptaki i tak głośno śpiewały, że dzieci nie rzadko przerywały zabawę, by się przysłuchać ich pieśni... — Jak nam tu dobrze — wołały radośnie.

Pewnego dnia wrócił Olbrzym. Bawił on z wizytą w Kornwalii u swego przyjaciela — ludojada i spędził u niego siedem lat. W ciągu tych siedmiu lat powiedział mu wszystko, co tylko miał do powiedzenia, jako że jego talenty konwersacyjne były ograniczone — i postanowił wrócić do swego pałacu. Gdy stanął u bram, zobaczył dzieci bawiące się w najlepsze w jego ogrodzie.

— Co tu robicie? — zawołał ostro — a dzieci rozpierzchły się i uciekły.

— Mój ogród jest moim ogrodem — krzyczał Olbrzym. — Niech każdy o tym pamięta i wie, że tylko ja mam prawo, się tutaj bawić. — Otoczył więc ogród wysokim murem i przybił tablicę:

Był to bowiem Olbrzym–Samolub. Biedne dzieci nie miały się teraz gdzie bawić. Próbowwały się bawić cna drodze, ale droga była pełna kurzu i twardych kamieni, toteż rychło dzieciom obrzydła. Po lekcjach chodziły więc w koło muru i rozmawiały o pięknym ogrodzie. — Jak nam tu było dobrze — powiadały.

Potem nadeszła wiosna i w całej wiosce pełno było kwiecica i ptaków. Jedyne w ogrodzie Olbrzyma–Samoluba panowała jeszcze zima. Ptaki nie miały ochoty śpiewać w ogrodzie, w którym nie było dzieci — a drzewa zapomniały kwitnąć. Raz jakiś piękny kwiatek wychylił główkę z trawy, kiedy jednak zobaczył tablicę, tak bardzo mu się żal zrobiło dzieciaków, że schował się pod ziemię i poszedł spać. Jedynymi stworzeniami, które były zadowolone z takiego obrotu rzeczy, był Śnieg i Mróz. — Wiosna zapomniała o tym ogrodzie — wołały — będziemy zatem żyć cały, okrągły rok. Śnieg przykrył trawę swym białym płaszczem, a Mróz umalował srebrem wszystkie gałęzie drzew. Potem obaj zaprosili do siebie Północny Wiatr, który wnet się też zjawił. Opatulony w futro cały dzień hulał i grzmiał po ogrodzie, strącając za jednym zamachem wszystkie kominy. — Miły kącik — powiedział — musimy jeszcze zaprosić Grad. — I Grad przyszedł. Codziennie przez trzy godziny bębnił w dach pałacowy, aż porozbijał prawie że wszystkie dachówki, a potem gnał po ogrodzie, ile miał tylko sił. Miał na sobie szary surducik, a jego oddech był zimny jak lód.

— Nie rozumiem, czemu ta wiosna się tak spóźnia — mruczał Olbrzym–Samolub siedząc w oknie i spoglądając w swój zimny, biały ogród. — Miejmy nadzieję, że już chyba niedługo takiej pogody.

Ale Wiosna nie przyszła, ani Lato nie przyszło. Jesień obdarowała wszystkie ogrody złotymi owocami, tylko do ogrodu Olbrzyma nic nie przyniosła. — Za wielki z niego samolub — powiedziała. Tak więc w ogrodzie Samoluba panowała wciąż Zima, a Wiatr Północny z Gradem i Mróz ze Śniegiem tańczyły wśród drzew.

Pewnego poranka Olbrzym leżał jeszcze w łóżku, gdy od ogrodu usłyszał jakąś przepiękną muzykę. Melodia tak mile łaskotała mu uszy, że Olbrzym pomyślał: to pewnie jacyś królewscy muzykanci... Tymczasem była to tylko makolągwa śpiewająca za oknem. Olbrzym tak długo już

nie słyszał śpiewu ptaka w swoim ogrodzie, że to ćwierkanie makolągwy zdało mu się najcudowniejszą muzyką. Nagle Grad przerwał swój taniec nad jego głową. Północny Wiatr przestał dąć — a przez otwarte okno wionęła ku Olbrzymowi jakaś przedziwna woń. — To chyba Wiosna — powiedział i wyskoczywszy z łóżka zerknął przez okno.

I cóż tam ujrzał?

Ujrzał najcudowniejszy widok. Dziurą w murze dzieci dostały się do ogrodu i właśnie siedziały sobie na gałęziach drzew. Na każdym drzewie, jakie mógł dojrzeć z okna, siedziało dziecko. A drzewa tak bardzo były rade z powrotu dzieci, że okryły się kwieciami, a ich gałązki poruszały się lekko nad dziecięcymi główkami. Dokoła fruwały ptaki ćwierkając radośnie, a kwiaty zerkwały ku górze przez zieleń traw i śmiały się do dzieci. Widok naprawdę piękny. Tylko w kącie ogrodu panoszyła się jeszcze Zima. A był to najdalszy kąt ogrodu Samoluba. Stał tam malutki chłopczyk. Był taki mały, że nie mógł sięgnąć do gałęzi, więc chodził wkoło drzewa i gorzko płakał. Biedne drzewko było jeszcze pokryte śniegiem i lodem, a Wiatr Północny dął i huczał w jego gałęziach. — Wejdz na mnie — powiedziało drzewo i pochyliło gałęzie tak nisko, jak tylko mogło; ale chłopczyk i tak ich nie mógł dosięgnąć.

I zmiękło serce Olbrzyma, gdy wyjrzał z okna pałacu. — Jakież ze mnie samolub — westchnął. — Teraz już wiem, dlaczego Wiosna unika mego ogrodu. Podsadzę tego chłopczyka na drzewo, a potem rozwalę mur — i odtąd już na zawsze dzieci będą się bawić w moim ogrodzie. — Olbrzymowi zrobiło się naprawdę przykro, kiedy sobie przypomniał swoje postęпки.

Zbiegł tedy po schodach, otworzył cichutko drzwi i wszedł do ogrodu. Dzieci na widok Olbrzyma ogarnął taki strach, że w te pędy uciekły, a do ogrodu znów powróciła Zima. Nie uciekł tylko mały chłopczyk, bo w oczach miał tyle łez, że nie zauważył zbliżającego się Olbrzyma. A Olbrzym podszedł cichutko do chłopca i wzięwszy go na ręce, posadził wysoko na gałęzi. Drzewo natychmiast zakwitło i ptaszki przyfrunęły z ćwierkaniem, a chłopczyk wyciągnął obie rączki, objął Olbrzyma za szyję i mocno go ucałował. Gdy tylko dzieci zobaczyły, że Olbrzym nie jest już taki zły, wróciły co prędzej do ogrodu a z nimi wróciła i Wiosna. — To już wasz ogród, moje dzieci — powiedział Olbrzym i zaraz wielkim toporem zaczął rozwalać mur. Gdy ludzie idący na targ około dwunastej mijali pałac, zobaczyli Olbrzyma, który bawił się z dziećmi w najpiękniejszym ogrodzie, jaki można było sobie wyobrazić.

Dzieci bawiły się cały dzień, a wieczorem podeszły do Olbrzyma, żeby się z nim pożegnać.

— A gdzie wasz mały towarzysz — zapytał Olbrzym — chłopczyk, którego wsadziłem na drzewo? — Olbrzym polubił go najbardziej spośród wszystkich, bo tylko ten chłopczyk go pocałował.

— Nie wiemy — odpowiedziały dzieci. — Musiał chyba już pójść.

— Powiedzcie mu, żeby jutro na pewno przyszedł — rzekł Olbrzym, a dzieci odpowiedziały, że nawet nie wiedzą, gdzie mieszka, i w ogóle nigdy go przedtem nie widziały. Olbrzymowi zrobiło się bardzo smutno.

Codziennie po południu, po lekcjach, dzieci przychodziły do ogrodu i bawiły się z Olbrzymem. Nigdy jednak nie zjawił się już chłopczyk, którego Olbrzym tak kochał. Olbrzym był wprawdzie bardzo miły dla wszystkich dzieci, a jednak tęsknił za swoim pierwszym przyjacielem i często o nim opowiadał, nie raz i nie dwa powtarzając: — O, jakże chętnie bym go zobaczył.

Tymczasem lata mijały, a Olbrzym postarzał się i osłabł. Nie mógł już bawić się z dziećmi, więc tylko siadał w ogromnym fotelu, przyglądał się dzieciom i zabawom a także podziwiał swój ogród. — Mam wiele pięknych kwiatów — zwykł był mawiać — ale dzieci — to najpiękniejsze kwiaty.

Pewnego zimowego poranka, ubierając się, spojrział przez okno. Nie żywił już teraz nienawiści do Zimy, bowiem wiedział, że Wiosna tylko śpi i że zostały mu kwiaty.

Nagle aż przetaił oczy z podziwu i patrzył... i patrzył. Był to naprawdę cudowny widok. W najdalszym kątku ogrodu stało drzewko okryte białym kwieciem. Gałązki drzewka mieniły się od złota, a spod gałęzi wycierały srebrzyste owoce. Pod drzewkiem stał chłopczyk, którego tak bardzo kochał.

W przypływie radości Olbrzym jakby sfrunął po schodach i dalej — do ogrodu. Szybkim krokiem przebiegł przez trawnik i zbliżył się do chłopca. Gdy był już bardzo blisko, twarz mu poczerwieniała od gniewu i spytał: — Kto się ośmielił cię zranić? — Na dłoniach dziecka widać było bowiem blizny od gwoździ i także same blizny od gwoździ miał chłopiec na obu stopach.

— Kto się ośmielił cię zranić — zawołał Olbrzym. — Powiedz mi tylko kto, a porwę miecz i zabiję nędznika.

— Nie, nie — odrzekło dziecko. — Bo to są rany Miłości.

— A kto ty jesteś — zapytał Olbrzym i dziwną grozą przejęty klęknął przed małym chłopcem. Chłopczyk uśmiechnął się do Olbrzyma i rzekł:

— Raz pozwoliłeś mi się pobawić w twoim ogrodzie, dziś pójdiesz ze mną do mojego ogrodu, a ten mój ogród — to Raj.

Gdy dzieci jak zwyczajnie przybiegły po południu do swojego ogrodu, zobaczyły pod drzewem martwego Olbrzyma. Leżał obsypany białymi kwiatami.

*Tłum. Włodzimierz Lewik*